

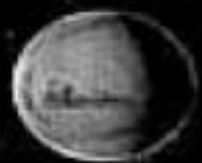
SCIENCE FICTION POLECA NAJLEPSZĄ POLSKĄ FANTASTYKĘ

ANDRZEJ ZIEMIAŃSKI

# PRZESIADKA W PIEKLE



ARES



**Andrzej Ziemiański**  
**Przeziadka w piekle**

Bezlitosny blask jarzeniówek raził wyczerpane bezsennością oczy, sprawiając coraz większy ból i powodując uporczywe łzawienie. Najwyraźniej jednak nie przeszkadzał dwóm policjantom przechadzającym się wzdłuż ściany. Wprost przeciwnie, ich miarowe kroki, beznamiętny wyraz oczu lustrujących każdy zakątek peronu i idealny bezruch trzymany w dłoniach palek harmonizowały wręcz z doprowadzoną do skrajności aseptycznością rozległego pomieszczenia.

Ukryty za filarem Lynn Fargo ostrożnie wychylił głowę. Szerokie, pokryte ciemnym materiałem kuloodpornych kamizelek plecy patrolowych oddalały się coraz bardziej. Dokładając starań, by nie wywołać najłżejszego hałasu, przemknął do wąskiego korytarza prowadzącego na niższy poziom stacji. U jego wylotu przy pokrytej świeżą farbą ścianie stała rozklekotana ławka. Rozejrzał się wokół. Nie, to nie było dobre miejsce. Ruszył w dół, zatrzymując się na każdym podeście wyścielanych schodów, żeby dać odpocząć drżącym nogom. Perony poniżej były oświetlone równie jasno, lecz potężniejsze i gęściej ustawione filary dawały więcej cienia. Fargo stanął pod pierwszym z nich, obserwując otoczenie. Nieliczni o tak późnej porze podróży nie zwracali uwagi na obszarpańca o wpełprzymkniętych powiekach. Brak snu dokuczał mu coraz bardziej. Pokusa, by położyć się pod najbliższą ze ścian była bardzo silna, wiedział jednak, że dzisiaj nie miałoby to najmniejszego sensu. Po dziesięciu minutach przeszedł na drugi koniec peronu, po kolejnym kwadransie wrócił do wylotu schodów. Pół godziny później miał już nadzieję na normalne spędzenie nocy. Tuż obok nieczynnego o tej porze kiosku, za billboardem, stał rząd krzeseł z tworzywa sztucznego. Fargo błyskawicznie skoczył w wąski przesmyk między filarami i położył się na jedynej jeszcze wolnej przestrzeni pomiędzy takimi jak on łachmaniarzami.

Naturalna osłona ściany kiosku i kratownicy podtrzymującej reklamę okazała się niestety iluzoryczna. Zdawało mu się, że ledwie położył głowę na zgiętym ramieniu sąsiada, gdy poczuł mocne uderzenie.

–Pobudka! Dwóch policjantów końcami długich palek szturchało leżących.

–Jazda! Jazda stąd! Fargo wstał z trudem, krztusząc się przy każdym oddechu. Ból przenikający całe ciało jak

na złość kumulował się w piekących oczach. Zgięty wpeł, dotarł jako pierwszy do ruchomych schodów, które wyniosły go wprost do głównej hali podziemnego dworca, i spróbował szczęścia jeszcze raz. Po cichu, tłumiąc ataki suchego kaszlu, podszedł do drzwi toalet. Szansa była niewielka. Zbliżył się do tafli nieprzezroczystego szkła. Nikt z obsługi nie

zareagował. Choć zakrawało to na cud, chyba go nie zauważyli. Na palcach wszedł do środka i zatoczył się w kierunku kabin. Otworzył jedną i z ulgą usiadł na zamkniętym sedesie, lecz nie zdążył nawet zabezpieczyć drzwi, kiedy na zewnątrz usłyszał kroki.

–Hej, ty!

Głos kobiety nie zawierał ani złości, ani agresji, ani nawet cienia zainteresowania. Był po prostu zmęczony.

–Idź umierać gdzie indziej.

Zrezygnowany, zapiał swój podszyty gazetami płaszcz i otworzył drzwi. Nie podniósł nawet głowy, żeby na nią spojrzeć. Kolejny człowiek wykonujący swoje obowiązki.

Postawił kołnierz, przemierzył hol i wyszedł w objęcia mrocznej ulicy. Być może panujący tu chłód dla normalnego obywatela stanowił miłe urozmaicenie po upalnym dniu. Jednakże dla wycieńczonego głodem organizmu te kilka stopni powyżej zera zdawało się niemal arktycznym mrozem, przy którym drętwiały palce, słabły ramiona, a każdy oddech kończył się kluciem w obolałych płucach. Taka temperatura powodowała jeszcze inną dolegliwość. Pusty, skurczony do granic żołądek coraz dokuczliwiej przypominał, że trawienie własnych soków nie jest jego podstawową funkcją.

Fargo skręcił za róg rozświetlonej setkami neonów ulicy, ginąc w labiryncie dawno opuszczonych, zdewastowanych kamienic, warsztatów i garaży z czerwonej cegły. Szedł długo, ale w końcu dotarł do celu. Dysząc z wysiłku, przecisnął się przez dziurę w płocie, by przedostać się na teren dawno zamkniętej fabryki, i przykucnął przy pogiętej, pordzewiałej beczce, w której wciąż płonął wątyły ogień. Otaczający ją ludzie, podobnie jak on, walczyli z sennością, zdając sobie sprawę, że przy panującej wilgoci ciepło płomieni jest iluzoryczne i nie ogrzeje nieruchomego człowieka.

–Boli... – szepnął mężczyzna w rozdartej marynarskiej kurtce, oparty o stos pustych palet.

–Boli...

–Pobili cię? – spytał Fargo tylko dlatego, że chciał wymazać ze świadomości wspomnienie kuszącego ciepła dworca.

Siwy marynarz skinął powoli głową.

–Złodzieje...

–Złodzieje? Ciebie? – odezwał się ktoś z boku. – Niby po co?

–Nie wiem. Pobili... – zapytany wygiął się, jakby w ten sposób mógł uniknąć paraliżującego bólu. – Ludzie, ja umieram...

–Gdzie cię dopadli?

Fargo zauważył obok brudną, niezbyt ładną dziewczynę, na którą zwrócił uwagę już poprzedniego dnia. Przysunął się do niej.

–Zimno ci?

Było to idiotyczne pytanie, ale jego wymęczony mózg od dawna nie działał jak należy. Długie, przetłuszczone włosy opadły na twarz dziewczyny, kiedy przysuwała się bliżej.

–Masz coś do jedzenia? Ona też nie była w najlepszej formie.

–Może... – przelknął ślinę –...może czegoś poszukamy? – zaproponował. Już wypowiadając te słowa, pożałował swego pomysłu, a kiedy dziewczyna skwapliwie pokiwała głową, poczuł złość. Środek nocy nie był dobrą porą na szukanie czegokolwiek, zaś widok rozbawionego miasta, pełnego barów, klubów i restauracji sprawiał niemal fizyczny ból ludziom takim jak oni. Beztroskie dźwięki zabawy, współzawodniczące ze sobą zapachy wykwintnego jedzenia oraz pełni luzu i pewności siebie bywalcy tych miejsc – wszystko to stanowiło esencję koszmarów, które nękały bezdomnych.

Dziewczyna jednak nie miała o tym bladego pojęcia. Zeszłej nocy zupełnym przypadkiem Fargo dowiedział się, że tak naprawdę nie należała do tego świata. Była córką dość bogatych, zajętych tylko sobą rodziców, w których życiu zaszło coś w jej rozumieniu tak ważnego, tak niszczącego, że nie mogła z nimi dalej żyć. Ucieczka miała być protestem... Znalazła się na ulicy, bez pieniędzy, bez perspektyw, ale za to z nieprawdopodobnym wprost szczęściem, które przez całe dwa tygodnie chroniło ją przed gwałcicielami, maniakami czy zwykłymi bandytami, od których miasto roilo się nocą.

Fargo nie wiedział, jak jej powiedzieć, że to szczęście ma granice, że przeżycie trzeciego tygodnia może graniczyć z cudem. Wstał powoli, prostując zdrętwiałe nogi bynajmniej nie dlatego, że spieszo mu było grać ze złudzeniami dziewczyny, ale dyskusja przy ognisku zaczęła przybierać coraz ostrzejsze tony i dłuższe przebywanie tutaj mogło zakończyć się fatalnie.

–Chodź.

Ruszyli wzdłuż porośniętych zielskiem ceglanych rumowisk. Szli wąskimi zaułkami, pełnymi potrzaskanych dźwigarów, które kiedyś przytrzymały stalowe rury. Ich pordzewiałych szczątków nie sposób było odróżnić od organicznych odpadków zalegających cały teren. Opuszczoną w latach kolejnej recesji fabrykę zamieniono na wysypisko śmieci, ale i ono już dawno przestało spełniać swoją funkcję. Zachowując ostrożność, wspięli się na stertę pokrytych ziemią starych opon.

–Tędy.

Światło księżyca pozwalało odnaleźć drogę. Przeszli przez dziurę w załomie muru, potem dziewczyna zatrzymała się pod zbitym z nierównych desek parkanem.

–Mam dość – szepnęła.

–Zmęczyłaś się? – nie zrozumiał w pierwszej chwili. Położyła mu rękę na ramieniu. Popatrzył na nią zdziwiony, szukając w tym geście podtekstów. Niestety, szybko zrozumiał,

że był to tylko pusty, niepotrzebny ruch wyniesiony z zupełnie innej rzeczywistości.

–Ja już dłużej nie dam rady... – jej cienki głos załamał się nagle.

Głód i napięcie potrafiły zmienić wszystko. Posadził ją w kręgu migotliwego światła rzucanego przez jedyną, jakby zapomnianą latarnię.

–Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Znowu uświadomił sobie, że jej obecność przywołuje dawno zapomniane wzorce z zamierzchłej przeszłości. Wszystko co mówił, co mógł powiedzieć brzmiało teraz tak niedorzecznie. Położyła mu głowę na ramieniu.

–Jesteś jakiś dziwny – szepnęła. – Mam wrażenie, jakbyś mnie wchłaniał. Jakbyś... - szukała słów -...przyjmował całą moją osobowość.

–Czy... – urwał nagle. Zdał sobie sprawę, że nie wie, o co chciał zapytać.

–Mogę rozmawiać tylko z tobą. Inni... – ona też zamilkła na dłuższą chwilę. – Nie wiem, jak to powiedzieć. Przez cały czas mam wrażenie, że naprawdę mógłbyś przyjąć mnie całą.

Zmrużyła oczy, patrząc w górę na migającą urywanymi błyskami lampę.

–Wiesz – wyjęła nagle z kieszeni podniszczoną talię dziwnych, podłużnych kart. –

Powrózujemy sobie.

W przyplwywie chwilowego optymizmu zaczęła ją tasować z niezwykłą sprawnością.

–Najpierw tobie, dobrze? Znużony skinął głową. Tarot, kto by pomyślał...

–Wierzysz w to, co mówią karty? – zapytał.

–Oczywiście – podsunęła talię do przełożenia. – Lewą ręką. Najpierw sprawdzimy, kim jesteś i co cię czeka.

Jej drobne ręce z ogromną szybkością rozkładały kolorowe kartoniki.

–Narasta coś, z czym nie mogłeś sobie poradzić od bardzo dawna. Rozwiązanie kryje się w otoczeniu koloru czarnego, to... Duże Arkana. A ty...

Zmusił się do uśmiechu.

–Ty jesteś... – długie palce zamarły w bezruchu. Podniosła oczy, w których nie było już iskierek udawanej wesołości.

–Nie wiem, kim jesteś – szepnęła.

–A co to za karta? – spytał.

–Ta karta nie ma prawa tu być – zrobiła nagle rzecz zdumiewającą, po prostu przedarła kartonik, który trzymała w dłoni.

Odwróciła głowę, najwyraźniej myśląc już o czymś innym. Jej twarz drgała w jakimś niezrozumiałym, wewnętrznym rytmie.

–Czy coś się stało? – zapytał Fargo. Zerwała się, rozsypując kolorową mozaikę kart.

–Nie! Już dłużej nie wytrzymam. Już nie chcę! Wstał również, ale ona odskoczyła o kilka kroków.

–Nie mogę tak żyć! Nie mogę, rozumiesz? – zrobiła zamach, jakby chciała odrzucić coś niewidzialnego, co tkwiło w jej dłoni.

–Wracam do domu! – krzyknęła. – Ja mam dom! Wiesz? Dom, rodzinę, przyjaciół!

„Nareszcie zrozumiała” – pomyślał. Widział wiele takich załamań, ale tylko to mogło

znaleźć w miarę szczęśliwe zakończenie.

–Wy wszyscy niczego nie macie, ale ja mogę wrócić! – odwróciła się gwałtownie i pobięła, szybko niknąc w mroku.

Długo jeszcze słyszał zamierające powoli odgłosy jej kroków. Później usiadł na ziemi, opierając się plecami o parkan. Przyjął wygodną pozycję, by przygotować się na spotkanie uczucia samotności, które za chwilę opanuje go z całą siłą. Popatrzył na rozrzucone karty i tę, którą dziewczyna przedarła w ostatniej chwili. „Ty jesteś...” – zabrzmiało mu w uszach. Nie, sam nie wiedział, kim jest. Od lat błąkał się po ulicach tego miasta, lecz wszystko, co było przedtem, tysięczny już raz sprowadzał do kilku wersów jakiejś piosenki:

*Więc zabierz,*

*Zabierz mnie do ogrodu rozkoszy,*

*Gdzie sekretne pocałunki na górze wiatru*

*Nie rozproszą drobnych okruchów niewinnej młodości,*

*Nie zniszczą bezimiennego piękna*

*Pajęczych tworów nie chybającej nigdy pamięci.*

To było wszystko, co jego skołatany umysł ocalił z głębokiej amnezji. Co było jej przyczyną? Nie wiedział. Nie pamiętał niczego, co działo się przedtem, zanim nie kończąca się tułaczka wypełniła całą treść jego życia.

Wyjął złożoną starannie szmatkę, w której trzymał zbierany w parku tytoń. Powoli skręcił papierosa i zapalił go znalezionymi zapalkami. Przecież on też powinien mieć jakąś rodzinę i jakichś przyjaciół. Gdyby tylko mógł przebić tę niewidzialną zasłonę. Gdyby mógł przypomnieć sobie, skąd... Zachłysnął się gryzącym dymem i długo kaszłał, usiłując odzyskać oddech. Potem ostrożnie zgasił niedopalek, wykruszył pozostały tytoń, zawinął go w brudną chustkę i na powrót schował do kieszeni płaszcza. Wzruszył ramionami. Myślenie o przeszłości nie miało sensu. Sprawiało jedynie ból... Dość! Musi się skupić na czymś innym. Do świtu zostało jeszcze tyle godzin, że gotów zamarznąć, siedząc tu bez ruchu. Mimo to nie wstał. Z zakamarków ubrania wyciągnął ostatnią zabawkę, jaka mu została. Pamiętał, że kiedyś miał dużo dziwnych gadżetów. Sprzedawał je kolejno, żeby zdobyć jedzenie... Spojrzał na trzymaną w ręce kartę kredytową. Kiedy chwycił ją za lewy górny róg, barwny emblemat zniknął, a w jego miejsce pojawiał się napis:

**POSIADACZ TEJ KARTY JEST  
SZEFEM KONTRWYWIADU  
ZJEDNOCZONEGO KRÓLESTWA.  
APELUJE SIĘ DO WSZYSTKICH  
SŁUŻB, ORGANIZACJI I  
OBYWATELI  
O UDZIELENIE MU WSZELKIEJ  
DOSTĘPNEJ POMOCY, JAKIEJ  
ZAŻĄDA.**

7

Jeśli kartę trzymało się za lewy dolny narożnik, napis zmieniał się, oferując wysoką nagrodę za udzieloną pomoc. A jeśli chwycił za prawy róg, pojawiała się groźba, że każdy, kto wejdzie w drogę posiadaczowi tej karty, zadrze z całym wywiadem, który będzie go ścigał, nie szczędząc wysiłków. Fargo obracał w dłoniach plastikowy prostokąt, obserwując uważnie następujące zmiany. Kiedyś Johnny Duret, właściciel małego baru, chciał odkupić tę kartę za całkiem pokaźną sumkę. Niestety, kiedy dotknął jej rogów, napisy nie chciały się pojawić. Cóż, widocznie Johnny Duret nie był szefem brytyjskiego kontrwywiadu.

\* \* \*

To, że Fargo zdołał się obudzić, nie było takie dziwne. Naprawdę dziwne było to, że leżał w miękkim, a przede wszystkim ciepłym łóżku. Oszolomiony, rozejrzał się wokół. W niewielkiej, stosunkowo jasno oświetlonej salce stało prawie dwadzieścia łóżek. Wszystkie były zajęte przez mężczyzn w różnym wieku i o odmiennym wyglądzie. Każda twarz nosiła jednak charakterystyczne piętno, po którym poznał, że leży wśród takich samych jak on włóczęgów.

Potrząsnął głową, usiłując przypomnieć sobie, jak się tu znalazł. Pamiętał, że cały poprzedni dzień od samego rana naznaczony był pechem. Ledwo umknął z rąk motocyklowego gangu, potem dopadł go patrol i wypytywał tak długo, że gdy dotarł do garkuchni za magazynem Pastiera, lista tych, którzy mieli otrzymać darmowy posiłek, była już zamknięta. Pamiętał także, że krążył po zatłoczonym centrum miasta, szukając nie pożywienia, lecz jakiegokolwiek punktu zaczepienia, który by mu pozwolił przetrwać nadchodzącą noc. Czyżby stało się to wtedy? Nagły skurcz i ból brzucha, a może serca...? Przypomnił sobie paraliżujący płuca, spazmatyczny kaszel i otaczającą go ciemność...

–Witaj! Otworzył szerzej oczy.

–Zrozumiałeś już, że wciąż tkwisz po tej stronie? Odwrócił głowę. Na sąsiednim, oddalonym może o jard łóżku leżał zwalisty brodac z długich, skudlonych włosach. Mimo że opierał się na łokciu, potargane loki sięgały poduszki.

–Gdzie jestem? – spytał Fargo.

–U Świętej Trójcy. – Gęsta broda sprawiała, że nie można było dostrzec ust mówiącego. Rzut oka na pomalowane jasnozieloną farbą ściany, nowiutkie moskitiery w oknach czy monitory aparatury medycznej, rozmieszczone przy każdym łóżku, wystarczał, by stwierdzić, iż brodac mówi prawdę.

Nie wyjaśniało to jednak niczego.



**–A... Jak się tu znalazłem?**

**–W twoim pechowym życiu zdarzył się wreszcie szczęśliwy traf – zbył go wzruszeniem ramion. – Twój zdezelowany organizm raczył zacząć się sypać w odpowiednim miejscu – w**

tym momencie mówiący uśmiechnął się cynicznie. – Pewnie trafiłeś w pole widzenia kogoś ważnego, wiesz, zbliżają się wybory... Gliniarzom nie pozostało nic innego, jak wezwać karetkę. – Brodacz potrząsnął głową, moszcząc się w pościeli.

– Nawet nie wiesz, jakie masz cholerne szczęście – ciągnął. – To nie jest pieprzona noclegownia, to nie jest zawszone schronisko ani punkt doraźnej opieki. To jest... – zawiesił

dramatycznie głos – najprawdziwszy szpital!

Do Fargo nadal nie docierała waga tej informacji.

– I co z tego?

Sękaty ramiona zatrzęsły się od tłumionego śmiechu. – Zachowuj się grzecznie, podpisuj wszystko, co podsuną, i nigdy, pamiętaj: nigdy nie proś o dokładki, a być może przetrzymają cię tu nawet przez tydzień!

Fargo poczuł, że wreszcie zaczyna rozumieć. W beznadziejnie się dotąd rysującej przyszłości ukazała się wątpla nadzieja. Szansa spokojnego przeżycia choć kilku dni.

– Jakich dokładek mam nie żądać? – spytał szybko, czując irracjonalny strach przed nagłym wtargnięciem na salę osób z kierownictwa szpitala, które jego, człowieka pozbawionego podstawowych praw, wezmą w krzyżowy ogień pytań, żeby dowieść, iż kwalifikuje się wyłącznie do natychmiastowego wyrzucenia na bruk.

Sąsiednie łóżko zatrzeszczało pod ciężarem zmieniającego pozycję potężnego ciała.

– Oni tu posługują się prostą logiką. Kto dużo je, ten jest zdrowy. Delikwent dostaje kopa w tyłek i znowu ląduje na ulicy...

Człowiek leżący przy drzwiach podniósł nagle rękę i zaraz opuścił ją z powrotem.

– Hej tam, cisza! – syknął.

– Leżeć! – odezwało się naraz dwóch innych pacjentów. Ludzie wokół błyskawicznie przykrywali się kołdrami, poprawiali nerwowo poduszki i

prześcieradła. Fargo opuścił głowę akurat w momencie, kiedy usłyszał odgłos kroków na korytarzu i szczęknęły otwierane drzwi. Starsza, poważnie wyglądająca pielęgniarka podeszła wprost do jego łóżka.

– Obudziliśmy się już? – zapytała widząc, że ma otwarte oczy.

Niezdarnie skrzywił wargi w parodii uśmiechu.

„Chyba mam kłopoty” – pomyślał.

Siostra, chyba zakonnica, podeszła bliżej.

– Mężczyzna, który nigdy nie miał w życiu kłopotów, to żaden mężczyzna – rzekła i uśmiechnęła się nagle. Całkiem ciepło jak na zupełnie obcą osobę.

– Proszę się nie martwić – dodała po chwili. – Zrobimy panu niezbędne badania i wyjdzie pan z tego.

Podala mu długopis i formularz. Zgodnie z wcześniej usłyszczanymi radami podpisał prawie bez czytania. Zdażył jedynie w rubryce „Forma płatności”, zauważyć pieczętkę opieki społecznej.

–Niech pan odpoczywa – machinalnie powiedziała pielęgniarka, składając swój podpis. – Niedługo ktoś się panem zajmie.

Fargo, zszokowany, patrzył, jak odchodziła. Od dawna nikt nie zwracał się do niego per pan. Ale prawdziwe zdziwienie miało dopiero nastąpić.

Chwilę później na salę wtoczył się wózek i zaczęto podawać obiad. Najpierw był parujący, tłusty bulion, potem mięso, trochę rozgotowane, ale za to obficie polane sosem. Fargo z niedowierzaniem przyjmował otaczającą go rzeczywistość. Był to pierwszy gorący posiłek, jaki jadł od bardzo dawna i być może pierwszy prawdziwy obiad od lat. Rozdano nawet desery, miseczki z sałatką owocową. Fargo korzystając z nieuwagi salowej, nasypał do niej kilka łyżek cukru. Widząc to, brodacz w poczuciu odruchowej solidarności zajął starszą kobietę rozmową, więc zupełnie już rozzuchwalony Fargo zaczerpnął cukru pełną garścią.

–Chcesz? – zapytał sąsiada, kiedy wózek zniknął za ogromnymi drzwiami. Brodacz podsunął mu miseczkę. Fargo dokładnie wytrząsnął wszystkie białe kryształki, które przylepiły się do dłoni.

Zapowiedzianych badań jakoś nie przeprowadzano, więc Fargo spał do wieczora, budząc się od czasu do czasu, by sprawdzić, czy rzeczywiście wciąż leży w miękkim łóżku i naprawdę nikt nie zamierza na niego napaść. Przyszłość zaczęła mu się jawić optymistycznie. Jednakże kiedy podano kolację – chrupiące tosty z masłem i dżemem – poczuł, że to się z pewnością zmieni. Jego wyćwiczona latami walki o przetrwanie intuicja podpowiadała, że nic tak pięknego nie może trwać długo.

Wieczorem po raz pierwszy wyszedł z sali. Nie czuł niczego szczególnego poza lekkim kluciem gdzieś pod płucami. Pomyślał, że to być może efekt zbyt obfitego posiłku. Zdołał dojść ledwie do końca korytarza, kiedy zaczął się atak. Charakterystyczny ból i kaszel z początku nie były zbyt silne, lecz już za chwilę podłoga zakołysała się pod nim gwałtownie. Czuł, jakby wichur czy może zmienna siła ciężenia znosiła go na bok, wprost na drzwi z cienkiego tworzywa. Wywalil je ciężarem ciała, padając na podłogę tuż przed rzędem błyszczących umywalek.

Fargo nigdy się nie dowiedział, że życie zawdzięcza nałogowemu alkoholikowi sączącemu w jednej z kabin przemycony przez rodzinę alkohol. Ten właśnie człowiek przez szparę w drzwiach kabiny obserwował jego upadek. Przez moment rozważał, co robić: chronić siebie czy umierającego obok człowieka. Alkohol nie zamroczyl go na tyle, by nie potrafił podjąć właściwej decyzji. Ukrył w koszyku za sedesem opróżnioną do połowy butelkę whisky, przeplukał szybko usta płynem do pielęgnacji dziąseł i wszczął alarm wycofując się natychmiast po przybyciu personelu szpitalnego. Cała bieganina, krzyki, urywające się telefony, sanitariusze z noszami nie dotarły już do świadomości Fargo. Ocknął się dopiero na sali reanimacyjnej. Z pewnym zdziwieniem obserwował oplatające go przewody, podłączone do żył plastikowe rurki, którymi sączyły się jakieś płyny, oraz ustawione przy łóżku, leniwie mrugające lampkami aparaty. Jedyne źródłem światła była tu

mała jarzeniówka pod sufitem. Skądś dochodził cichy szum pracującego klimatyzatora. Ciszę przerwało skrzypnięcie otwieranych drzwi. Ktoś popatrzył na owiniętą w białe prześcieradła postać i cofnął się, nie zamykając drzwi. Przez pozostawioną szczelinę sączyło się ostrzejsze światło.

–Co mu właściwie jest? – usłyszał dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia męski głos.

–Nie mamy jeszcze kompletu badań.

–Siostró, mógłbym dostać kawę? – głos przycichł na chwilę, prawdopodobnie mówiący odwrócił głowę, potem znowu zabrzmiał z poprzednią siłą. – Kiedy go przyjęto?

Odpowiedź zagłuszył brzęczyk interkomu.

–Co?! Chcecie, żeby organizacje społeczne znowu napuściły na nas prasę?

–Personel jest zbyt obciążony...

–Nie, bez cukru.

–...stosujemy zwykłą procedurę. Rozległ się zgrzyt wysuwanej szuflady, potem szelest przewracanych kartek.

–I to ma być historia choroby?

–Tyle ustalono na ostrym dyżurze...

–Dobrze, już dobrze. Co do tej pory zrobiono? Fargo nie dosłyszał odpowiedzi. Czyjaś ręka zatrzasnęła drzwi i teraz docierały do niego

tylko stłumione odgłosy kłótni. Po pewnym czasie salę reanimacyjną zalało ostre światło i w polu widzenia jego przymrużonych oczu pojawił się lekarz z dwiema pielęgniarkami.

Najwyraźniej nie byli świadomi, że już oprzytomniał.

–I co pan sądzi, doktorze? Młody człowiek spoglądał na ekranik palmtopa z niewyraźną miną.

–Fatalnie – mruknął.

–Dam sobie rękę uciąć, że w południe czułem się bardzo dobrze – powiedziała starsza pielęgniarka.

–A ja dam sobie obciąć wszystkie paznokcie, że nie dożyje do rana – odpowiedział lekarz beznamiętnym tonem.

To zdanie wstrząsnęło chorym. Fargo nie przypuszczał, że jest z nim aż tak źle. Poczuli, że znowu ogarnia go ciemność, i skoncentrował wszystkie siły, żeby się temu przeciwstawić.

Lekarz podszedł do stojaków z aparaturą.

–Myślę... – zaczął niepewnie. – Myślę, że w tym stanie nie ma szans na wyjście z zapaści. Fargo poczuł, że wpada w panikę. Myśli krążyły jak szalone w jego umyśle, nie mogąc skryzalizować się w nic konkretnego ani wyprzeć obezwładniającego uczucia samotności i opuszczenia.

–Panie doktorze... – przestraszona pielęgniarka wskazała nagle jeden z ekranów. Młody człowiek pochylił się nad monitorem i zbladł.

–Wezwijcie zespół reanimacyjny! – krzyknął. – Tracimy go!

Młodsza pielęgniarka przyskoczyła do łóżka.

–Panie doktorze, on jest przytomny!

Lekarz błyskawicznie uniósł głowę, patrząc w otwarte oczy leżącego. Agonia? Nie! Fargo nie chciał umierać. Nie teraz. Jeszcze nie teraz! Coś dziwnego działo się z jego ciałem. Miał wrażenie, że niewidzialne macki zaciskają się wokół krtani. Coś szarpało nim aż do bólu wychodzących z orbit oczu. Ciemność zgęstniała. Wydawało mu się, że w absolutnym mroku spada z ogromnej wysokości...

Kiedy przyszło uspokojenie, nie od razu zorientował się, że coś jest nie w porządku. Leżał nadal na oddziale intensywnej terapii, poznawał znajome sprzęty i urządzenia, ale coś zmieniło się w samej perspektywie. Po prostu obserwował ją z innej strony, jakby z góry. Tuż przed nim, na spowitym przewodami łóżku ktoś leżał... Chryste! To było nieruchome ciało. Jego własne ciało! A on stał z boku i patrzył na znane mu przecież własne rysy. Gdzieś czytał o pierwszych objawach śmierci klinicznej, o tym, co się dzieje z człowiekiem, gdy... odejdzie!

„To jest śmierć? Ale... Dlaczego ja? Dlaczego teraz? Czy już nic nie da się zrobić?!”

–Ja nie chcę! – krzyknął. – Boże, ja nie chcę umierać! Ratunku!!!

Znowu ogarnęła go ciemność i poczucie potwornego pędu... Z przeraźliwym krzykiem ocknął się znowu na łóżku. W irracjonalnym odruchu bezwiednie szarpał opasujące go rurki, sprawdzał gorączkowo, czy włada wszystkimi częściami ciała. Zachłystując się nadmiarem powietrza, dyszał ciężko jak sprinter po wyczerpującym biegu. Dochodząc do siebie, dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że wokół nie widzi nikogo. Uniósłszy się na łokciach, dostrzegł, jak pochylone pielęgniarki cucą leżącego na podłodze lekarza. Ktoś wpadł do pokoju, mocno trzaskając drzwiami.

–Co tu się stało?

–Ja... On... – Pielęgniarka nie potrafiła dobrać słów. – Doktor Rheine pochylił się nad pacjentem... On...

–Co znaczy: on? Co mu się stało? – Przybyły nagle szarpnął ją za ramię. – Proszę mówić składniej!

Pielęgniarka potrząsnęła głową.

–...wtedy doktor zaczął krzyczeć... To było straszne.

–Doktor zaczął krzyczeć? – Starszy mężczyzna, teraz Fargo widział go wyraźniej, wyjął z kieszeni małą latarkę i odchylając powieki, oświetlił oczy oszłomionego lekarza, wpatrując się uważnie najpierw w lewą, potem w prawą źrenicę.

–Tak... Dosłownie wył, że nie chce umierać. Wzywał pomocy...

–Rheine wzywał pomocy?

Przygarbiona postać pochyliła się znowu nad zdrowym, wysportowanym ciałem lekarza. Sprawne palce dotknęły tętnicy szyjnej.

Fargo opadł na poduszki. Nie rozumiał, co się wokół dzieje. Nie starał się niczego analizować. Intuicja mówiła mu, że najbliższą noc spędzi wśród żywych.

Kiedy stan zdrowia Fargo polepszył się na tyle, że można już się było nie obawiać kolejnego ataku, przeniesiono go z powrotem do wspólnej sali. Po kilku dniach spędzonych w cieple i poczuciu bezpieczeństwa czuł się na tyle dobrze, że pozwolono mu chodzić po szpitalu. Kręcił się więc bez celu po identycznych korytarzach, pokrytych wszędzie taką samą, lśniąca jasnozieloną farbą. Mijał obojętnych ludzi, wiecznie spieszący się, zaaferowany personel, szukając kogoś, z kim mógłby zamienić choć kilka słów. Kogo jednak mogły interesować jego sprawy?

Szybko więc zrezygnował z wędrówek. Spędzał większą część dnia leżąc w łóżku i usiłując poradzić sobie z targającymi nim sprzecznymi uczuciami. Wiedział, że w krótkim czasie podlecą go i będzie musiał wrócić na ulice. Wiedział również, że nie pozostało mu wiele czasu. Chroniczne niedożywienie, życie w ciągłym stresie, brak snu i opieki sprawiały, że jego ciało nie miało najmniejszych szans w walce z postępującą chorobą. Starał się nie myśleć o tym, co zaszło w sali reanimacyjnej. Jego umysł nadal przyjmował postawę obronną wobec wszystkich faktów, unikając ich analizy. Coś się stało, być może otarł się o jakąś tajemnicę, ale bronił się przed jej zgłębieniem.

Personel szpitala, wyćwiczony w bojach ze wszystkim, co wykracza poza rutynę, zapomniał o tym wydarzeniu dość szybko. Raz tylko, czekając przed pokojem pielęgniarskim, Fargo usłyszał, jak młody lekarz zwierzał się komuś, że poczuł wtedy ogarniającą go ciemność. Nie przypominał sobie, żeby krzyczał. Ocknął się, leżąc na podłodze.

Fargo zamknął oczy. Przeróżający brak perspektyw, jakichkolwiek realnych widoków na najbliższą przyszłość sprawiał, że narastało w nim uczucie osamotnienia. Teraz więcej myślał o przeszłości. Cholerna amnezja! Czuł aż do bólu chęć powrotu do dawnych lat, do ludzi, którzy musieli gdzieś istnieć, którzy znali go i akceptowali, do młodości zagubionej w mrokach okaleczonej pamięci.

Nagle zrozumiał, że musi podjąć walkę, musi przełamać otaczający go mur, lecz nie tak jak dotychczas, walcząc o życie na wyszlifowanym bruku miasta.

Wiedział, że skrajność obecnej sytuacji zmusza go do pośpiechu.

Zerwał się z łóżka, naprędce wkładając gruby szlafrok. Wybiegł z sali i wymijając snujących się po korytarzach pacjentów, dotarł do tablicy informacyjnej. Szybko przebiegł wzrokiem równe rzędy liter. Nie, to nie to. Zatrzymał przechodzącą pielęgniarkę.

–Przepraszam – z podniecenia płatał mu się język. – Czy... czy jest tu jakiś doktor... Ktoś od spraw pamięci?

–Pamięci? – spojrzała zdziwiona. – W jakim sensie?

–No... Jakiś psycholog albo psychiatra...

Zmarszczone brwi uniosły się nagle.

–Ach, doktor Kaminsky. Ale on przyjmuje w innej części szpitala – wskazała ręką za okno. – Musi pan zejść na parter i przejść przez park. To w drugim budynku.

–Dziękuję – odparł czym prędzej i ruszył w kierunku ruchomych schodów.

Zbiegł na najniższy poziom, potrącając kogoś w przejściu. Przestronny wewnętrzny dziedziniec ocieniał starannie przystrzyżony wysoki żywopłot. Kilka rachitycznych palm szumiało w lekkich podmuchach wiatru. Rzadka w tych stronach fala chłodów już minęła, stojące wysoko słońce zwiastowało powrót upalnej pogody. Lecz nic z tego nie zajmowało go w najmniejszym nawet stopniu.

Wpadł w uchylone drzwi najbliższego budynku. Skręcił na rozwidleniu korytarza, uważnie śledząc napisy na ścianach. Wreszcie zatrzymał się przed odpowiednią tabliczką. Jest. Frank Kaminsky. Bojąc się, że coś mogłoby zmienić jego decyzję, zapukał i zanim usłyszał odpowiedź, nacisnął klamkę.

–Tak? – w powstałej szparze widział tylko standardowe wyposażenie gabinetu.

–Czy można? – pchnął silniej drzwi, wchodząc do środka.

–Proszę. – Otyła postać poruszyła się w głębokim fotelu. – Proszę, niech pan siada. Poza tuszą doktor wyróżniał się absolutnie obojętnym, niezmiennym wyrazem twarzy.

–W czym mógłbym pomóc? Fargo rozejrzał się niepewnie po przestronnym, prawie pustym, jeśli nie liczyć biurka i

kilku szafek, gabinecie. Zajął miejsce w wyściełanym fotelu pod oknem.

–Chciałbym zasięgnąć porady – powiedział cicho.

–Pan jest pacjentem tego szpitala – na pół stwierdził, na pół spytał lekarz, patrząc na strój przybyłego.

–Tak.

–Z opieki społecznej? – ciągle ten sam wyraz nieruchomych, jakby zastygłych rysów twarzy działał deprymująco.

–Tak.

–Rozumiem... – w starannie modulowanym głosie pobrzmiwała aluzja. – Słucham pana. Fargo przygryzł wargi. Nie wiedział, jak zacząć.

–Ja... Cierpię na amnezję, panie doktorze. Pamiętam wszystko, co działo się kilka lat do tyłu, ale przedtem...

–Jakiś wypadek? – podsunął Kaminsky.

–Nie. To znaczy, nie wiem. Po prostu nie pamiętam, co się stało.

–Nic z tego, co zdarzyło się wcześniej?

–Nic...

Na twarzy doktora pojawił się pierwszy uśmiech.

–Niech pan będzie poważny. Musi pan cokolwiek pamiętać – położył nacisk na ostatnie słowa.

Fargo potrząsnął głową.

–A dzieciństwo? Rodzice? Może szkoła? – to musiały być rutynowe pytania, Kaminsky nie zadawał sobie trudu, żeby ukryć znudzenie.

–Niestety nic.

–Jakieś obrazy? Choćby zamazane. – Lekarz stłumił ziewnięcie.

–Nie.

–Z jakiego kraju pan pochodzi? – nagle zmienił ton.

–Nie wiem. Uśmiech powoli zniknął z twarzy Kaminsky'ego.

–To się po prostu nie zdarza – mruknął. – Czy pan nie symuluje?

–Panie doktorze! Proszę mi wierzyć... Kaminsky przerwał ruchem ręki.

–Po pańskim sposobie mówienia poznaję, że jest pan człowiekiem wykształconym. Co pan studiował?

–Nie mam pojęcia.

Lekarz westchnął zniecierpliwiony.

–Nie o to mi chodzi. Czy zdaje pan sobie sprawę z jakichś specyficznych umiejętności, wiadomości, specjalizacji, które nie są dostępne zwykłym ludziom?

–Panie doktorze, ja...

–Był pan włóczęgą? – Kaminsky z podziwu godną systematycznością ucinał wszystkie wypowiedzi, które mogłyby się okazać zbyt długie.

–Tak. Chyba nie miałem okazji...

Kaminsky znowu powstrzymał go ruchem ręki. Pochylił się nad biurkiem, opierając łokcie o pokryty suknem blat.

–Proszę pana – zaczął cicho – po pierwsze, nigdy nie spotkałem się z tak głębokim zanikiem pamięci. Myślę, że...

–Ale... – Fargo ponowił rozpaczliwą próbę powiedzenia czegoś więcej.

–Proszę mi nie przerywać! – Twarz lekarza znowu zmieniła się w zastygłą w grymasie zniechęcenia maskę. – Po drugie, jak widzę, jakiekolwiek badania, które musiałbym przeprowadzić, byłyby drastyczną, powtarzam, drastyczną ingerencją w pana umysł. Musiałbym zejść zbyt głęboko, a tego nie wolno mi robić – westchnął ciężko. – To nieetyczne i... niemoralne – przeżegnał się.

–Ale ja muszę, muszę wiedzieć!

Kaminsky odchylił się w fotelu. Jego olbrzymie ciało z trudem mieściło się między poręczami. Małe chytre oczy spoglądały z ogromną przenikliwością.

–Proszę pana. Taka ingerencja byłaby sprzeczna z moim światopoglądem – starannie akcentował każde słowo. – Pewne rzeczy w medycynie, nawet jeśli możliwe technicznie, są niemoralne. – Kaminsky podniósł głowę. – Pewnych rzeczy nie zrobię nigdy – powiedział twardo. – To niezgodne z moją etyką.



–Panie doktorze...

–Nic z tego. Niech się dzieje wola nieba... – zabrzmiało to jak dawno zapomniana sentencja.

Fargo gwałtownie potrząsnął głową.

–Musi mi pan pomóc.

–Stanowczo nie! Kaminsky wyjął z szuflady błyszczące wieczne pióro i zaczął coś pisać, przeglądając

jednocześnie leżące przed nim papiery. Rozmowę uważał za zakończoną. Fargo podniósł się ociężale. Powoli wyszedł z gabinetu, przemierzył pusty korytarz i opuścił budynek. Wizyta u doktora pozbawiła go wszelkiej nadziei na rozwiązanie zagadki swojej przeszłości.

\* \* \*

Szatnia dla pacjentów z opieki społecznej nie przypominała w niczym pozostałych pomieszczeń szpitala. Zniszczone ubrania wisiały na podciągniętych aż pod sufit archaicznych wieszakach, osłoniętych wspólną metalową siatką. Woźny, pomarszczony stary Murzyn przyczepiał do nich karteczki z nazwiskami, a potem sprawdzał je kolejno, ściągając w dół każdy zestaw i pracowicie studiując napisy. Ponieważ nie istniał tu żaden katalog ani nawet system numerków, ceremonia mogła ciągnąć się bardzo długo. Fargo nigdzie się nie spieszył. Z żalem, z przykrością nawet wkładał płaszcz, z którego ktoś wyciągnął ocieplające gazety, po czym stanął niezdecydowany nie wiedząc, czy ma coś podpisać.

Woźny podniósł głowę.

–Coś jeszcze?

–Nie. Nie wiem, ja...

–Tam jest wyjście. – Starzec ruchem ręki wskazał kierunek. Fargo otworzył ogromne drzwi i przystanął oszołomiony nie oglądanym od tylu dni

harmiderem ulicy. Za tym murem pozostawił bezpieczny, szpitalny świat. Wiedział, że ponownie musi przyzwycząić się do świadomości, iż jest nikim. Że jego życie, sprawy i problemy znowu należą wyłącznie do niego i nikt, absolutnie nikt, jeśli nie wydarzy się kolejny cud, nie wyciągnie doń pomocnej dłoni.

Wzruszył ramionami. O tej porze do kuchni dla włóczęgów nie było po co iść, ruszył więc w stronę centrum, by oswoić się z odkrytym na nowo ciężarem samotności. Ignorował ogarniające go spojrzenia przechodniów. Fala upałów sprawiła, że koszule i luźne bluzy wydawały się szczytem poświęcenia na rzecz moralności. Jego długi do połowy łydek ciężki płaszcz i widoczny pod nim czarny sweter budziły powszechne zdumienie. Zatrzymał się przed lśniąca szybą sklepowej wystawy. W szpitalu golono go wprawdzie, ale jednodniowy zarost już nadawał wychudłej twarzy złowieszczy i odpychający wyraz.

Spojrzał na napis pod witryną: „Nie zastanawiaj się. Wykorzystaj swoją szansę!”

–Szlag by was wszystkich... – szepnął.

Minał zacieniony liśćmi bananowców skwer i przeszedł przez ulicę. Otarł pot z czoła i usiadł na niewielkiej ławce ustawionej na przystanku tuż obok nowoczesnej fasady banku. Przesunął wzrokiem po świeżo wyczyszczonym, lśniącym w słońcu szkłe elewacji.

„Gdybym mógł się tam znaleźć” – przemknęło mu przez głowę. – „Choć na chwilę...”

Zauważył mężczyznę stojącego w oknie na pierwszym piętrze. Kogoś sytego, spokojnego, pewnego siebie i otoczonego rzeczami, których jemu tak bardzo brakowało. Opuścił głowę. Na szeroki podjazd wjeżdżała właśnie ciemna luksusowa limuzyna. Pracy silnika nie słyszał. Do miejsca, w którym siedział, dochodził jedynie delikatny szum opon. Elektryczny wóz nowej generacji, a może to ten legendarny napęd wodorowy...

–Szlag by was! – mruknął.

Szofer w liberii idealnie dopasowanej do koloru lakieru otworzył drzwiczki, pomagając wysiąść wysokiej, elegancko ubranej kobiecie. Podziękowała mu zdawkowym ruchem głowy i ruszyła, zmysłowo kręcąc biodrami, po lśniących marmurowych schodach, oddalona o zaledwie kilka jardów od ławki, na której przysiadł Fargo. Nie mogła wiedzieć, że obserwujący ją włóczęga kłął właśnie pod nosem, nie mogąc zrozumieć, dlaczego to właśnie on znalazł się po drugiej stronie, po stronie ludzi przegranych. Nie powinna go w ogóle dostrzec, ale nagle zatrzymała się w połowie schodów i jakby wiedziona irracjonalnym impulsem popatrzyła na przystanek. Ich spojrzenia spotkały się. Fargo, przepelniony nienawiścią do obcej kobiety, nie mógł jej darować beztróskiego wyrazu twarzy. Chęć bycia na jej miejscu opanowała go z nieprawdopodobną siłą. Nie potrafił usiedzieć spokojnie, ale nie mógł też zerwać się z ławki. Nagle ogarnęła go ciemność. Nie był to jednak nawrót choroby. Czuł, że spada gdzieś w potwornym, wstrząsającym każdą komórką ciała pędzie. Kiedy przerażony otworzył zamknięte w szoku oczy, zauważył...

–Czy coś się stało, panno Daisy? – Szofer w mgnieniu oka przebył połowę marmurowych schodów podbiegając do chlebobawczyni.

Fargo patrzył na swoje nieruchome ciało siedzące na ławce po drugiej stronie ulicy.

–O Boże! – krzyknął, nie poznając swojego głosu.

Przesunął dłonią po twarzy, chwiejąc się na nogach. Długie, polakierowane paznokcie na jego palcach...? Nie miał pojęcia, co się stało. Skołowanym umysłem wstrząsały sprzeczne myśli i skojarzenia. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości. Jakimś cudem znalazł się w ciele eleganckiej kobiety, która szła do banku... Bank! Nagła myśl rozjaśniła mu głowę. To właśnie nazywa się korzystaniem z okazji. To właśnie jest ta wyśniona szansa! Natychmiast przestał zajmować się tajemnicą avataru.

–Czy mogę pannie w czymś pomóc? – Szofer zamarł o krok od niego.

–Spierdalaj, palancie. – Fargo odwrócił się i zostawiając tamtego z opuszczoną szczęką, ruszył w stronę przeszklonych drzwi.

–Przepraszam, gdzie tu jest toaleta? – spytał portiera siląc się na egzaltowany, pasujący do

wyglądu ton.

–Tam, proszę pani. – Mężczyzna pochylił się z szacunkiem, choć wyglądał na zdziwionego, i posłusznie wskazał kierunek.

Fargo ruszył szybkim krokiem, ale zaraz musiał zwolnić. Cholerna wąska spódnica! I te szpilki! O mało nie połamał nóg... Ujął dłonią złoconą klamkę i już miał ją nacisnąć, kiedy zdał sobie sprawę, że odruchowo wybrał męską toaletę. Rzucił okiem za siebie, ale tylko portier patrzył w jego kierunku. Potykając się, przeszedł pod właściwe drzwi.

–O rany... – spojrział na swoje odbicie w lustrze. Obca twarz, obce rysy, oczy, włosy, wszystko... Pamięć jednak zachował. Potrząsnął głową, burząc misterną fryzurę. Nie miał czasu analizować tego, co się stało. Gorączkowo wyrzucił na pulpit przed umywalką zawartość torebki. Drżącymi rękami podniósł książeczkę czekową i wyluskał z etui pióro.

Ile

ona może mieć pieniędzy? Sto tysięcy? Dwieście? Zaraz, a nazwisko? Nerwowo przeglądał porzrzucone rzeczy. Komórka, pęk magnetycznych kluczy, legitymacja klubowa...

Otworzył

ją spoconymi dłońmi. Daisy McLish. Szybko wypełnił odpowiednie rubryki i ruszył w kierunku drzwi. Po raz dziesiąty krzywo postawił stopę i tym razem nie skończyło się na przekleństwie.

Złamany obcas posłał go na wykwintną glazurę.

„Spokój!” – nakazał sobie w duchu, leżąc na zimnych kafelkach. Usiadł, ściągnął buty, potem wstał i poprawił ubranie spoglądając w lustro. Bezwiednie sięgnął do torebki i wyciągnął szminkę. Dopiero gdy zrozumiał, co robi, zadrżała mu ręka. Na szczęście miał w torebce chusteczki higieniczne.

Wyszedł z toalety niosąc buty z ręce. Natychmiast zaroilo się wokół od pracowników banku.

–Czy coś się stało? – zapytał któryś z niepewnością w głosie. Fargo machnął butem z ułamanym obcasem tuż przed jego nosem.

–Kratka odpływowa... – powiedział, to tylko przyszło mu na myśl.

–Oczywiście. – Bankier gwałcił się w ukłonach. – Oczywiście, panno McLish, zwrócimy wszelkie koszty naprawy. – W tym momencie jego spojrzenie trafiło na nadruk zdobiący wyściółkę pięty. Sądząc po odcieniu bladości, jaką przybrała jego twarz, firma ta nie należała

do najtańszych.

Fargo odprawił gestem natrętów i podszedł do najbliższego okienka.

–Chciałbym... – przelknął nerwowo ślinę. – Chciałabym pobrać trochę pieniędzy – położył czek na ladzie.

Urzędnik podniósł go, uśmiechając się przyjaźnie.

–Ależ oczywiście – wystukał coś na klawiaturze terminala. – Zaraz – urwał w pół słowa. – Ale...

–Nie mam takiej sumy na koncie? – Fargo przestraszył się swojej zachłanności. – Wie pan – usiłował się tłumaczyć – dawno nie sprawdzałam stanu...

–Nie, to drobiazg – twarz urzędnika wyrażała najwyższe zdziwienie – ale to nie jest pani podpis...

„Cholera” – Fargo odruchowo potarł brodę, wbijając sobie boleśnie w policzek długi paznokieć. – „Przecież to było do przewidzenia...”

–Chyba mogę pobrać własne pieniądze – powiedział głośno, tracąc do reszty opanowanie.

–Tak czy nie, do kurwy nędzy?

Zdziwienie na twarzy urzędnika przerodziło się w podejrzliwość. – Ja...

–Co się tak gapisz? – Fargo musiał zagrać *va banque*. – Nie poznajesz mnie, kretynie?

–Ja... zawołam dyrektora – ręka kasjera dotknęła przycisku pod biurkiem. Fargo stłumił w sobie chęć ucieczki. Postanowił zmienić taktykę.

–Ależ, proszę pana... – wyszczebotał i sięgnął po czek, ale urzędnik sprawnie usunął go z zasięgu jego dłoni.

–Dyrektor już idzie – wskazał na przepychającego się między pulpitemi obsługi starszego, siwego mężczyznę.

–Przecież ja tylko... Tamten nie dał mu dokończyć.

–Słucham, o co chodzi? Urzędnik pokazał przelożonemu wydruk i czek. Fargo gorączkowo zastanawiał się, co

zrobić. Postanowił na razie nie uciekać.

–Pozwoli pani za mną – powiedział dyrektor.

–Przecież ja tylko...

–Przejdźmy do mojego gabinetu – uśmiechnął się z pewną dozą surowości. – Bardzo proszę.

„Co za świnią!” – Fargo w panice usiłował znaleźć jakieś wyjście. Nerwowo rozejrzał się wokół, potem postanowił spróbować chwytu, który zawsze skutkował. Przynajmniej w przypadku kobiet.

„Popatrz mu w oczy” – pomyślał.

Ich spojrzenia spotkały się na moment. Ukryty głęboko w podświadomości impuls wstrząsnął umysłem Fargo. Nagle poczuł ogarniającą go ciemność i znane już uczucie spadania z przerażającą szybkością.

–Nie! – krzyknął odruchowo.

Kiedy otworzył oczy, znajdował się po drugiej stronie blatu. Przed nim, oddzielona pancerną szybą, stała wodząca wokół osłupiałym wzrokiem panna McLish. Tuż obok siedział przerażony urzędnik.

„Chryste, jestem teraz dyrektorem.” – Fargo zaczynał mieć tego dosyć.

–Ratunku... – szepnęła kompletnie zdezorientowana kobieta. – Co ja tutaj robię?

–Proszę wypłacić panie McLish całą kwotę – powiedział Fargo. – Albo nie... – czuł, że zaczynają go zawodzić nerwy. – Proszę otworzyć sejf – przez głowę przebiegały mu tysiące

pomysłów.

–Słucham?

–Proszę otworzyć sejf!

–Ale... ależ to niemożliwe – oczy urzędnika wychodziły z orbit. Zniecierpliwiony Fargo machnął ręką. Czując, że cały dygocze, ruszył w kierunku zaplecza. Minął kilka zdziwionych urzędniczek, ale w końcu natknął się na poważnie wyglądającego człowieka.

–Proszę otworzyć sejf! – warknął.

–Podręczny? – ręka tamtego z trudem wprawiła w ruch ciężkie metalowe drzwi w ścianie.

–Nie, główny. – Fargo dopiero teraz spojrział w bok. Widok równo ułożonych paczek banknotów sprawił, że zmienił zdanie. – Albo nie. Ten wystarczy – znowu rozejrzał się wokół.

–Potrzebuję jakiejś torby.

–Co się stało, Max? – stojący obok mężczyzna był widać w bliskich stosunkach z szefem. Fargo chwycił leżący w pomieszczeniu sejfu pocztowy worek i gorączkowo zaczął pakować do niego opasane banderolami banknoty.

–Max, o co chodzi? – w głosie tamtego pojawiło się zaniepokojenie.

–Napad – wykrztusił Fargo. Nie potrafił opanować drżenia rąk, rozsypywały się na wszystkie strony. – To jest napad!

Pannie McLish grozi ogromne niebezpieczeństwo!

Fargo spojrział w stronę holu. Portier odprowadzał właśnie ślaniającą się na nogach kobietę w stronę foteli.

–Max, co ty robisz?! – w głosie stojącego obok mężczyzny zaszła zasadnicza zmiana. Boże, jak to wolno idzie! Fargo opróżnił dopiero połowę metalowych półek. Kątem oka zauważył podchodzącego z boku strażnika.

–Nie włączajcie alarmu! – krzyknął.

Nadstawił worek i zaczął zgarniać pieniądze całym ramieniem. Większość spadała jednak na podłogę. – Max!

–On zwariował! – krzyknął ktoś z tyłu. – Trzeba zawiadomić lekarza! Jakaś kobieta rzuciła się w stronę telefonu.

–Niech ktoś go powstrzyma! Fargo chwycił worek obiema rękami. Roztrącając ludzi, ruszył w stronę przejścia dla personelu.

–Panie dyrektorze!

Odwrócił głowę. Ręka strażnika dotknęła kolby przywieszzonego u pasa rewolweru. Fargo przyspieszył, ale tamten ruszył za nim.

–Panie dyrektorze! – krzyknął ostrzej, wyszarpując broń. – Proszę się zatrzymać! Fargo zatrzymał się momentalnie, z trudem utrzymując równowagę. Odwrócił się, trzymając wypełniony pieniędzmi worek jak tarczę.

–Panie dyrektorze, proszę...

Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy i Fargo wiedział już, co nastąpi: nagła ciemność i uczucie spadania, do którego powoli zaczynał się przyzwyczajać. Wyrwał osłupiałemu dyrektorowi worek i wymachując bronią, rzucił się do ucieczki. Trzy strzały, jakie oddał na oślep, sprawiły, że nikt nie ruszył w pościg. Ale dzwonki alarmowe odezwały się dosłownie kilka sekund po tym, jak minął przeszklone drzwi.

Zbiegł po schodach, minął osłupiałego kierowcę i przeskoczył przez wciąż gorącą maskę limuzyny. Na szczęście o tej porze nie było zbyt wielkiego ruchu. Zanim z banku wybiegli pierwsi ludzie, był już na środku skweru. Nie zastanawiał się nawet przez chwilę, naprawdę nie wiedział, jak znalazł drogę do wąskich zaułków na zapleczu wielkich sklepów. Zapewne działał instynktownie, korzystając z pamięci swojego nosiciela. Dopiero myśl, że musi wrócić do swojego ciała, zatrzymała go, pozwalając chwycić głębszy oddech. Wrzucił worek do jednego z wypełnionych tylko w połowie kubłów na śmieci i rozejrzał się po zaułku. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Zaklął i kopnął ze złością stojący obok kubłów karton po zamrażarce.

–Co jest? – wybelkotał ktoś, kto uznał, że karton ten jest dla niego najodpowiedniejszym schronieniem tego popołudnia. Fargo się uśmiechnął.

–Czas wstawać, przyjacielu – powiedział zaglądając do wnętrza.

\* \* \*

Z dużym niepokojem zbliżał się do zastygłego na ławce ciała, ale ponowne zawładnięcie wszystkimi jego funkcjami okazało się bardzo łatwe. Wystarczyło jedno spojrzenie we własne półprzymknięte oczy, żeby poczuć ogarniającą, znajomą już ciemność i szaleńczy pęd. Kiedy podniósł zaciśnięte odruchowo powieki, ujrzał ślaniającego się w szoku bezdomnego.

Fargo również nie był spokojny ani pewny siebie. Wręcz zeszywniał, kiedy z tyłu rozległo się wycie policyjnych syren. Spojrzał w tym kierunku, ale nikt się nim nie interesował. Szofer limuzyny, wskazywał mundurowym kierunek ucieczki strażnika, pracownicy banku obiegli pozostałych stróżów prawa. Nie niepokojony przez nikogo, wstał ciężko i minawszy bezdomnego, wciąż uporczywie potrząsającego głową, ruszył w stronę zaułków. Nie potrafił w żaden sposób wyjaśnić tego, co zaszło, ale nie usiłował też tego analizować. Minął obojętnie siedzącego pod ścianą strażnika, odnalazł ukryty w kubie worek i zniknął w płątanie pobliskich ulic. Wyjął kilka drobnych banknotów i kupił tanią walizkę od ulicznego straganiarza. Ukrył w niej worek z pieniędzmi i wciąż słysząc syreny policyjne za plecami, pobiegł w stronę najbliższej stacji metra. Dopiero w wagonie, jadąc na drugi koniec miasta, jako tako zebrał myśli. Wszystko wskazywało, że potrafi „wstrzeliwać się” w umysły innych ludzi, tak? Czy to może mieć jakiś związek z jego amnezją? Potrząsnął głową. Chyba nie... Może to efekt śmierci klinicznej... Tak, pierwszy raz przydarzyło mu się to w sali

reanimacyjnej. Tamten lekarz... Nie, to nie była śmierć kliniczna. Otarł rękawem czoło, uważając przy tym, żeby nie wypuścić z rąk walizki. Chryste, przecież ta zdolność dawała mu... Nie wiedział, jak to wyrazić. Tego nie da się ująć żadnymi słowami. Nie miał ochoty dłużej łamać sobie głowy nierozwiązalnymi problemami. Czuł, że ogarnia go coraz większa pewność siebie. Totalne, obezwładniające poczucie zagubienia zniknęło gdzieś tak szybko, że miał wrażenie, jakby właśnie obudził się z koszmarnego snu.

Zanim wagonik metra zatrzymał się na jednej z końcowych stacji, Fargo był już innym człowiekiem. Swobodnie wyszedł na peron, uśmiechając się na wspomnienie stresu, jakiemu poddany był podczas akcji w banku. Suburbia, na których się teraz znajdował, nie miały centrum handlowego, musiał więc przejść spory kawałek drogi, zanim znalazł luksusowy sklep z odzieżą. Obejrzał wystawę, ale nie zdecydował się wejść, miał za to plan... Poczekał w pobliżu, obserwując przechodniów, a gdy pojawił się mężczyzna mniej więcej jego postury, poszedł za nim. Jedno spojrzenie wystarczyło, by dalej wypadki potoczyły się po jego myśli.

Wszedł do sklepu. Nie targaly nim żadne wątpliwości, z góry wiedział, co ma powiedzieć. Nie zdążył rozejrzeć się po niewielkim wnętrzu, kiedy z boku podeszła ekspedientka.

–Wyjdź, zanim wezwę ochronę – syknęła marszcząc nos.

Czy mu się zdawało, czy w jej opryskliwym tonie rzeczywiście brzmiały nutki niepewności. W historii sklepu Fargo był zapewne najdziwniejszym klientem. Białe, w miarę czyste, ale w samych tylko spodniach i podartej koszuli wyglądał zaiste nieciekawie, choć o niebo lepiej niż rasowy włóczęga.

–Miałem wypadek – wyjaśnił spokojnie. – Chciałbym kupić nowe ubranie.

–Eee... – Ekspedientka nadal mierzyła go niespokojnym wzrokiem. – Chyba poproszę właściciela.

Kobieta zawróciła na pięcie, ale nie zniknęła za osłoniętymi kotarą drzwiami. Wsunęła jedynie głowę na zaplecze i po sekundzie znów obserwowała Fargo. Potem spokojnie zajęła swoje miejsce za ladą, a po kilkunastu sekundach pojawił się drobny siwy mężczyzna.

–Czym mogę służyć? – zapytał.

–Otóż – Fargo narzuconym całą siłą woli ruchem wziął go pod ramię i mimo widocznego oporu pociągnął w głąb sklepu – dwa dni temu spotkała mnie przykra przygoda. Wie pan, chciałem się ostro zabawić, a potem... – z całym przekonaniem zagrał amatora pań lekkich obyczajów obrobionego przez alfonsów, w końcu wiele razy widział takie sytuacje. – Ktoś dosypał mi czegoś do drinka, okradziono mnie, dostałem po łbie... Zabrali mi prawie wszystko... Ledwie się z tego wykaraskałem... Jak ostatni frajer, nawet nie zdążyłem załatwić sobie hotelu... A wie pan, jaka jest tutaj policja... Woląłem niczego nie zgłaszać, zwłaszcza że... Wie pan, żona, dzieci... Ten wypad do Sun City nie był planowany... Zwykła delegacja... Jednym słowem, potrzebuję kompletu ubrań, bielizny i wszystkich tych drobiazgów...

Właściciel uśmiechnął się w poczuciu męskiej solidarności.

–Ale my nie dajemy nic na kredyt – w jego tonie nie było nieufności, jedynie chęć usprawiedliwienia.

–Na szczęście nie zabrali mi kilku czeków podróźnych... Zdołałem je dzisiaj zrealizować. Uśmiech siwego człowieczka świadczył, że wszelkie wątpliwości należą już do przeszłości.

–Panna Stacy zajmie się wszystkim.

–Dziękuję... Chciałbym jednak, żeby wszystkie ubrania były pochodzenia europejskiego.

Rozumie pan...

–Ależ oczywiście. – Właściciel zgiął się w pełnym szacunku ukłonie. – Posiadamy ogromny wybór najnowszych modeli najlepszych europejskich domów mody.

Perspektywa pozbycia się zalegających półki, niesłuchanie drogich europejskich ciuchów musiała wprawić go w doskonały humor. Był to z pewnością najlepszy interes, jaki udało mu się ubić w ciągu ostatnich miesięcy, dlatego też przez cały czas kręcił się wokół, przeszkadzał ekspedientce i bez przerwy zasypywał klienta coraz to nowymi propozycjami.

Kiedy prawie godzinę później Fargo wychodził z powrotem na ulicę, oprócz nesesera z pieniędzmi dźwigał ciężką walizkę wypchaną najdroższymi ubraniami, jakie były na składzie. Szeroka biała bluza, jaką miał na sobie, jasne spodnie i sportowe buty sprawiały, że nikt z nielicznych przechodniów nie oglądał się już za nim. Wrócił do zaułka i zwrócił wolność swojemu bezwolnemu pomocnikowi. Zabrał mu nowo nabyte ubranie i zostawił oszłomionego mężczyznę w samej bieliźnie, obok jego własnych, nieco sfatygowanych rzeczy, aby uporał się z solidnym bólem głowy. Dość szybko odnalazł zakład fryzjerski, gdzie spędził następne pół godziny, zerkając nerwowo na pozostawione w przejściu walizki. Zabiegi człowieka w nieskazitelnie białym fartuchu miały ten skutek, że żaden szczegół, prócz wychudzonej twarzy, nie burzył już wyobrażenia poważnego, bardzo bogatego człowieka, jakim stał się teraz Fargo.

Fakt ten wpłynął na jego nastrój do tego stopnia, że zdołał pokonać nabyty i utrwalony przez lata odruch i podszedł do stojącego na rogu policjanta, żeby spytać o najbliższy dobry hotel. Tamten zrobił zafrasowaną minę.

–Hotel? Jeśli dobry, to tylko w centrum – zdziwiony stróż prawa zlustrował go od stóp po głowę. – Okoliczne motele mają raczej średni standard i nie sądzę, by panu odpowiadały – spojrział przez ramię i nagle się uśmiechnął.

Ruchem ręki zatrzymał przejeżdżającą czarterową limuzynę. Czarnoskóry kierowca najpierw usiłował się tłumaczyć, machając nerwowo plikiem dokumentów, ale już po chwili, z radosnym uśmiechem, otworzył tylne drzwiczki jedenastometrowego kremowego chryslera i umieścił obie walizki w przepastnym bagażniku.

–Dokąd? – odwrócił głowę, ale nie do Fargo, tylko w kierunku policjanta.

–Do hotelu... Ruszyli, zanim padła jakakolwiek nazwa. Widocznie sam wygląd pasażera mówił



wszystko. Rozparty na tylnym siedzeniu Fargo uśmiechnął się pod nosem. Szeleszczące banknoty w kieszeni być może nie potrafiły wyleczyć go z ponurych rozmyślań, ale z pewnością dodawały im smaku. Czuł, że powinien wszystko przeanalizować na zimno, zastanowić się nad planem działania, zrobić wreszcie coś rozsądnego... Ale, do cholery! Przecież przez ostatnie lata robił tylko rzeczy rozsądne, jeśli rozsądkiem można nazwać chęć przetrwania. „Nie, na pewno nie” – odpędzał wszelkie myśli na temat ewentualnego poszukiwania go przez policję. Przecież nie mogą wiedzieć, nie mogą nawet się domyślać, że miał coś wspólnego z aferą w banku. Jego rozważania przerwała uwaga kierowcy, który radośnie oznajmił, że są już na miejscu. Dwóch odzwiernych w pstrokatych liberiach zaopiekowało się jego bagażem, a on sam eskortowany przez trzeciego dotarł przez ogromny hol do recepcji. Wynajął apartament. Najdroższy, prezydencki. Zapłacił gotówką, dodając spory napiwek i informując wszem wobec, iż nie życzy sobie, by ktokolwiek wiedział, że mieszka w tak podłym hotelu. Zdawał sobie sprawę, że tylko plik banknotów może okiełznać chęć zobaczenia jego, nieistniejących przecież, dokumentów. Zarejestrowali go pod prawdziwym nazwiskiem, choć mógł użyć jakiegokolwiek. Dodał sobie tylko skromny tytuł baroneta, ot tak, dla przydania sobie wagi.

Po dłuższym zastanowieniu zdecydował się umieścić neseser w hotelowym sejfie, a walizkę kazał rozpakować bojom w apartamencie. Sam jak we śnie powlókł się do tonącej w zieleni restauracji. Choć w karcie roilo się wprost od wykwintnych dań, zamówił coś bardzo prostego, klasyczny zestaw kontynentalny. Pamiętał też, żeby nie jeść zbyt łapczywie. Ta ostrożność zniknęła chwilę potem, ledwie umoczył usta w pierwszym drinku. Najpierw były jakieś uwagi pod adresem orkiestry, potem próba zatańczenia ze starszą, nobliwie wyglądającą damą. Jeszcze później, w przypiływie trzeźwości stwierdził, że rozmawia z piękną ciemnowłosą kobietą i to przy jej stoliku. Otrząsnął się zaskoczony, kiedy okazało się, że ona zna jego imię i nazwisko i od czasu do czasu tytułuje go: „panie profesorze”. Alkohol nie wyparował mu jeszcze z głowy, usiłując więc zachować resztki pozorów, wspomniał coś o zmęczeniu i potrzebie odpoczynku.

–Odprowadzisz mnie? – uśmiechnęła się.

–Oczywiście – wstał i pomógł odsunąć jej krzesło. Lawirując między stolikami, przeszli do szerokiego, pustego korytarza.

–Który to pokój, proszę pani?

–Och, Lynn. 7017, siedemdziesiąte piętro. Tyle razy mówiłam ci, że mam na imię

Deborah. Powiedz tylko: „Debbie, daj ogień”, to przysunę ci zapalniczkę, powiedz:

„Debbie,

uśmiechnij się”, to...

–Debbie, zdejmij bluzkę! – wypalił niespodziewanie, sam zaskoczony swoją bezczelnością.

–Och, ty draniu... – rozejrzała się i nagle... rozpięła guziki i rozchyliła bluzkę.

Fargo zakrztusił się od nadmiaru śliny. Przez te wszystkie lata odzwycaił się nawet od

myśli o seksie. Zaskoczony, stwierdził, że widok jej kształtnych piersi wywarł na nim ogromne wrażenie.

–Czy... Czy zjemy razem kolację? – zapytał, kiedy Debbie zapięła bluzkę.

–Z przyjemnością.

–Czy zjemy ją w moim pokoju?

–To zależy... Kiwnęła mu ręką, znikając za drzwiami z niesamowitą szybkością. A może to tylko on

myślał zbyt wolno? Ociężały powlókł się w stronę windy. Boj asystował mu aż do drzwi apartamentu, ostentacyjnie nie zauważając chwiejnego kroku.

Fargo zobaczył po raz pierwszy luksusowe wnętrza, za które tak słono zapłacił. Oszołomiony przestrzenią i przepychem, rozpoczął zwiedzanie. Niestety, już w salonie nieublagane prawa natury dały o sobie znać z całą siłą. Jego organizm nie był przygotowany na przyjęcie takiej ilości jedzenia i alkoholu. W ostatniej chwili zdążył do toalety. Po trzydziestu, może czterdziestu minutach udało mu się opanować skurcze żołądka. Siedział na podłodze, między sedesem a bidetem, z końcówką prysznicą w dłoni i mętnym wzrokiem patrzył na wzorzyste kafelki.

Wiedział, że gość tego hotelu z mnóstwem pieniędzy w sejfie, mieszkający w najbardziej luksusowym apartamencie, powinien czuć zadowolenie. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że jest do tego człowiekiem, który dysponuje niezwykle wręcz nadnaturalnymi zdolnościami, winien też mieć ogromną pewność siebie.

Co więcej, będąc mężczyzną mającym w perspektywie wizytę najpiękniejszej bodaj dziewczyny w mieście, musi być szczęśliwy.

Fargo natomiast czuł jedynie rozpaczliwą pustkę.

\* \* \*

Cały następny dzień spędził w apartamencie, siedząc w fotelu i patrząc przed siebie. Wystarczyło, że podniósł słuchawkę, a natychmiast zjawiali się ludzie z obsługi hotelowej, ale poza tym nie działo się nic, co mogłoby zburzyć absolutny bezruch otaczającej go przestrzeni. Było to śmieszne, ale podświadomie oczekiwał, że po zmianie trybu życia ktoś go odwiedzi. Ktoś przypomni sobie o człowieku zagubionym w mieście gdzieś na krańcach świata. Palił papierosa za papierosem i wymyślał setki najbardziej nieprawdopodobnych przypadków, dzięki którym ktoś z dawnych znajomych mógłby do niego trafić.

Wieczorem rozległo się pukanie do drzwi. Fargo siedział właśnie skupiony nad niewielkim tortem, w którym tkwiła mała, paląca się świeczka i nad otwartą, ale nie napoczętą jeszcze butelką wina. Podniósł głowę, ale nastrój, w jakim się znajdował, nie pozwalał nawet na najmniejszy uśmiech.

–Witaj, Lynn! – Debbie uśmiechnęła się promiennie.

Skinął głową w odpowiedzi na powitanie.

–Hej – spojrzała na tort i jeden kieliszek. – Chyba nie przeszkadzam?

–Nie.

–To jakaś uroczystość?

–Dziś są moje urodziny – odparł poważnie.

–I spędzasz je tak samotnie? – podeszła bliżej i szybkim ruchem ręki zmierzwiła mu włosy.

– Mój ty biedaku. Wszystkiego najlepszego.

Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

–A może zorganizujemy jakąś imprezę? – przysunęła się bliżej. – Mnóstwo kwiatów, otwarte samochody, przyjęcie w jakiejś knajpie na wolnym powietrzu poza miastem...?

–Prawdę mówiąc, wolalbym zostać tutaj.

–Szkoda, że nie powiedziałeś mi o tym wcześniej – uśmiech nie zniknął z twarzy Debbie.

–Znamy się dopiero od wczoraj – przypomniał jej.

Przyjęła to jak dobry kawał.

–Chyba nie będziemy fatygować kelnera drugim kieliszkiem – ostrożnie naląła wina. – Jeden powinien wystarczyć.

–Jasne. Nie ma problemu.

–Słuchaj – odruchowo ściszyła głos. – Jeśli nie popełniam niedyskrecji, to powiedz, ile lat właśnie skończyłeś?

–Nie wiem.

Roześmiała się, ale wyraz jego twarzy sprawił, że natychmiast spoważniała.

–Nie wiem – powtórzył i zabrzmiało to naprawdę szczerze. – Po prostu dawno nie obchodziłem urodzin – poślinionymi palcami zgasił świeczkę na torcie. – Nie mam nawet pojęcia, w jaki dzień przypadają.

Wstał ciężko i podszedł do szafy, otwierając ją na całą szerokość.

–Na to, że urodziłem się akurat dzisiaj – ciągnął – jest szansa jak jeden do trzystu sześćdziesięciu pięciu.

–Trzystu sześćdziesięciu sześciu. Mamy rok przestępny. – Debbie usiłowała obrócić wszystko w żart. – Gdzie idziesz? – spytała, widząc, że wkłada marynarkę.

Podciągnął krawat i ruszył w stronę drzwi.

–Szukać swojej przeszłości – rzucił w progu. Wyszedł na korytarz, ale coś kazało mu przystanąć. Cofnął się kilka kroków, by ponownie zajrzeć do pokoju.

–Przepraszam – mruknął. – Miewałem lepsze nastroje.

Zmrużyła oczy na znak, że rozumie, ale on szedł już w kierunku windy. Przyspieszył kroku, bo kabina stanęła właśnie na jego piętrze. Wyminął wysiadającą parę i dotknął mrugającego światelka z oznaczeniem parteru. Mimo że decyzja zapadła nagle, pod wpływem chwili, w jego głowie powoli krystalizował się plan działania. Na dole szybko dotarł do hotelowego skarbcza. Otworzył swój sejf, odliczył z walizki pokaźny plik banknotów i włożył

go do jednej z leżących na podręcznym stoliku kopert. Schował ją do wewnętrznej kieszeni, zamknął sejf i przed wyjściem jeszcze raz ogarnął wzrokiem całe pomieszczenie. Uśmiechnął się w duchu na myśl o nowych nawykach, jakie u siebie zaobserwował. Podchodząc do recepcji, skinął na konsjerżę.

–Słucham pana?

–Proszę mnie połączyć ze szpitalem.

–Z którym? Prawdę mówiąc powinien spodziewać się takiego pytania. W wielomilionowej metropolii

szpitali musiały być dziesiątki.

–Szpital miejski – zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż odpowiedź.

–Serca Jezusowego, Świętej Trójcy... Przed oczami stanął mu brodaty sąsiad z sali i znów usłyszał słowa, które tamten

wypowiedział przy pierwszym spotkaniu.

–Sądzę, że chodzi o Trójkę

–Z kim życzy pan sobie rozmawiać?

–Z doktorem Kaminskim. Konsjerż podniósł słuchawkę i wystukał numer.

–Niestety, doktor jest w tej chwili zajęty – powiedział po chwili odkładając, słuchawkę. –

Czy będzie pan czekał?

–Nie.

Fargo odwrócił się szybko i ruszył w stronę głównych drzwi. Na podjeździe, ignorując portiera w liberii, skinął na taksówkę.

–Szpital Świętej Trójcy – rzucił do kierowcy. – Niech się pan pośpieszy.

Przysłonił oczy ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych. Spoglądał zza nich obojętnie na mijane z dużą prędkością tonące w słońcu palmy na skwerach, lśniące od podstaw aż po szczyty elewacje biurowców i centrów handlowych. Nie czuł nic, patrząc na odgrodzone barierkami zaułki i ukryte za podniszczonymi parkanami wysypiska, tak niedawno jeszcze będące jego domem. Bez słowa zapłacił kierowcy, kiedy ten zatrzymał się przed wskazanym wejściem. Zdecydowanym krokiem wszedł do budynku. Szybko przemierzył ogromny hol i wewnętrzny dziedziniec, który tak dobrze zapamiętał z poprzedniej wizyty. Kilka chwil później stał już pod właściwymi drzwiami. Zapukał energicznie i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

–Można? – usiadł w głębokim fotelu stojącym obok biurka.

Doktor Kaminsky, zaskoczony, podniósł wzrok znad rozłożonych przed nim papierów.

Dopiero kiedy Fargo zdjął przeciwsłoneczne okulary, w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

–Ja pana skądś znam... – Korpulentna postać drgnęła lekko. – Pan...

–Tak, byłem już tutaj.

Ciche westchnienie świadczyło, że doktor przypomniał sobie wszystko. Z widocznym zdziwieniem, ale bez żadnych pytań obserwował kosztowny garnitur i całą sylwetkę siedzącego naprzeciwko mężczyzny.

–Czym mogę służyć? – spytał niepewnie.

Fargo lekko przygryzł wargi. Długo mierzył lekarza wzrokiem, potem spuścił oczy.

–Tym samym co poprzednio – powiedział cicho. – Chcę odzyskać pamięć i chcę, żeby pan mi w tym pomógł – odchylił się w fotelu. – Rozumiem jednak, że pańskie poglądy, pańska etyka i względy moralne nie pozwolą na coś takiego... Wobec tego mam tylko jedną prośbę.

Niech mi pan wskaże fachowca, który podejmie się tego za pieniądze – wyjął z kieszeni wypchaną banknotami kopertę i rzucił ja niedbale na biurko. – Za duże pieniądze – dodał. –

Na

pewno zna pan kogoś, kto da się skusić.

Kaminsky niepewnie spojrział na leżący przed nim pakunek. Ostrożnie, jakby bojąc się, że w środku może być bomba, dotknął białej powierzchni.

–Wie pan... – zaczął powoli, ale nagle zmienił zamiar. Jego oczy nabrały blasku. – Dużo myślałem o pańskim przypadku – powiedział zdecydowanie. – Myliłem się. W końcu każdy może się mylić... – dramatycznie zawiesił głos. – Panu trzeba pomóc!

–Wskaże mi pan kogoś? Ręka lekarza spoczęła na kopercie.

–Sam się tym zajmę. Twarz Fargo nie zmieniła wyrazu. Pomyślał, że od kilku dni nic nie może go zadziwić. Następne godziny również nie

przyniosły niczego zaskakującego. Dziesiątki testów wypełnianych w nerwowym pośpiechu, tomografia, nieustanna obserwacja setek czujników rejestrujących każdy, najmniejszy nawet impuls jego mózgu. Nie kończące się, nużące pytania zupełnie nie powiązane ze sprawą, a zadawane wyłącznie po to, żeby wykres na monitorze uzyskał taki, a nie inny wygląd.

Frank Kaminsky był dobrym fachowcem. Nawet laik, widząc jego systematyczne, wyważone ruchy, zdobywał pewność, że nic nie pominięto, nie zapomniano o żadnym drobiazgu, że każda możliwość, każda furtka została dokładnie zbadana. Kiedy jednak w zupełnych ciemnościach, prawie o północy, wracali z laboratorium do gabinetu, twarz lekarza ciągle była zasepiona. Fargo był zbyt zmęczony, żeby zadawać jakiegokolwiek pytania. Ocierał chusteczką czoło, zachłannie paląc papierosa, gdy doktor po raz kolejny studiował wyniki wyświetlane na palmtopie. Wreszcie nie wytrzymał przedłużającej się ciszy, zgniótł niedopalek i pochylił się do przodu.

–I co, panie doktorze? – powiedział ochryplym głosem. – Jak to wygląda? Kaminsky powoli podniósł oczy znad papierów.

–Tak, jak wyglądać nie powinno – odparł zwięźle.

–Nie mam żadnej szansy? Lekarz nie odpowiedział. Wyjął z szuflady grzebień, podszedł do niego i zaczął

rozczesywać mu włosy. Fargo zetknął się kiedyś z opinią, że wszyscy psychiatrzy są po części wariatami, ale nigdy jeszcze nie był skłonny dać temu wiary tak, jak w tej chwili.

–Wydusi pan wreszcie coś z siebie, czy nie? – warknął. Kaminsky ponownie zajął swój fotel, obracając grzebień w palcach.

Cisza przeciągała się nieznośnie.

–Tak jak sądziłem, nie ma pan na głowie blizn – podjął nagle tonem krańcowego zniechęcenia. – To dowodzi, że nie przeprowadzono żadnej operacji na pana mózgu. Ale to niemożliwe, żeby nie pamiętał pan kompletnie niczego, zachowując się jednocześnie w sposób... – urwał, ze złością rzucając grzebień. – To znaczy... wszystko jest możliwe. Zawsze można znaleźć jakieś precedensy, ale... – plątał się coraz bardziej. – Nie wiem. Poza operacją są, co prawda, inne metody blokowania pamięci, ale one nigdy nie zostawiają tak kompletnego zera... I to bez żadnych skutków ubocznych. Chyba że... – zamyślił się na chwilę. – Chyba że procesu blokowania dokonano w momencie najwyższego napięcia psychicznego, jakiegoś szoku czy nieprawdopodobnego wręcz stresu... – I nie da się tego odkręcić?

–Gdyby stało się to w jakichś ekstremalnych warunkach – ciągnął – to może... Nie, bzdura – pochylił się znowu nad papierami. – Ma pan ciekawy typ osobowości – zmienił nagle temat, jakby chciał się uwolnić od męczących go wątpliwości. – Nazwałbym ją „wchłaniającą”, niesłuchanie łatwo przyswajającą wszystko co nowe i obce. Ale to akurat niczego nie wyjaśnia.

Fargo zastanawiał się, czy to, co powiedział lekarz, może mieć jakiś związek z jego niesamowitymi zdolnościami. Po namyśle odrzucił jednak tę możliwość.

–Pan musi coś pamiętać! – Kaminsky nagle podniósł głos. – Coś musiało w panu zostać! Cokolwiek!

–Chryste, przecież mówiłem... – zmęczenie potęgowało nastrój rozgoryczenia.

–Proszę się skupić. Może jakieś zamazane obrazy?

–Nie.

–Jakieś gesty? – Lekarz napierał coraz ostrzej. – Słowa?

–Słowa? – Fargo wzruszył ramionami. – Pamiętam słowa piosenki. Tylko parę wersów, chyba jedną zwrotkę, a może refren.

–Co? – Kaminsky spojrzał na niego w skupieniu.

–Słowa piosenki. „Więc zabierz, zabierz mnie do ogrodu rozkoszy, gdzie sekretne pocałunki na górze wiatru...” – urwał widząc, że lekarz śmieje się coraz głośniej.

–Czy coś się stało? Kaminsky rozparł się wygodnie w trzeszczącym fotelu.

–Po prostu jesteśmy w domu.

–Ta piosenka... To coś znaczy?

–Tak. Myślę, że zastosowano wobec pana niezwykle rzadką metodę blokowania pamięci

–potarł brodę. – To już wyższa szkoła jazdy. Takich cudów dokonują tylko naprawdę dobrzy specjaliści. Zapewne kazano panu powtarzać bezmyślnie te rymy, żeby choć częściowo wyłączyć świadomość i wtedy dokonano zabiegu. Stąd też z całej przeszłości pamięta pan tylko tę zwrotkę.

–Ale mówił pan, że nie mam żadnej blizny.

–To... nie była operacja w klasycznym tego słowa rozumieniu. Są też... inne metody. Fargo odruchowo zacisnął pięści.

–Czy... czy to jest odwracalne? Kaminsky zapalił papierosa Przedłużającą się, pełną napięcia ciszę przerwało jedno

słowo: – Tak. Lekarz przysunął sobie popielniczkę.

–Niemniej, nie jest to proste – pedantycznie zebrał palcem odrobiny popiołu z lśniącego blatu biurka. – Myślę, że specjalista, który się tego podjął, zostawił sobie jakąś furtkę. Bardzo możliwe, że uwarunkowano pana na jakiś środek chemiczny, może lekarstwo... Jeżeli pan je zażyje, pamięć powróci sama.

–Myśli pan, że to możliwe? – Fargo aż się poderwał z fotela.

–Owszem. – Kaminsky powstrzymał go ruchem ręki. – Ale niech pan nie biegnie do najbliższej apteki i nie pcha do ust wszystkiego, co tylko podejdzie pod rękę. Prędsiej się pan zatruje albo bezwiednie wyleczy z kamicy nerkowej, niż przypomni przeszłość – uśmiechnął się ironicznie. – Ten środek to na pewno nie aspiryna.

Lekarz pochylił się i szybko napisał coś na jednym ze spiętych zszywką arkusików.

–Skieruję pana do jednego z najlepszych specjalistów w tym kraju – na marginesie zanotował kilka uwag. – To doktor Frederic Jastrow, mieszka niedaleko stąd, na przedmieściach. Jeśli on panu nie pomoże, to... – potrząsnął głową. – Może spróbuje pan w Unii, może w Stanach...

Fargo zerknął na trzymaną w ręce kartkę, potem złożył ją pieczołowicie i schował do kieszeni.

–Na pewno spróbuje – powiedział, wstając z fotela.

\* \* \*

–Proszę pana, już dojeżdżamy.

Fargo drgnął na tylnym siedzeniu taksówki. Nie spał ani przez chwilę. Jego bezruch nie wynikał z monotonii krajobrazu widocznego za zamkniętymi szczelnie szybami. Natłok myśli i oczekiwań związanych z mającą nastąpić wizytą szarpał nerwy i nie pozwalał skupić się na czymkolwiek innym. Wiedział, że niezależnie od tego, czy spełnienie marzeń leży w zasięgu jego ręki, czy nie, musi zachować jasność umysłu.

–Poczekaj pan na mnie – mruknął do kierowcy.

–Długo?

–Aż wrócę – rzucił do skrytki kilka banknotów. Czarna twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

–Jasne, będą czekał aż do końca świata albo i dłużej – sprawna dłoń dyskretnie przeliczyła szeleszczące papierki. – No, jesteśmy na miejscu.

Samochód zatrzymał się na podjeździe ogromnego domu zbudowanego w starym, kolonialnym stylu.

–Proszę bardzo – kierowca zdalnie otworzył tylne drzwi – będą czekał o tam – wskazał ręką drugą stronę ulicy. – W cieniu.

Fargo wysiadł, powoli prostując zdrętwiałe podczas jazdy mięśnie. Nie interesowało go piękno okolicy ani żadne architektoniczne subtelności. Podeszedł wprost do dębowych, przytłaczających swym ogromem drzwi i nacisnął dzwonek. Mimo że dom zdawał się pusty, prawe skrzydło wrót otworzyło się prawie natychmiast. Nie było też słycać najmniejszego nawet skrzypnięcia, a uroda dziewczyny, która stanęła przed nim, mile go zaskoczyła.

–Czy zastałem doktora Jastrowa?

–A... jest pan umówiony? Przemknęło mu przez głowę, że mógł wcześniej zadzwonić.

–Bardzo mi zależy na tej wizycie... – zawahał się. Kitel okrywający dziewczynę świadczył, że raczej nie jest córką ani „zaprzyjaźnioną” sekretarką właściciela domu.

Ciągle

niepewny reakcji wsunął do jej kieszeni banknot o wysokim nominale. – Byłbym bardzo zobowiązany...

–Proszę – wpuściła go do przestronnego holu. – Zobaczą, co się da zrobić. Chciał zaczekać przy drzwiach, ale kobieta wskazała mu drogę.

–Proszę – powtórzyła. Poprowadziła go w górę szerokimi marmurowymi schodami wprost do zaskakująco

skromnie urządzonej biblioteki służącej Jastrowowi za poczekalnię.

–Chwileczkę.

Otworzyła pobliskie drzwi, znikając za ich skrzydłem, ale nie szła dalej. Fargo słyszał, jak mówiła do kogoś szeptem, ale zrozumiał tylko kilka oderwanych słów. Wykrzywił wargi, kiedy po chwili drzwi otworzono na całą szerokość.

–Pan doktor prosi.

Wkroczył do obszernego, urządzonego z ascetyczną skromnością gabinetu. Pielęgniarka zamknęła za nim drzwi, sama zostając na zewnątrz. Dopiero wtedy spojrzał na siedzącego za biurkiem człowieka. Sucha, wręcz wychudła twarz okolona jasnymi, dobrze utrzymanymi włosami i markowe ubranie w niczym nie przywodziły na myśl starego szalonego naukowca, jakiego można by się spodziewać w takiej samotni. Obraz nowoczesnego i przy zdrowych zmysłach pracownika nauki burzył tylko jeden szczegół. Papieros, zamiast tkwić w znieruchomiałych przy ustach palcach, dopalał się w fałdach kosztownego swetra, powoli napelniając pomieszczenie swądem tłącej się wełny.

Fargo spojrzał w rozszerzone źrenice mężczyzny. Jastrow się ocknął. Zrzucił z siebie



niedopalek, przydusił dłonią tłący się sweter.

–Słucham pana? – zmarszczył czoło. – O przepraszam, zapomniałem... Proszę siadać, oczywiście.

Fargo powoli zajął stojący przed biurkiem fotel.

–Doktor Kaminsky uprzedził mnie o pańskiej wizycie...

–Zatem wie pan, że chciałbym odzyskać pamięć – powiedział cedząc słowa, jakby chciał się przystosować do sennej z pozoru atmosfery.

–Wiem... – Jastrow przygryzł wargi. – Nic pan nie pamięta z przeszłości?

–Nic.

–Rozumiem. – Lekarz sięgnął na półkę po cieniutki skoroszyt i wyciągnął go przed siebie w drżącej ręce. – Proszę wypełnić test.

Fargo był zupełnie spokojny. Wyjął z kieszeni długopis i szybko zaczął zakreślać kolejne rubryki, wybierając przypadkowe odpowiedzi. Starał się nie spuszczać wzroku z siedzącego naprzeciwko człowieka. Ostatnie warianty rozwiązań skreślił w ogóle bez czytania pytań.

–Proszę – położył skoroszyt na biurku. – Mam nadzieję, że nie trwało to za długo.

–Nie, nie... – Jastrow skwapliwie zaczął przewracać kartki. – Tak... Trudny przypadek - powiedział z przymusem. – Ale konfiguracja jest przejrzysta.

Po dłuższej chwili spojrział przed siebie.

–Beznadziejna sprawa. Przykro mi.

–Jak mam to rozumieć?

–Nie mogę przywrócić panu pamięci – powiedział oschle lekarz. Fargo o mało nie roześmiał się na głos.

–Mam tu orzeczenie komisji lekarskiej... – wyjął z kieszeni złożone pokwitowanie za neseser z hotelu i podniósł je tak, żeby tamten nie mógł odczytać nadruku.

–Komisji? Jakiej komisji? – Jastrow zdenerwował się nagle. – To ja jestem najlepszym specjalistą w kraju!

–Ale...

–Żadnych „ale”! Jeśli chce pan skończyć jako roślinka, to niech pan idzie do jakichś partaczy, którzy spieprzą...

–Przecież nie poszedłem do żadnych partaczy. Zwróciłem się od razu do pana. Odrzucony na bok skoroszyt nie utrzymał się na krawędzi biurka i spadł na podłogę.

–Mówiłem już: nic nie da się zrobić. Fargo zerwał się z krzesła.

–To pan zablokował mi pamięć! Lekarz poruszał wolno głową w lewo i w prawo.

–To pan! Pamiętam to! Mam dowód, to orzeczenie komisji... – potrząsnął kwitem.

–Blefuje pan.

–Nie!

–Blefuje pan – powtórzył spokojnie Jastrow. – I niech pan nie macha tym świstkiem. Nawet stąd widzę nadruk firmowy Marriotta.

Fargo opadł z powrotem na krzesło. Drżącą ręką wyjął z kieszeni chustkę i otarł czoło.

–A poza tym – ciągnął lekarz – jeśli ja zablokuję pamięć, to nikt niczego nie może pamiętać – zakrył twarz dłońmi.

–A więc... przyznaje się pan?

Jastrow wzruszył ramionami. Długą chwilę poruszał bezgłośnie ustami, jakby przygotowywał się do wypowiedzenia jakichś słów, potem zagryzł wargi, patrząc tępo przed siebie. Cisza przeciągała się. Wreszcie dotknął przycisku interkomu.

–Proszę mi przynieść płytę numer 622 z archiwum – powiedział. – Tak, tę, która leży w sejfie.

Odchylił się w fotelu, zakładając ręce na głowę.

–Tak, to ja – wyznał nagle. – Wiem, że jeśli pana stąd wyrzucę, to i tak znajdzie się ktoś, kto zdejmie blokadę. A do tego nie powinniśmy dopuścić.

Fargo otarł twarz. Pomimo klimatyzacji zrobiło mu się duszno.

–Kto panu kazał to zrobić? – spytał cicho. Jastrow uśmiechnął się ledwie dostrzegalnym skrzywieniem warg. – Pan.

–Ja?! To niemożliwe! To... to kłamstwo! Jastrow powstrzymał go ruchem ręki.

–Proszę chwilę zaczekać. W jego dłoni pojawił się następny papieros, ale nie zdążył go zapalić, gdyż w drzwiach

ukazała się znana już Fargo pielęgniarka. – Włączyć, panie doktorze?

–Tak.

Dziewczyna włożyła kompakt do kieszeni odtwarzacza i korzystając z pilota, włączyła plazmowy ekran wiszący na ścianie. Polaryzowane szyby w oknach gabinetu pociemniały w tej samej chwili. Po kilku sekundach obrazu kontrolnego Fargo zobaczył wewnątrz tego samego gabinetu z pustym fotelem na pierwszym planie.

–Proszę – z głośnika dobiegł głos Jastrowa. – Możemy zaczynać.

Na ekranie pojawiła się jakaś postać. Wysoki, chudy mężczyzna, który pochylał się, żeby usiąść. Fargo zacisnął dłonie aż do bólu. Tamten wyprostował się, patrząc prosto w ekran.

Boże... Ta blada, wymęczona twarz, trzęsące się ręce, mocno zaciśnięte wargi... Nie było najmniejszej wątpliwości. To był on! Młodszy o kilka lat, ale na pewno on sam!

–Mogę mówić? – usłyszał swój głos.

–Tak – to znowu był Jastrow. Ktoś musiał poruszyć obiektywem, bo na ekranie była już tylko twarz o rozbieganych oczach.

–Skoro oglądasz ten zapis – zaczął niepewnie młodszy Fargo – to znaczy, że chcesz odzyskać utraconą pamięć. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że to pragnienie

zaprowadzi

cię prędzej czy później do doktora Jastrowa. To najlepszy specjalista w tym kraju, więc zostawię to nagranie u niego – zawahał się na moment. – Przepraszam, że mówię do ciebie w tej formie, ale mimo że jesteśmy tym samym człowiekiem... – z trudem dobierał słowa. – Co ja chrzań! Po prostu wiem o czymś, o czym nie chcę, żebyś ty wiedział. Nigdy! Zrozumiałeś? Proszę cię, błagam, nie staraj się nigdy odzyskać pamięci. Grozi ci straszliwe niebezpieczeństwo! W moim życiu zaszło coś... – głos z ekranu urwał się nagle. Potem podjął znowu, prawie szeptem: – Doktor daje mi znaki, żebym nie mówił nic konkretnego, bo to może cię przypadkiem odblokować. Dodam więc tylko: przysięgam, że to ja sam kazałem wymazać sobie pamięć. Zrobiłem to dobrowolnie, bez żadnego nacisku. Obok kamery nie stoi nikt z pistoletem, nikt nie wymusza na mnie tych słów. Błagam, uwierz mi! – Postać na ekranie spojrzała nagle prosto w kamerę. – Na rany Chrystusa! Nigdy nie usiłuj odzyskać pamięci! Stało się coś potwornego! – krzyk przeszedł w zduszony szept: – Nigdy, pamiętaj...

Jastrow skinął na pielęgniarkę, ekran zgasł, a szyby w oknach znów stały się przezroczyście. Doktor zapalił wreszcie trzymanego przez cały czas w dłoni papierosa, a dziewczyna stanęła obok jego fotela.

–Przekonałem pana? – spytał po chwili.

Fargo siedział nieruchomo, patrząc w podłogę.

–Widzę, że mimo amnezji doszedł pan do znacznych pieniędzy – podjął doktor. – Jest pan świetnie ubrany, nadal dość młody... Czy nie lepiej wypełnić sobie życie czymś przyjemnym?

–A wie pan, co czuje człowiek bez przeszłości? – Fargo podniósł głowę.

–Wszystko przed panem, może...

–Nie – jego głos zabrzmiał twardo. – Jestem chory. Śmiertelnie chory.

–Ale...

–Zaraz – tym razem nie dał sobie przerwać. – Nie mam już czasu. Nie mam przyjaciół, nie mam nikogo, kto byłby mi bliski... Odebrano mi nawet wspomnienia z dzieciństwa.

–Chce pan wrócić do tamtych koszmarów? – Jastrow wzruszył ramionami. – Antidotum mam nadal w sejfie.

Wstał i szybko podszedł do ściany. Nie bacząc na obecność pielęgniarki i gościa odsunął niewielkiego Rembrandta, przyłożył kciuk do skanera i otworzył pancerne drzwiczki. Kiedy odwrócił się, w ręce nie trzymał jednak fiolki. Dzierżył wielki, oksydowany rewolwer.

–Nie, Fargo! – krzyknął. – Nigdy na to nie pozwolę! – Rozległ się trzask odwodzonego kurka. – Już nigdy nie będziesz...

Fargo spojrzał w rozszerzone strachem oczy pielęgniarki.

Nagła ciemność i potworny pęd nie były już niczym obcym. Podbił zaskoczonemu Jastrowowi rękę, wyrwał mu broń i odrzucił na środek pokoju. Natychmiast wrócił do własnego ciała i podniósł broń. Zanim przerażona dziewczyna na dobre oprzytomniała, stał mierząc do przerażonego lekarza z jego rewolweru.

–Ty draniu! – wyszeptał przez ściśnięte gardło.

–Nie... – Jastrow błędnym wzrokiem spoglądał to na niego, to na oszłomioną pielęgniarkę. – Nie, to nie tak...

–Ty świni!

–Nie, panie Fargo. Nie chciałem pana zabić... To miał być tylko szok. Chciałem pana przestraszyć!

Lufa uniosła się na wysokość jego twarzy, ale Jastrow zdołał się już wziąć w garść i rozciągnął usta w nerwowym uśmiechu.

–Nie jest nabity.

Fargo, nie będąc fachowcem od broni, nie potrafił otworzyć rewolweru, lecz nie trzeba być rusznikarzem, żeby rzucić okiem na widniejące po bokach komory obrotowego bębna. Doktor mówił prawdę. Wściekły rzucił rewolwerem w okno. Pancerna szyba zadrżała, ale wytrzymała.

–Dlaczego?! – zacisnął pięści. Jastrow, ignorując drżącą wciąż pielęgniarkę, podszedł do odtwarzacza.

–Chcesz wiedzieć? To posłuchaj! – nacisnął klawisz. Tym razem twarz na ekranie była spokojna. Niski, hipnotycznie brzmiący głos zdradzał jednak lekkie zdenerwowanie.

–Gdybym nie posłuchał swoich instrukcji, upoważniam doktora Jastrowa do... zabicia mnie w jakikolwiek sposób.

Lekarz wyłączył urządzenie.

–Czy przekonałem pana tym razem? Fargo powoli podniósł głowę.

–Słuchaj, Jastrow – powiedział z rozmysłem. – Ja naprawdę nie mam nic do stracenia.

–Dureń! – Lekarz podszedł do sejfu i wyjął z niego małą fiolkę.

–Jedna pastylka powinna wystarczyć – powiedział zrezygnowanym głosem. – Jeśli nie poskutkuje, weź następną, ale nie od razu...

Wyciągnął przed siebie rękę.

–Pytam po raz ostatni: na pewno tego chcesz? Fargo podbił mu dłoń i zręcznie chwycił fiolkę w powietrzu.

–Nie myśl, że się zawaham – powiedział twardo.

\* \* \*

Hotelowe łóżko było bardzo wygodne. Specjalne amortyzatory i wodny materac czyniły z niego prawdziwe dzieło sztuki użytkowej. Projektant przewidział wszystkie sytuacje. Na łóżku można było spać, pracować, kochać się, oglądać telewizję, przyjmować gości – do adaptacji jego powierzchni służył komplet dyskretnie ukrytych, ale łatwo dostępnych dźwigni i uchwytów. Konstruktorzy nie przewidzieli jednak sytuacji, w jakiej znalazł się Fargo.

Kilkugodzinne przewracanie się z boku na bok sprawiło, że plastikowe zatrzaski prześcieradła wysunęły się z uchwytów, a ono samo zmięte zwisało na podłogę. Skołtuniona koldra też leżała na dywanie.

Po raz setny wyjął z fiolki tabletkę, zbliżył do ust i odłożył z powrotem, klnąc w duchu własne niezdecydowanie. Nie bał się. To, co powiedział mu Jastrow, zrobiło na nim wrażenie, jednakże wahał się z innego powodu. Coś, o czym marzył od lat, było teraz w zasięgu ręki i to właśnie, tak łatwe osiągnięcie celu, porażało go do granic niemocy. Spojrzał na leżące na telewizorze resztki hot doga. Uśmiechnął się w duchu. Po pierwszych dniach szaleństw okazało się, że nie nęcą go wyszukane potrawy. Wiele lat żebraczego życia sprawiło, że chciał mieć to, o czym marzył przez cały ten czas. Chciał mieć dużo hot dogów, mnóstwo tanich hamburgerów i poczucie całkowitego bezpieczeństwa. Każdorazowo po wyjściu kelnera rygłował drzwi na wszystkie zamki i sprawdzał zamknięcia uchylnych okien.

Połknięcie pastylki miało zburzyć bezpieczną twierdzę, prawdziwą fortecę niewiedzy, której murami był od lat otoczony. Nie wiedział, czy chce jednym ruchem ręki przekreślić całą przeszłość, którą pamiętał. Z drugiej strony... Gdzieś tam, za nieprzeniknioną zasłoną w jego mózgu tkwił upragniony Eden dzieciństwa, wszyscy ludzie, którzy znali go i pamiętali, wszystkie miejsca, gdzie był i gdzie zostawił swój ślad.

Przenikliwy ból, jaki od paru godzin dawał mu się we znaki w okolicach żołądka, sprawił, że wstał i zaciskając zęby, zaczął krażyć od ściany do ściany. „Przecież nie mam wyjścia” - powtarzał w myślach. Uważając, żeby nie zgnieść fiolki w dłoni, podszedł do barku. Szybko napełnił cztery kieliszki koniakiem, wrzucił pastylkę do jednego z nich i czekał, aż rozpuści się całkowicie. Potem długo przestawiał kieliszki, aż stracił orientację, który jest który. Zaczekał, aż dłonie przestaną mu drżeć, wziął głęboki oddech i wychylił zawartość pierwszego naczynia.

Wraz z ogarniającym ciałem ciepłem uderzyła go nowa fala bólu. Nie wiedział, ile przesiedział zgięty wpół w przepastnym fotelu. Piętnaście minut? Pół godziny? W każdym razie kiedy wstał, był już o wiele spokojniejszy. Znowu podszedł do barku. Spojrzał na ustawione rzędkiem trzy kieliszki. „No, szybko” – ponaglił się w myśli. Jeden za drugim, jak wtedy, gdy dowiedział się o śmierci rodziców. „Lot numer... jest opóźniony z powodu...” -głos spikerki portu lotniczego zamilkł nagle, by odezwać się dopiero po dłuższej chwili. „Krewnych i znajomych oczekujących na pasażerów lecących z Londynu prosimy o przejście na terminal trzeci... Służba medyczna zgłosi się natychmiast na terminal numer trzy...”

Chryste! Uderzył się ręką w czoło. To działa! Pastylka była w pierwszym kieliszku. Działa!!! Więc Jastrow miał rację... Oszolomiony rzucił się na łóżko, czując, że pamięta: Mały domek na południu Anglii; starą gospodynię, która wyjechała do wnuków w Ontario i nigdy nie wróciła; swój kompleks na punkcie Phila Hageny, kolegi ze szkoły, który nie dość, że zawsze miał rację, to jeszcze był silny i wredny; małego austina, którego dostał, kiedy ukończył kurs na prawo jazdy...

W szoku zerwał się z łóżka i podbiegł do drzwi, chcąc wyjść na korytarz. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że jest w piżamie. Zamarł z rękami opartymi o futrynę. Pamiętał! Pamiętał wszystko. I szkołę, i studia na wydziale malarstwa, swoich kolegów, sympatie, znajomych, i... dzień, w którym rozpoczął się jego koszmar.

\* \* \*

–Witaj, Lynn!

Fargo odwrócił się, ale z tyłu nie było nikogo. Wąski pas zieleni dzielący mury uczelni od ulicy był pusty. Gdzieś z boku, na przystanku autobusowym, kręciło się kilka osób, ale okrzyk nie mógł pochodzić stamtąd.

–Lynn! Podniósł głowę.

–Jestem tu, w niebie. – Patty Neel do połowy wychylała się z okna na pierwszym piętrze.

–W niebie?! – krzyknął. – W takim razie, jak nazwiesz wyższe kondygnacje? Machnęła ręką.

–Chodź na górę. Zajęłam ci kolejkę.

–Jaką kolejkę...? – urwał, widząc skrzywione twarze przechodzących obok profesorów.

–Ruszaj się. Przede mną są tylko dwie osoby – trzasnęła okiennicą, niknąc za odbijającą zachodzące słońce taflą szkła.

Fargo wzruszył ramionami i powlókł się w stronę wejścia. Już na schodach wpadł na obciążonego ogromną teką z rysunkami Raya Dewhursta.

–Cześć – teka z hukiem upadła na stopę właściciela – mam dla ciebie zaświadczenie, o które prosileś.

Fargo wyciągnął rękę po złożoną we czworo kartkę.

–Złatwileś nam tę praktykę?

–Prawie... – Dewhurst ponownie chwycił rysunki. – Na razie odnieś ten świstek do dziekanatu i poproś, żeby go dołączyli do twoich akt.

–Fajnie, dzięki.

Ray skinął głową.

–Postaraj się zdążyć przed zamknięciem dziekanatu – dodał, otwierając drzwi nogą. –

Jutro od rana rozpatrują wnioski.

Fargo spojrział na zegarek. Miał jeszcze dużo czasu, ruszył więc na poszukiwanie Patty.

Na wąskim korytarzu pierwszego pięta ludzie tłoczyli się jak we wnętrzu autobusu w godzinach szczytu. W rzeczywistości stało tam zaledwie kilkanaście osób, ale w porównaniu z ogarniętą już popołudniową sennością resztą kampusu nawet tak niewielka grupka sprawiała wrażenie tłumu. Fargo z trudem przecisnął się pod drzwi gabinetu.

Patty czekała na samym początku kolejki.

–Nareszcie – na jego widok rozłożyła ręce. – Gdyby nie ja, musiałbyś tu przyjść jutro.

–O co chodzi? – przyjrzał się kartce na drzwiach, ale ta nie wyjaśniała niczego.

–Pamiętasz, jak w zeszłym miesiącu komisja z wydziału psychiatrii robiła nam testy?

Zmarszczył brwi na wspomnienie nudnych godzin zmarnowanych na wypełnianiu zawyżonych formularzy.

–To ci, co męczyli nas przez dwa dni?

–Tak. – Patty wskazała kciukiem drzwi. – Opracowali wyniki i właśnie je rozdają.

–Długo to potrwa?

–Trochę. W programie mają jeszcze – zrobiła zabawną minę – rozmowę z „pacjentem”.

–Cholera – znowu zerknął na zegarek. – Muszę wpaść do dziekanatu przed zamknięciem - odruchowo podniósł trzymaną w ręce kartkę.

Twarz dziewczyny przybrała wyraz najwyższego poświęcenia.

–Znaj moją dobroć.

–Co?

–Wejdz pierwszy – wpuściła go przed siebie. – A tak nawiasem mówiąc, masz chwilę czasu dziś wieczorem?

–Hm, zależy, jak długa ma być ta chwila...

–Nie drocz się.

–Może znajdę...

Przerwało mu głośnie otwarcie drzwi, w których pojawił się student z grubą kopertą pod pachą.

–Może wchodzić następny – powiedział.

–Idź. – Patty popchnęła go lekko. Wewnątrz adaptowanego na pokój przyjęć gabinetu siedziały tylko trzy osoby. Dwóch

lekarzy, jeden za biurkiem, drugi przy drukarkach, oraz sekretarka pochylona nad klawiaturą uczelnianego terminala.

–Nazwisko?

–Lynn Fargo.

–Zaraz znajdziemy pańskie papiery. Chcielibyśmy najpierw... – Lekarz urwał nagle, wpatrując się w jego twarz. Drugi znieruchomiał, spojrzawszy na Fargo znad okularów o grubych

szklach. Sekretarka podniosła głowę.

–Czy... coś się stało?

–Ach, nie – zachnął się ten za biurkiem. – Po prostu... pańskie wyniki trochę odbiegają od przeciętnej... – widać było, że z trudem dobiera słowa. – To znaczy, są diametralnie różne...

–Czy mogę je zobaczyć? – przerwał Fargo.

–Obawiam się, że nie. Zabrała je instytucja, która zleciła badania. – Na ustach siedzącego pojawił się nieszczery uśmiech.

–Ale na pewno je panu przyślą – dodał drugi.

–Czy coś mi jest? – zaniepokoił się Fargo. – To jakaś choroba?

–Ależ skąd. Nie badaliśmy podatności na choroby psychiczne.

–Więc co? – spytał niezbyt grzecznie.

–My tylko opracowujemy testy – siedzący nad kartami lekarz zdjął okulary. – Na pewno przyślą panu wyniki, proszę się niczym nie martwić.

–Wychodząc, poproś następnego – powiedziała sekretarka.

Fargo czuł, że nie dowie się niczego więcej. Złość na waźniaków za biurkiem na moment przygłuszyła rodzący się w głębi duszy niepokój, obrzucił ich więc pogardliwym spojrzeniem i wyszedł trzaskając drzwiami.

–Co, już? – Patty zgasła dopiero co zapalonego papierosa. – Tak szybko? Zdołał się uspokoić na tyle, żeby odpowiedzieć niefrasobliwym tonem:

–Mojego geniuszu nie da się zmierzyć. Będą mi stawiać pomniki.

–Tak, tak! – krzyknął ktoś z kolejki. – Przed czy po tym, jak cię zamkną na tym samym oddziale co obu Einsteinów i Napoleona?

–Nie przejmuj się tak bardzo. Nie zabraknie tam miejsca i dla ciebie! – odciął się Fargo. – Muszę lecieć – powiedział do Patty. – Dziękuję za zajęcie miejsca.

Na schodach przypomniał sobie, że mógł spytać nadętych lekarzy, jaka instytucja zleciła badania. Zatrzymał się nawet, ale w końcu machnął ręką. Nie zamierzał wracać na górę. Szybko przebiegł ostatnie stopnie i otworzył ciężkie, rzeźbione drzwi będące jedyną ozdobą holu. Dziekanat o tej porze był pusty, jedynie panna Muriel siedziała za szeroką ladą i widać było, że liczy minuty dzielące ją od pójścia do domu.

–To znowu ty? – uśmiechnęła się leniwie.

–Muszę włożyć zaświadczenie do swoich akt.

–Przecież robiłeś to dziś rano. Rozprostował trzymaną w dłoni kartkę.

–To zupełnie inna sprawa. Załatwiamy z Dewhurstem specjalną praktykę – wyjaśnił cierpliwie. – Stąd tyle świstków.

–Ta biurokracja kiedyś nas wykończy. – Panna Muriel zasłoniła ręką usta. – Nie dalej jak przed godziną dwóch ludzi sprawdzało kartotekę. Myślałam, że będą tu siedzieć do nocy, ale oni wyszli już po minucie.

–Po minucie? To ktoś od nas? Z uczelni?

–A skąd. Jakieś nieciekawe typy.

Fargo uśmiechnął się z przymusem, podchodząc do zawierającej kartotekę, ukrytej za przepierzeniem wnęki. – Mogę?

–Jasne.

Szybko odnalazł własną przegródkę. Miał już włożyć do niej nowy dokument, kiedy zamarł nagle z wyciągniętą ręką. Jego papiery leżały w zupełnie inny sposób, niż je zostawił rano. Ktoś tu zaglądał? Przecież komisja kwalifikacyjna miała zacząć dopiero jutro...

Powoli



zamknął szafę i wrócił do głównej sali.

–Mówiła pani, że skąd byli ci ludzie, którzy tu szperali?

–Pojęcia nie mam. Dziekan kazał ich wpuścić. Panna Muriel podała mu elegancką podłużną kopertę.

–Byłabym zapomniała, jest list do ciebie – zdobyła się na miły wyraz twarzy.

–Przyszedł tutaj? Na adres uczelni?

–Doręczył go goniec. Ale mam prośbę – uśmiechnęła się. – Przeczytaj go na zewnątrz.

Muszę już zamykać.

–Oczywiście, proszę pani. Dziękuję.

Pomógł jej domknąć ciężkie drzwi. Potem z niecierpliwością rozerwał cienki papier. „Kierownictwo Tyson House Museum ma zaszczyt zaprosić Pana na uroczysty bankiet, który odbędzie się w czwartek po południu. Obowiązują stroje wieczorowe. Z poważaniem...” – Tu następował zamaszysty, ale nieczytelny podpis.

„Po południu” – wzruszył ramionami – „nawet nie raczyli podać godziny”. To była pierwsza myśl. Tyson House? Nigdy nie słyszał o takim muzeum. Czyżby to miało jakiś związek z jego obrazami? Megalomania... Jeszcze raz przebiegł oczami tekst, ale pokryta drukiem kartka nie zawierała żadnego wyjaśnienia.

\* \* \*

Wielki staromodny gmach muzeum w niczym nie przypominał przybytku nowoczesnej sztuki. Być może, opiewający rewolucję w architekturze lat dwudziestych minionego stulecia, Reyner Banham uznałby go za krok milowy w budownictwie tamtego okresu, ale była to już zamierzchła przeszłość i Fargo nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że ktoś popełnił pomyłkę. Podejrzenie to przybrało na sile, kiedy wszedł do rozległego holu. Portier w liberii zerknął na zaproszenie i wskazał mu drogę, mówiąc, że część oficjalna już się zaczęła.

–Na tym świstku nie było nawet godziny. – Fargo czuł się wyjątkowo źle w pożyczonym od kolegi smokingu.

Odpowiedział mu tylko kolejny ukłon.

–Czy nikt nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości?

–Nie, proszę pana. Mocno zdenerwowany, ruszył schodami pokrytymi czerwonym dywanem. Przed

ogromnymi, dwuskrzydłowymi drzwiami nie było nikogo z obsługi. Niepewnie rozejrzał się wokół i po chwili wahania szybko wślizgnął do środka. Bezszelestnie domknął drzwi, podniósł głowę i skamieniał, opierając się plecami o rzeźbione drewno. Z wysokiej na kilka kondygnacji, przestronnej sali usunięto wszystkie sprzęty. Powstała w ten sposób wolną przestrzeń zapełniała może sto, może dwieście osób – mężczyźni w nieskazitelnych smokingach i kobiety w długich, wieczorowych toaletach. Na środku, przy niewielkiej

mównicy nobliwie wyglądający starszy pan mówił coś o roli, jaką Tyson House Museum i cała fundacja Tysona odegrała w akcjach dobroczynnych. Ale nie to było dziwne. Fargo znał większość obecnych, oczywiście nie bezpośrednio. Było tu wielu polityków, w tym kilku bardzo znanych, biznesmenów, prezenterów telewizyjnych, aktorów, pisarzy... Większość twarzy pojawiała się w telewizji czy w gazetach.

„Cholera, co ja tu robię?” – przemknęło mu przez głowę. – „Kto mógł mnie zaprosić?” Ponieważ w dalszym ciągu nikt się nim nie interesował, ruszył na dyskretny obchód sali. Ludzie stali wokół, usiłując ukryć znudzenie. Co chwilę ktoś zerkał ukradkiem na zegarek, jakby chciał się upewnić, ile czasu zostało do rozpoczęcia części nieoficjalnej. Znał doskonale tę atmosferę ze wszystkich uroczystości, w jakich brał udział na uczelni. Z boku dobiegł go cichy szept. Odwróciwszy głowę zobaczył dwóch mężczyzn stojących pod ścianą.

–Nie wytrzymam do bankietu – mówił młodszy. – Tego nie da się zdzierżyć na trzeźwo. Starszy, może sześćdziesięcioletni, kiwał głową z dyskretnym uśmiechem.

–Jakiś kelner podaje ukradkiem whisky w korytarzu – ciągnął pierwszy. – Dałem mu pięć funtów za dwie szklaneczki, ale drań nie chciał sprzedać więcej – wzruszył ramionami. –

Idę...

Może gdzie indziej coś znajdę.

Kiedy odszedł, jego miejsce zajął potężnie zbudowany facet o twarzy buldoga.

–Pileś – szepnął starszy mężczyzna.

–Skąd pan wie, szefie?

–Słyszałem o tym kelnerze. Ile tym razem dostał?

–Tylko raz – wyraźnie przestraszony atleta odruchowo masował pięść. – Naprawdę tylko raz i to nie w mordę, ale czysto, w splot.

–Ciszej – uspokajający gest przerwał tamtemu. – Zawołaj Harolda.

Fargo nie zdążył opuścić wzroku, kiedy starszy pan odwrócił głowę. Ich oczy spotkały się na wystarczająco długą chwilę, żeby tamten zdążył się uśmiechnąć. Powoli zrobił kilka kroków.

–Paul Keldysh – przedstawił się. – Lynn Fargo, nieprawdaż? Mógłbym prosić o chwilę rozmowy? To przemówienie nie jest chyba dla pana specjalnie interesujące?

–Nie bardzo...

–W takim razie chodźmy. Keldysh lekkim ruchem uchylił skrzydło ciężkich drzwi, przepuszczając go przodem.

–Tędy – wskazał schody. – To ja pozwoliłem sobie zaprosić pana tutaj. Mówił miłym, głębokim głosem, znamionującym pewność siebie. Bardzo wyraźnie

akcentował każde słowo. Musiał być kiedyś zawodowym aktorem albo ktoś szkolił go w technice budzenia sympatii do siebie.

–Jestem znany ze swoich dziwactw, do których można zaliczyć również bywanie na tego typu imprezach – ciągnął. – Nie jest to jednak wyłączny powód, dla którego ośmieliłem się ściągnąć tu pana. Ale o tym później.

–Nie wygląda pan na człowieka, którego interesuje nowoczesna sztuka – odparł Lynn. –  
Przepraszam, jeśli...

–Nie ma pan za co przepraszać. Tak jest w istocie. – Keldysh rozłożył ręce. – Charakter  
pańskich studiów nie ma nic wspólnego z naszym spotkaniem.

–A co ma? – wypalił bezmyślnie.

Znowu miły uśmiech, którego autentyzm w niesamowity sposób zjednywał sympatię.

–Jestem reprezentantem instytucji, która zleciła badania, między innymi na pańskiej  
uczelni.

–Pan jest psychiatrą?

–Nie.

Na trzecim piętrze skręcili w tonący w półmroku korytarz. Po kilkunastu krokach  
Keldysh otworzył jedno z licznych drzwi.

–Proszę.

Weszli do sporych rozmiarów gabinetu zastawionego szafami i regałami ze starymi  
książkami, pełnego wypchanych zwierząt, miniaturowych rzeźb, popiersi i starych, sądząc  
z wyglądu autentycznych, mebli. Pokój nie miał okien, jedynie pochyła, półkolista szyba łączyła  
go z salą, którą opuścili przed chwilą.

Keldysh zapalił małą lampkę na biurku. Okazało się, że w gabinecie jest ktoś jeszcze.  
Siedzący w staroświeckim fotelu przystojny młody mężczyzna uniósł się lekko.

–Harold Clancy – przedstawił się. – Proszę, niech pan siada.

Fargo skinął głową. Usiadł w drugim fotelu, Keldysh zajął

miejsce za biurkiem. Powolnym ruchem wyjął z szuflady dużą szarą kopertę, taką samą,  
jakie kilka dni temu otrzymali pozostali studenci biorący udział w eksperymencie.

–To pańskie wyniki – powiedział.

–Hm... Jeśli można, chciałbym się dowiedzieć, kogo właściwie panowie reprezentują?

Keldysh ze swoim charakterystycznym uśmiechem opuścił wzrok, przyglądając się  
czemuś na blacie biurka. Kiedy ponownie podniósł głowę, jego twarz była już poważna.

–Jestem szefem bardzo małej, świetnie zakonspirowanej komórki – powiedział cicho. – Do  
jej obowiązków należy troska o bezpieczeństwo wydziałów MI5 oraz MI6.

–Wywiad i kontrwywiad? – Fargo poruszył się niespokojnie. – Nie zamierzam pana urazić,  
ale mam wrażenie, że każdy może powiedzieć: jestem szefem kontrwywiadu.

Znów ciepły, budzący zaufanie uśmiech.

–Nie mam żadnej legitymacji, ale sądzę, że nie będzie trudno pana przekonać.

–Ale...

–Mam do pana tylko jedną prośbę – Keldysh nie dał mu dojść do słowa – chciałbym, żeby  
wysłuchał pan mojej opowieści i czekał, aż pokażę dowody... – zawiesił głos. – Zdaję sobie  
sprawę, że będę mówił o rzeczach szokujących – podkreślił to słowo, jakby bawiąc się jego  
brzmieniem. – Ale proszę naprawdę tylko o kilka chwil uwagi.

Fargo wzruszył ramionami. Nie wiedział, co myśleć o całej sytuacji. Gdyby nie przedziwna zdolność budzenia zaufania i przekonywania Keldysha, to...

–Dobrze, słucham – powiedział w końcu.

–Świetnie. – Starszy pan wyraźnie się rozluźnił i umościł wygodniej w fotelu. – Może kawy?

–Nie, dziękuję.

Keldysh oparł łokcie na poręczach krzesła i splótł palce.

–Wszystko zaczęło się parę lat temu, kiedy znany panu zapewne profesor Henry Fulbright powrócił z wyprawy do Tybetu. Zaszło tam coś... – urwał na chwilę. – Niestety,

nie wiemy, co sprawiło, że zmienił tak diametralnie kierunek badań. W każdym razie do Anglii przyjechał już z gotowym programem eksperymentów. Fulbright był inteligentnym człowiekiem i zdawał sobie sprawę, że podobnego profilu nie przyjmie żadna uczelnia ani tym bardziej żaden instytut powiązany z przemysłem. Więc zwrócił się do MI5.

–Czego dotyczyły badania?

Keldysh milczał dłuższy czas.

–Możliwości przeniesienia własnej psychiki do ciała drugiego człowieka – powiedział wreszcie. – W stopniu wystarczającym do kierowania nim – dodał natychmiast. – Nie muszę

mówić, jakie znaczenie miałby ten dar dla wywiadu.

Fargo kaszlnął dyskretnie.

–Niech pan słucha dalej. Fulbright potrzebował pieniędzy, dużo pieniędzy. I dostał je. Sam skompletował zespół i rozpoczął badania w specjalnym ośrodku tutaj, w kraju.

Niedługo

potem osiągnął rewelacyjne wyniki.

Fargo lekko przygryzł wargę.

–Okazało się, że pewne osoby, obdarzone specyficznymi cechami psychicznymi, po odpowiednim treningu są w stanie zawładnąć ciałem drugiej osoby bez użycia jakichkolwiek

środków chemicznych czy mechanicznych. Fulbright opracował testy pozwalające wykryć takie cechy, za ich pomocą znalazł oraz wyszkolił pewną liczbę osób. Sam zresztą dysponował odpowiednimi cechami i dużą, jeśli można to tak określić, mocą. Niestety, wkrótce po zakończeniu pierwszej fazy projektu zniknął.

–Jak to zniknął? Umarł? Zabili go?

Keldysh udał, że nie zauważa ironii w głosie Fargo.

–Nie jest łatwo zabić człowieka o takich możliwościach jak Fulbright. Oczywiście, można zastrzelić każdego, ale powstaje pytanie, czy kula przeszła całego człowieka, czy tylko jego ciało? Czy ofiara w ostatniej chwili nie przeniosła swojej psychiki do ciała jakiegoś

świadka albo wręcz do mózgu człowieka pociągającego za spust.

–Więc co się stało?

–Tego nie wiemy. Przyjęliśmy roboczą hipotezę, że któryś z asystentów, sam obdarzony

**odpowiednimi cechami, zlikwidował profesora, żeby objąć władzę nad jego zespołem.**

–Po co?

–Nie wiem – przyznał szczerze Keldysh. – Nie mam pojęcia, jaki może być jego cel. W każdym razie wiele faktów wskazuje, że MI5 jest od pewnego czasu rozpracowywany od środka.

–O rany – mruknął Fargo. – Gdyby tacy ludzie istnieli naprawdę, ich władza byłaby ogromna. Wystarczyłoby pokierować premierem...

–To nie jest takie proste – wtrącił milczący dotąd Clancy. – Można, oczywiście, „wstrzelić” swoją psychikę w mózg dowolnego człowieka, ale tym samym wcale nie poznaje się jego pamięci, przyzwyczajień, cech osobowości ani nawet charakteru pisma. Nawet średnio wykształcony człowiek bez trudu zauważy podmiannę.

–Właśnie – powiedział Keldysh. – Niemniej niebezpieczeństwo jest wielkie. Człowiek, który objął schedę po profesorze, opanował cały zespół. Jego możliwości są ogromne.

–I oni rozpracowują wywiad?

–Tak.

–Po co?

–Już mówiłem. Niestety, nie wiemy.

–Czy nie można ich po prostu powystrzelać?

–O tym również mówiliśmy. Nie można. Dopóki działają we własnych ciałach, możemy częściowo ich obserwować.

–Kukulki z Midwich... – mruknął Fargo. – Walnijcie w nich atomówką!

Keldysh uśmiechnął się z sarkazmem.

–A skąd pewność, że nie mają swoich ludzi rozsianych po całej Anglii... Ba, po całym świecie?

–Obecna sytuacja jest następująca – powiedział Clancy. – Oni rozpracowują MI5, a my, tajna komórka bezpieczeństwa, rozpracowujemy ich.

Fargo się zamyślił. Dopóki Clancy milczał, był skłonny sądzić, że Keldysh jest chorym psychicznie lordem, któremu rodzina pozwala na wszelkie ekstrawagancje, angażując jednocześnie pielęgniarkę chroniącego go przed atakiem, a samą rodzinę przed skandalem. Ale teraz...

–Proszę słuchać dalej. Udało nam się zrobić kopie materiałów Fulbrighta. Teraz sami przeprowadzamy testy, żeby wykryć odpowiednich ludzi, i wiemy nawet, jak ich szkolić.

–Testy? Czy...

–Właśnie. – Clancy pochylił się w fotelu. – Pan jest człowiekiem dysponującym ogromnymi możliwościami. I chcemy, żeby nam pan pomógł.

–Chyba nie mówi pan poważnie?!

–Proszę się zastanowić – wtrącił Keldysh. – Na pewno w pana życiu miały miejsce fakty i zdarzenia mocno niepokojące...

–Ale skąd...? – Fargo gorączkowo przeszukiwał pamięć. Nie, to zwykły idiotyzm!

Przypomnił sobie noc, kiedy dowiedział się o śmierci rodziców. W paraliżującym szoku wpatrywał się w człowieka, który przyniósł mu tę wiadomość. Wtedy, przez ułamek sekundy wydawało mu się, że widzi siebie samego z zewnątrz. Albo... Nie, to bzdury!

–Może skończymy z tą farsą – powiedział ostro. Zapadła nieprzyjemna cisza.

–Już na wstępie powiedziałem panu, że dysponuję odpowiednimi dowodami, żeby pana przekonać. Haroldzie...

–Tak. – Clancy wstał ociężale i wyszedł na korytarz. – Przed panem znaleźliśmy pewną dziewczynę – podjął Keldysh. – Jest już przeszkolona. Dysponuje, co prawda, tylko ułamkiem pańskich możliwości, ale na pewno pana zadziwi.

Kiedy drzwi otworzyły się ponownie, stanęła w nich piętnasto- może szesnastoletnia dziewczyna. Miała miłą inteligentną twarz z łobuzersko przymrużonymi dużymi oczami.

–Możemy zaczynać? – spytał stojący za nią Clancy.

–Jasne – odparła bez wahania. Jej sterczące na środku głowy, ścięte krótko włosy drżały lekko.

–Proszę ze mną. – Keldysh wstał i podeszli do pochyłej szyby nad salą, w której ciągle ktoś przemawiał. – Kogo pan wybiera?

–Słucham?

–Proszę wybrać kogokolwiek, a my z pomocą Kate zmusimy go do zrobienia tego, czego pan sobie zażyczy. Może pan żądać wszystkiego. Może prócz rozebrania się do naga w obecności wszystkich osób. Osobiście wolalbym uniknąć skandalu obyczajowego.

Fargo nachylił się nad szybą.

–Mogę wybrać, kogo chcę? – usiłował zawrzeć w głosie jak najwięcej ironii.

–Oczywiście. Wybrał znaną piosenkarkę. Bardzo by chciał, żeby się rozebrała, jednakże powiedział

tylko:

–Niech upuści torebkę, ale jej nie podnosi, tylko wyciągnie rękę w kierunku tego okna.

–Dobrze. – Keldysh przeniósł wzrok na nastolatkę. – Kate, słyszałaś?

–Tak. Dziewczyna oparła ręce o parapet. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia jej ciało stężało.

Fargo

wy tężył wzrok. Piosenkarka najpierw podniosła głowę i patrząc wprost na niego, bezczelnie mrugnęła okiem. Potem z fantazją odrzuciła torebkę i wyciągnęła rękę w stronę okna.

Po chwili ciało Kate zwiotczało, dziewczyna cofnęła się w głąb pokoju. Piosenkarka potrząsała głową, przykładając dłoń do czoła, podczas gdy towarzyszący jej mężczyzna podnosił torebkę.

–Wiem! – krzyknął Fargo. – Ona ma mikrofon w uchu.

–Mógł pan wybrać kogokolwiek.

–Oni wszyscy są na podsłuchu... Keldysh roześmiał się głośno.

–Teraz dopiero stało się jasne, dlaczego zaprosiłem pana właśnie tutaj – powiedział po chwili. – Czy naprawdę sądzi pan, że ci wszyscy politycy, biznesmeni, aktorzy zebrali się tylko po to, żeby zrobić panu kawał?

Fargo zakrzuszył się własną śliną. To było mocne. Argument nie do zbiccia. Słowa Keldysha wstrząsnęły nim i po raz pierwszy poczuł coś na kształt... może jeszcze nie wiary, ale początków zaufania.

–Ależ... ależ to niemożliwe! – wymamrotał bez przekonania.

Keldysh przysiadł na skraju biurka.

–Widzę, że ma pan racjonalny umysł, tak jak ja – zamyślił się. – Jeśli człowiek widzi rano na ulicy wyłącznie pomalowanych na niebiesko Murzynów z krokodylami na smyczy, to wcale nie znaczy, że armia okupacyjna Górnej Wolty zajęła nocą Londyn. Znaczy to, że trzeba udać się do psychiatry. Tak... – ukrył na moment twarz w dłoniach. – I tu mamy do czynienia z bolesną rzeczywistością.

Fargo potrząsnął głową w zamyśleniu. Ciągle nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. A jeśli zastosowali jakieś triki?

–Dobrze, ale chcę mieć absolutną pewność – powiedział. – Pan Clancy wyjdzie na korytarz i zamknie drzwi na klucz. Pan zablokuje klamkę od wewnątrz krzesłem – mówił gorączkowo. – Zrobimy jeszcze jedną próbę. Kate „wstrzeli się” we mnie.

–Zgoda. Przypominam jednak, że ona nie pozna pana pamięci. Proszę nie kazać pisać jej na kartce słów, które zna tylko pan.

–Rozumiem. – Fargo po wyjściu Clancy’ego sam zablokował drzwi. – Ważę około stu sześćdziesięciu funtów. Nie jest pan w stanie wnieść mnie na tę szafę, nawet z pomocą dziewczyny. Dla mnie samego to igraszka.

–Masz na to dziesięć sekund – powiedział do Kate.

–Podziwiam pańską pomysłowość. – Keldysh z uznaniem skinął głową. – To będzie naprawdę obiektywny dowód.

–Możemy zaczynać? – Fargo czuł, że drżą mu ręce.

–Tak.

Spojrzał na zegarek, usiłując zapamiętać wyświetlone sekundy, zanim ogarnęła go ciemność. To było jak lekki zawrót głowy. Kiedy otworzył oczy, siedział na szafie między wypchanym pawiem i myszółowem, dotykając głową sufitu. Minęło siedem sekund.

–To... To... – nie mógł zebrać myśli. – To jakaś hipnoza.

Dziewczyna uśmiechnęła się z sympatią.

–Spieramy się o nazwę! Avatar, przenoszenie osobowości, hipnoza, wstrzeliwanie... Nie nazwa się liczy, ale efekt, a ten wszyscy znamy. – Keldysh powrócił za biurko, zataczając ręką

szeroki łuk w kierunku szafy.

–Zejdzie pan wreszcie?

Oszołomiony Fargo lekko zeskoczył na dywan i odblokował drzwi. Skwapliwie zapalił



podsunętego mu papierosa. Bardzo długo siedzieli w milczeniu.

–Chcecie, żebym wam pomógł? – spytał Fargo, kiedy żar dotarł do filtra.

–Tak.

–Ale ja się do tego nie nadaję.

–Też tak myślałem, kiedy rekrutowano mnie po studiach.

–Ale... naprawdę nie jestem Jamesem Bondem. Kolejny, pewnie z dwudziesty tego dnia ujmujący uśmiech.

–Nikt z naszych pracowników nie wygląda jak Pierce Brosnan, jeśli już o tym mowa. By zostać agentem trzeba przejść rutynowe, ale i ostre szkolenie.

Fargo podniósł głowę. Bał się, ale jednocześnie podniecała go myśl, że mógłby dysponować takimi umiejętnościami. To było jak narkotyk, jak mroczna wizja twórcy horroru. Odpychało i pociągało zarazem. Straszło i wabiło w perfidny, podniecający sposób. Setki wątpliwości wypełniło jego głowę, czuł jednak, że im bardziej się boi, tym bardziej chce wstąpić na krętą drogę, jaka właśnie się przed nim otwiera.

–Dobrze – powiedział w końcu.

Miał wrażenie, że Keldysh był pewien, że usłyszy taką odpowiedź.

\* \* \*

Fargo siedział w swoim pokoju w akademiku, wśród rozłożonych sztalug, blejtramów, pustych kubków po kawie i popielniczek wypełnionych starymi niedopalkami. Wydarzenia ostatniego tygodnia, zdobywanie zaliczeń, oddawanie ostatnich prac i projektów, sprawiły, że nie miał wiele czasu na przemyślenia. Ale w każdej wolnej chwili wracał w myślach do rozmowy przeprowadzonej w muzeum.

Za ścianą grała nastawiona na cały regulator wieża. Widać ktoś świętował już zakończenie roku, podczas gdy on siedział w pokoju i popijając ciepłą colę zastanawiał się, jak zmusić dziekana do zmiany programu praktyk. Nie widział żadnej realnej szansy. Z ulgą przyjął trzask otwieranych drzwi.

–Masz coś? – spytał, widząc Dewhursta rozglądającego się po pokoju. Tamten zignorował jego pytanie.

–Słuchaj, Lynn. Jakiś pan czeka na ciebie na dole i prosi, czy nie zechciałbyś...

–Cholera, Ray, co to za wersal? – wpadł mu w słowo. – Nie możesz od razu powiedzieć, co to za dupek tam waruje?

–Czemu się tak wyrażasz?

–Co...? – wykrztusił. – Ray, co ci jest? Z napiętą uwagą wpatrywał się w twarz Dewhursta, ta jednak pozostawała niewzruszona.

–Paul Keldysh chce cię zobaczyć.

–Keldysh?! Skąd ty go znasz, do cholery? – poderwał się na równe nogi.

–Daj spokój – mruknął Dewhurst. – To ja, Kate. Musiałam użyć ciała twojego przyjaciela. Fargo z bijącym sercem opadł z powrotem na fotel.

–Dlaczego?

–Dzięki niemu mogłam tu przyjść, nie budząc niczyich podejrzeń. Keldysh nie używa telefonu.

Wzruszył ramionami. Gdyby dziewczyna widziała choć część osób bywających w tym pokoju, nigdy by jej nie przyszło do głowy, że może wzbudzić czyjekolwiek podejrzenia.

–Przestraszyłaś mnie.

–Przepraszam.

–Drobiazg. – Fargo rozmasował skronie. – Czy Ray nic nie będzie pamiętał?

–Nie. Zostawię go w miejscu, gdzie się w niego „wstrzebiłam”. Będzie myślał, że miał zawrót głowy albo...

–Ten okaz zdrowia? Zawrót głowy? Tym razem ona wzruszyła ramionami.

–Jest wytłumaczenie. Twój kolega strasznie pił dziś w nocy.

–Skąd wiesz? Śledzą go chłopcy z MI5?

–Nie. Ale dlaczego ma podkrążone oczy i zupełny brak kondycji? Ledwie weszłam na to piętro!

Wolał jej nie mówić, że są jeszcze inne czynności, które powodują sińce pod oczami i utratę kondycji.

–Idziemy? – spytał.

–Tak. Wstał szybko i podszedł do drzwi. Zamarł, kiedy ręka Dewhursta chwyciła go pod ramię.

–O rany, Kate! Mężczyźni chodząc nie trzymają się za ręce!

–Przepraszam. Zapomniałam się. Pokręcił głową. Przez całą drogę myślał nad tym, co się stanie, jeśli spotkają dziewczynę

Raya i ta rzuci mu się w ramiona. Na szczęście korytarze, klatka schodowa i hol były prawie puste. Na zewnątrz Kate wskazała mu granatowego rovera zaparkowanego tuż przy wjeździe na parking.

–A ty? – spytał.

–Muszę zostawić twojego kolegę w tym samym miejscu. Moje ciało czeka w innym samochodzie. Poczul przebiegające po plecach dreszcze. Nie mógł przyzwyczaić się do nowej sytuacji.

Ruszył przed siebie, usiłując uspokoić oddech. Zanim zdążył sięgnąć do klamki, drzwi rovera się otworzyły. Wsiadł na tylną kanapę, zatraskując je za sobą. Siedzący obok Keldysh skrzywił się lekko.

–Jedź.

Clancy uruchomił silnik.

–Dlaczego to tak długo trwało? Nie mogła cię odnaleźć?

Fargo uśmiechnął się ironicznie.

–Następnym razem niech pan nie każe nieletniej dziewczynie wcielać się w studenta – mruknął.

–Mniejsza z tym.

Widać było, że pod zwykłą uprzejmością i budzącą sympatię ogląda Keldysha czai się jakiś niepokój.

–Musimy się spieszyć – rzekł. – Jest gorzej, niż myślałem. Fargo czuł, że coś ściska go w dolku.

–Moja komórka zerwała kontakt z MI5.

–Dlaczego? Odpowiedź padła po dłuższej chwili.

–Istnieje duże prawdopodobieństwo, że służby specjalne są w znacznym stopniu rozpracowane. Jeśli będę utrzymywał kontakt, dotrą i do mnie.

–Więc wszystko posuwa się naprzód szybciej, niż pan sądził?

–Nie wiem... – Keldysh się zawahał. – Jak pan widzi, jestem w tej kwestii szczery.

–Czy mógłbym w takim razie poznać więcej szczegółów?

–Obawiam się, że niewiele by pan z tego pojął. – Keldysh z trudem opanował wesołość. – Praca tajnych służb jest zrozumiała tylko dla fachowca.

Zatrzymali się na światłach przed ruchliwym skrzyżowaniem.

–Szkolenie, o którym wspominałem, zorganizujemy w innym państwie.

–Szlag! – Fargo uderzył zwiniętą pięścią w dłoń. – A moja praktyka?

–Pracuje pan dla dobra kraju. – Keldysh nie wiedział, czy użył właściwej argumentacji. –

Po wszystkich ułatwimy panu start w pańskim fachu – dodał. – A już na pewno nie zostawimy pana bez środków do życia.

Podał mu wyjętą z kieszeni podłużną kopertę. Fargo zorientował się, co jest w środku, ale nie chciał przeliczać w ich obecności.

–Mam coś pokwitować?

–To nie bank – wtrącił Clancy. – Szefie, jechać na punkt, czy skrócić na obwodnicę?

–Jedź na punkt, już kończymy. Słuchaj, Lynn – Keldysh po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu – teraz dam ci kopie materiałów dotyczących wszystkiego, czego musisz się nauczyć, aby „wstrzelić” swoją osobowość w innych. Słuchaj mnie uważnie.

–Tak. – Fargo nerwowo przelknął ślinę.

–Te materiały to prawdziwa bomba – słowa płynęły coraz wolniej – musisz ich strzec przed wszystkimi. Musisz je nosić ze sobą, brać wszędzie, nawet do toalety. Powinienem cię izolować, ale chwilowo nie ma na to warunków.

–Ale...

–Czekaj. Gdyby coś się stało, powiesz, że to e-book powieści grozy, którą dał ci kolega. Zapoznaj się z tekstem. Odrzuć kamuflaż akcji i czytaj od strony osiemdziesiątej. Nie przejmuj się zaklęciami używanymi przez bohaterów książki, to również kamuflaż. Rozumiesz?

–Tak, proszę pana.

Keldysh wyjął z trzymanej na kolanach teczki spory palmtop. Zawahał się.

–Lynn, to materiały, które dadzą ci ogromną władzę – powiedział, akcentując mocno każde słowo. – Mam nadzieję, że nie wykorzystasz ich do celów prywatnych – nachylił się, spoglądając w oczy Fargo. – Trudno – dodał po chwili. – I tak nie mam innego wyjścia.

–Ale ja... Ja naprawdę...

–Daruj sobie zapewnienia! – Keldysh wyjął z teczki jakąś kartkę. – Niepokoi mnie co innego.

–Tak?

–Wyniki twoich testów wskazują na jeszcze jedną dziwną cechę... Masz, jakby to powiedzieć, wciągającą... – zawahał się – nie, wchłaniającą osobowość.

–Co to znaczy? Keldysh zignorował pytanie.

–Czy zdarza ci się często być pod wpływem innych osób? – patrzył mu w oczy z uwagą.

–Nie.

–Nigdy?

–Raczej nie... – Fargo wydał wargi. – Co dokładnie znaczy „pod wpływem”? I tym razem nie doczekał się odpowiedzi.

–A czy zauważyłeś, żeby kiedyś ktoś postępował wzorując się na tobie?

–O rany, nie wiem – westchnął ciężko.

–Dobrze. Haroldzie – Keldysh pochylił się do przodu – zatrzymaj się przy skrzyżowaniu.

–Rozumiem.

–Słuchaj, chłopcze, tu masz klucze i adres twojego mieszkania...

–Ale uczelnia, akademik...

–Tam wszystko załatwimy sami. – Keldysh nie dał sobie przerwać. – Wiesz, gdzie jest pub MacMillana?

–W Soho?

–Tak. Pójdiesz tam jutro o dwudziestej trzeciej. Spotkasz łączniczkę o imieniu Elaine, która przekaze ci instrukcje. Musicie udawać parę zakochanych.

Ogarnięty jakimś szczególnym rodzajem rezygnacji, Fargo nie pytał, dlaczego ona nie może przyjść wprost do niego. Nie pytał, czy musi znać jakieś hasło ani co się stanie z jego rzeczami. Praca tajnych służb była mniej zrozumiała, niż widywał to na filmach.

Clancy zaparkował na niewielkiej wolnej przestrzeni przy chodniku.

–To wszystko. – Keldysh pomógł mu otworzyć drzwi. – Nie strzel jakiegoś głupstwa, nie

kontaktuj się z nikim i... Pamiętaj, nie chcemy, żebyś był Bondem.

Fargo długo patrzył na odjeżdżający samochód. Niestety, mętlik w głowie nie chciał ustąpić. Zerknął na palmtop i na klucze. Na breloku zauważył nazwę ulicy i numer. Stał dokładnie przed bramą prowadzącą do nowego mieszkania.

–Boże, to jakiś koszmar – szepnął.

\* \* \*

Ogromna minutowa wskazówka zegara umieszczonego nad sklepem drgnęła, przesuając się o jedną kreskę. Fargo zerknął na swój zegarek. Czas był ten sam, mógł więc jeszcze chwilę pospacerować ulicą wzdłuż wystaw sklepowych, reklam małych kin, klubów i teatrzyków, gdzie tacy jak on samotni przechodnie nie budzili żadnych podejrzeń.

Nie czuł zdenerwowania, choć jeszcze poprzedniego wieczoru trzął się cały, paląc papierosa za papierosem. Nie mógł skupić się nad dostarczonym mu tekstem, nie potrafił też odróżnić, co jest jedynie kamuflażem, a co zaleconymi ćwiczeniami. Pierwsza spędzona w nowym mieszkaniu noc nie należała do najprzyjemniejszych. Teraz, poza resztkami złości stłumionej pastylkami uspokajającymi, nie czuł niczego poza nieśmiałą i w pewnym sensie perfidną ciekawością.

Znowu zerknął na zegarek. Zawrócił, powoli łapiąc się na tym, że zaczyna grać swoją rolę przed przypadkowymi przechodniami. Wiedział, gdzie stoi wybrany przez Keldysha pub, zaczął się jednak niepokoić, czy przypadkiem nie pomylił ulic. Odetchnął na widok znajomego neonu. Przed zwieńczonym markizą wejściem jak zwykle kręciło się kilka osób. Ruszył w tamtym kierunku, zastanawiając się, jak rozpozna łączniczkę, ale i ta wątpliwość rozwiała się bardzo szybko.

–Lynn! – stojąca niedaleko żeliwnej barierki, która otaczała schody do piwnicy lokalu, bardzo ładna młoda kobieta machała w jego stronę ręką. – Tu jestem, kochanie!

Podszedł bliżej, nie tając radości. Zarzuciła mu ręce na szyję, całując w usta.

–Dobrze, że jesteś – szepnęła kilka sekund później prosto do ucha. – Idziemy prosto do pierwszego załomu w murze... Och, jak dawno cię nie widziałam – to dodała już głośno. Ruszyli wzdłuż ulicy, obejmując się.

–Zaszły pewne komplikacje – szept Elaine był ledwie słyszalny. – Musimy wszystko drastycznie przyspieszyć...

Podziwiał jej umiejętność przekazywania rzeczowych informacji z promiennym uśmiechem na ustach.

–Jest jeszcze gorzej, niż wczoraj przypuszczał Keldysh. Mamy nowe informacje, ale nasza siatka jest krańcowo przeciążona. – Krótki pocałunek. – Działa praktycznie na granicy

możliwości.

Zatrzymali się przy małej wnęce, stając twarzami do siebie.

–Co się stało?

Znowu zarzuciła mu ręce na szyję.

–Kate nie żyje – pocałowała go w policzek, muskając jednocześnie szyję długimi paznokciami. – Dostali ją dzisiaj rano.

–Jak?! – nie mógł pohamować okrzyku.

–Uśmiechnij się – wycedziła, prezentując garnitur bielutkich zębów. – Rozmawiasz ze swoją narzeczoną.

Fargo długo nie mógł się uspokoić.

–Co się stało? – Przywołany na usta uśmiech nie był zbyt przekonujący.

–Oni dysponują telepatami. Spokojnie... – dodała, widząc jego reakcję. – Nie potrafią czytać myśli. Mogą jednak namierzyć osobę dysponującą takimi umiejętnościami, jak ty i Kate.

–Ja? Ja jeszcze niczym nie dysponuję...

–Przeczytałeś skrypt, więc proces uczenia się jest już rozpoczęty i... Och, kochanie, tak dawno cię nie widziałam – znowu pocałowała go w usta.

Przechodzące obok starsze małżeństwo nie zwróciło na nich uwagi.

–W związku z tym odlatujesz już jutro – podjęła, kiedy wokół nie było nikogo. – Masz skrypt przy sobie?

–Tak.

–Nie wracasz do mieszkania. Posiedź w pubie, jak długo się da, potem idź prosto na dworzec. Rano musisz być w Cheshow Lake – pieszczotliwie otarła się udami o jego nogi.

–Tak, ale...

–Słuchaj uważnie. Niedaleko jest baza RAF-u – zmierzwiła mu włosy. – Pojedziesz w jej kierunku. Na ostatnim przystanku autobusowym przejmie cię człowiek w mundurze służb technicznych – przeciągnęła końcem języka po jego nosie. – Rudy jak marchewka... Zrobisz wszystko, co ci powie.

–Po co to wszystko, do cholery...? – oddał jej uścisk zbyt mocno.

–Auu... On wprowadzi cię na lotnisko – wpadła mu w słowo z wytrenowanym uśmiechem. – Umieści cię w samolocie, którym polecisz do ściśle tajnego ośrodka...

–Gdzie?

–Dowiesz się po starcie. Razem z tobą polecą trzech instruktorów i dwóch ludzi z ochrony – to mówiąc rękoma wykonywała skomplikowane ewolucje, głaszcząc jego plecy. Fargo czuł, że wstrząsają nim dreszcze. – Dostarczymy ich w hibernatorach wraz z urządzeniami podtrzymującymi funkcje życiowe.

–Będą w letargu? – Znowu zrobił poważną minę, ale zaraz zreflektował się i przybrał rozmarzony wyraz twarzy.

–Normalny człowiek nie przeżyje długo w małej szczelnej skrzyni.

–Więc dlaczego ich tam pakujecie? – chwycił wargami jej ucho.

–Zobaczysz, to zrozumiesz, a teraz uśmiech, proszę – upomniała go. – Nie dysponujemy własnym lotnictwem, a ta operacja jest ściśle tajna. Ze względów, które poznasz niedługo. Samolot odpowiedni do tego zadania musi być przystosowany do głębokiej, lecz dyskretnej penetracji terenu nieprzyjaciela. Musi mieć odpowiedni zasięg i specjalistyczne wyposażenie.

–Jezu Chryste, te założenia...

–Tak, te założenia spełnia na przykład MH-130 Combat Talon, specjalna wersja herculesa, której używają amerykańskie siły specjalne – dokończyła spokojnie, patrząc mu z uwielbieniem w oczy. – I tu zaczynają się schody, nie mamy takich. Oficjalnie przynajmniej.

Ale Keldysh ma dojścia i mógł opracować tę zaskakująco skuteczną metodę przerzutu pracowników komórki.

–Działacie nielegalnie?

–Owszem, bo tych maszyn oficjalnie nie ma. Używa ich SAS. A w bazie mamy zaledwie kilka osób, w tym wśród personelu latającego. Wprowadzenie ciebie sprawi już dość kłopotów – rozejrzała się dyskretnie. – Zrozum, baza, w której stacjonują transportowce sił specjalnych, to nie miejsce, gdzie każdy może się kręcić. Ale za to nikogo nie zdziwi nocny start z dodatkowymi zbiornikami. I nikt nie będzie pytał. Tak za tobą tęskniłam, kotku. Kochasz mnie jeszcze?

Para młodych ludzi przechodziła obok wolnym, spacerowym krokiem. Chwile, kiedy musieli się całować, płynęły nieznośnie wolno. Wreszcie Elaine odsunęła twarz.

–Rany boskie, to jakaś paranoja...

–Kontroluj uśmiech – szepnęła. – Muszę ci przekazać jeszcze jedno – popatrzyła uważnie w jego oczy. – Keldysh został zmuszony do stworzenia całkiem nowego wydziału...

–Co mnie to obchodzi? – warknął rozzłoszczony na samą myśl, że wplątują go w kolejne afery.

–Jesteś pracownikiem tego wydziału – powiedziała powoli. – Co więcej, mój drogi, od dzisiaj jesteś jego szefem. Szefem kontrwywiadu.

–Co?! To jakiś żart? – ścisnął Elaine tak mocno, że nie potrafiła powstrzymać syknięcia.

–Przyjdzie pora, wszystko ci wyjaśnię – szarpnęła się, nieco za nerwowo. – Tyle ci mogę powiedzieć, że to dla twojego dobra. A swoją drogą, kiedy minie zagrożenie, będzie mu to potrzebne do pewnych rozgrywek w administracji.

–Ale... – tysiące myśli cisnęło mu się do głowy.

–Cicho – wsunęła mu do kieszeni kartę kredytową. – Dotknij kciukiem jej rogów...

–Nie tak się umawialiśmy...

–Uważaj – przerwała mu długim pocałunkiem. Jakiś mężczyzna przystanął niedaleko, szukając czegoś po kieszeniach.

–Jak mi dobrze z tobą, kochanie – powiedziała Elaine, przysuwając się bliżej. – To, co teraz się dzieje, to już otwarta wojna. Jesteś cudowny, kochanie...

Fargo z coraz większym trudem kontrolował ogarniającą go złość. Ja ci dam „kochanie” - przemknęło mu przez głowę. Czuł, że cała jego wściekłość skupia się na dziewczynie.

–Mnie też jest dobrze z tobą – powiedział głośno, opuszczając rękę wzdłuż jej biodra.

Jego dłoń dotarła do końca krótkiej spódniczki i tam zmieniła kierunek. Czuł pod palcami delikatną skórę wewnętrznej strony jej uda.

–Och, kochanie – przysunęła usta do jego ucha. – Co ty wyrabiasz? – szepnęła. Dłoń Fargo powoli sunęła coraz wyżej i wyżej, aż dotarła do miejsca, gdzie łączą się uda.

–Zabierz natychmiast tę rękę.

–Co mówisz, kotku? – spytał z obłudnym uśmiechem.

–Kocham cię – jej oczy miały gromy – ty perwersyjna świni! Mężczyzna znalazł wreszcie papierosa i wsunął go do ust. Teraz szukał zapalek. Elaine, obejmując Fargo rękami za szyję, nic nie mogła zrobić. Mimo wymuszonego pogodnego wyrazu twarzy zaciskała zęby.

–Opisz to wszystko w raporcie – poradził jej.

–Drań! – szepnęła. – Muszę już iść – usiłowała wykorzystać chwilę, kiedy mężczyzna wreszcie odszedł.

–Nie teraz. Zbliża się jakaś wycieczka.

Elaine jęknęła cicho.

\* \* \*

Fargo patrzył na przesuwany się za oknem autobusu krajobraz, słuchając muzyki z przenośnego odtwarzacza mp3. Po drodze na dworzec kupił najbardziej pojemny model i załadował do niego chyba ze trzysta nagrań z witryny HMV. Dwadzieścia godzin samych przebojów, nie licząc powtórek, a niektórych melodii można słuchać w kółko.

Co jakiś czas uśmiechał się do siebie, czasem zerkał na pasażerów: młodą parę siedzącą z tyłu, kilku robotników, starszego mężczyznę o wyglądzie steranego życiem komiwojażera i kilkunastu żołnierzy w wyjściowych mundurach. Różnił się od otaczających go ludzi i miał tego świadomość.

W nocy, kiedy wsiadał do dalekobieżnego pociągu, jego nastrój znacznie odbiegał od tego, co czuł w tej chwili. Wtedy, przybity wiadomością o śmierci Kate, osamotniony, przerażony szybkością następujących po sobie zdarzeń, pograżył się w jałowym roztrząsaniu czyhających z każdej strony niebezpieczeństw. Pierwsza godzina samoudręczeń podczas podróży doprowadziła do tego, że o mało nie wyskoczył przez okno luksusowego wagonu. Później wszystko się zmieniło. Najpierw zasnął czy raczej popadł w niespokojną, graniczącą z koszmarem drzemkę, a potem... Potem ktoś potrząsnął go za ramię. Fargo czuł, że we śnie spada gdzieś z nieprawdopodobną szybkością. Chciał się obudzić, za wszelką cenę. Nie mógł jednak. Zdawało mu się, że patrzy na siebie z zewnątrz. Znowu uczucie spadania.



Potrząsający głową konduktor w drzwiach. Jakaś kobieta krzycząca, że zasłabł ktoś z obsługi pociągu. Wtedy zdał sobie sprawę, że wcale nie śpi, że Keldysh nie jest maniakiem, a skrypt, który mu podarował, zawiera prawdę. Zrozumiał wtedy, co naprawdę znaczą jego możliwości. Nie, nie możliwości. Teraz to już umiejętności. Dużo później, już w Cheshow Lake, czekając na autobus, jeszcze dwa razy sprawdził ukryty w jego mózgu mechanizm. Wtedy też po raz pierwszy poznał smak siły. Jego siły. W każdej chwili mógł zawładnąć każdym człowiekiem w zasięgu wzroku.

Zwiększył głośność odtwarzania. No dobrze, niech się tylko ktoś przyczepi... Uśmiechnął się. Nie zamierzał nic nikomu robić, wystarczyła sama świadomość. Keldysh w jednym nie miał racji. Fargo czuł się jak James Bond. Jak Bond, Stanley, Montgomery... Wzruszył ramionami. Kiedy autobus wyhamował w niezbyt łagodnym skręcie, w ostatniej chwili chwycił poręcz.

–Ostatni przystanek – oznajmił kierowca, leniwie odwracając głowę.

Fargo odczekał chwilę, nie chciał wychodzić jako pierwszy. Na zewnątrz rozejrzał się dyskretnie. Ponieważ wśród czekających nie zauważył nikogo w mundurze służb technicznych, stanął obok słupa z oznaczeniem przystanku i powoli, celebując każdy ruch, zapalił papierosa. Zdążył zaciągnąć się kilkakrotnie, nim poczuł, że z tyłu ktoś do niego podchodzi.

–Lynn?

Odwrócił się, lustrując wzrokiem krępego rudowłosego mężczyznę.

–Mhm – mruknął. Po chwili zauważył, że mężczyzna nosi dystynkcje majora. Nie wiadomo dlaczego wyobrażał sobie, że oczekujący go człowiek będzie szeregowcem.

–Chodźmy – głos był nawykły do wydawania rozkazów.

Ruszyli w stronę pobliskiego parkingu. Major zaprowadził go do cywilnego, najprawdopodobniej własnego samochodu. Wbrew oczekiwaniom i temu co widział na filmach, nie ruszyli z piskiem opon. Kierowca wycofał ostrożnie, badając każdy centymetr dzielący ich od barierki z łańcuchem. Odezwał się, dopiero kiedy wyjechali na szeroką podmiejską drogę.

–W pobliżu bazy mam zaparkowaną furgonetkę. Wejdiesz do środka i włożysz przygotowany mundur – zerknął w bok. – Masz dość krótkie włosy, ale lepiej ukryj je pod czapką. Przedtem jednak zrobisz coś jeszcze. Obok w barze jest toaleta. Pójdiesz tam.

–Po co? Major spojrzał na niego ponownie.

–Załatwić się.

–Wcale nie potrzebuję.

–Jak chcesz. Ale to ostatnia okazja, być może aż do jutra rana. Otworzył skrytkę i podał mu mały, błyszczący pistolet. – Potrafisz się tym posługiwać?

–Tak – powiedział Fargo, choć nie był tego pewien. – Jest jakiś dziwny.

–Lekki, prawda? To jedno z najłżejszych i najbardziej wytrzymałych tworzyw sztucznych, jakie zna ludzkość. Egzemplarz eksperymentalny, cichy, celny i niewykrywalny.

–Major uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. – Póki co, nieziszczone marzenie terrorystów.

–Przepuszczą go wszystkie kontrole?

–Wszystkie rutynowe kontrole oparte są na wykrywaczach metalu. To nie lotnisko cywilne, tu cię nie będą prześwietlać, nie ma aparatury do wychwytywania cząstek materiałów wybuchowych. Amunicja bezłuskowa, kompozytowe pociski nie są tak groźne

jak ołowiane, ale krzywdę można zrobić – uśmiechnął się. – Postaraj się pamiętać, że dostałeś go

przede wszystkim dla lepszego samopoczucia.

Fargo schował broń do kieszeni.

–Ile ma naboju w magazynku?

–Siedem. Kaliber cztery koma pięć milimetra – znowu szybkie spojrzenie w bok. – Na szczęście to nie armata.

Zwolnili, skręcając na parking przed przydrożnym barem Samochód minął nielicznych ludzi kręcących się na podjeździe i zaparkował przy ścianie niskiej budowli, obok pomalowanej na szaro wojskowej furgonetki. Fargo wyskoczył na zewnątrz. Major, nie spiesząc się, spokojnie otworzył tylne drzwi, wpuszczając go do środka.

–Przebierzesz się w czasie jazdy. Gdybyś nie zdążył, na mój znak położysz się między oponami i przykryjesz plandeką – mocnym szarpnięciem zamknął prawe skrzydło drzwi. –

Ale lepiej się pospiesz – dodał przed zablokowaniem zamka.

Zaledwie Fargo zdołał zorientować się w ciasnym, oświetlonym jedną żarówką wnętrzu, samochód ruszył. Po omacku odnalazł spięty paskiem mundur. Szybko zrzucił własne ubranie i zaczął wciągać grube drelichowe spodnie z owalnymi ochraniaczami w okolicy kolan, koszulę bez rękawów i grubą kurtkę. Z trudem dopiął klamry butów ze sztywnej skóry i zaciągnął pasek. Nie miał pojęcia, jak ukryć włosy pod czapką, więc tylko naciągnął ją jak mógł najgłębiej.

Samochód zatrzymał się nagle. Fargo rzucił się na podłogę, ale furgonetka zaraz ruszyła dalej. Klnąc w duchu wstał szybko, schował do kieszeni e-booka i ukrył pod kurtką pistolet. Przez chwilę ważył w ręce kopertę z resztą pieniędzy od Keldysha, potem wsunął ją do kieszeni na udzie. Kiedy furgonetka zatrzymała się ponownie, był już gotowy do wyjścia. Po otwarciu drzwi major przyjrzał mu się krytycznym wzrokiem, ale nie miał uwag.

–Na teren bazy dostaniemy się na piechotę? – spytał Fargo.

–Już jesteśmy w środku. Wyskakując na zewnątrz, zauważył szare baraki, między którymi zaparkowali. Dalej, za

pasem startowym widniał olbrzymi hangar.

–Więc po co to wszystko? – wskazał na mundur.

–Wejście na teren lotniska nie jest trudne. Dużo gorzej może pójść z samą maszyną. – Major zarzucił mu na ramię ciężką torbę z narzędziami i wskazał sporych rozmiarów

skrzynię. – Weź to.

Fargo z trudem podniósł toporny prostopadłościan. Tak obciążony mógł iść tylko z największym wysiłkiem.

–Po co mam to targać? – stęknął.

–A wiesz, komu trzeba salutować i jak to się robi? Chodźmy. Ruszyli powoli.

–Strażnicy wiedzą, że maszyna ma lot dzisiaj w nocy – podjął major, gdy przeszli kawalek. – Trzeba jeszcze dokończyć przegląd. Mamy spóźnienie względem harmonogramu,

bo oficjalnie pojechałem po zapasowy panel do radaru, którego zabrakło w podręcznym magazynie. Ciebie wzięłem do pomocy, żeby nadrobić stracony czas.

–A co będzie, jeśli mnie nie przepuszczą? – wysapał Fargo.

–Przepuszczą. Pamiętaj, tylko nic nie mów, nie staraj się robić znudzonej miny. W ogóle nie rób jakiegokolwiek miny. Nie patrz im w oczy.

Fargo spojrział na małe figurki żołnierzy stojących wokół pomalowanej w łaciaty kamuflaż maszyny. Stracił nadzieję, że zdoła tam dotrzeć. Gdy wreszcie doszli na miejsce, był tak zmęczony, że nie wzbudzał niczych podejrzeń.

Major wymienił kilka słów z dowódcą warty. Tak jak przewidywał, nie było mowy o jakichkolwiek dokumentach. Z ulgą zanurzyli się w cieniu ogromnych skrzydeł. Po opuszczonej rampie weszli do ładowni. Fargo uspokoił oddech i rozejrzał się po przestronnym wnętrzu.

–Mam tu zostać? – szepnął.

–Nie, w kabinie. – Major prowadził go do przodu.

–Jak długo?

–Do wieczora – szarpnął za dźwignię otwierającą drzwi do kabiny. Na ich widok z fotela podniósł się człowiek tego samego wzrostu i budowy co Fargo.

Miał na sobie identyczny mundur.

–Rich, weź torbę z narzędziami i zaczekaj przy skrzyni. Muszę wymienić panel i przetestować radar. Dopilnuj, żeby nikt nie kręcił się przy kopulce, chyba że chce mieć dwugłowe dzieci. Za pół godziny wracamy.

Żołnierz skinął głową, przepychając się w stronę ogona maszyny.

–Kto to był? – spytał Fargo.

–Przecież do samolotu nie mogą wejść dwie osoby, a wyjść tylko jedna. – Major wskazał mu fotel. – Siedź tu i czekaj na pilotów. Oni wiedzą, co jest grane, i możesz z nimi rozmawiać o wszystkim, oprócz celu tego lotu. Nie kręć się po maszynie, nie wychodź pod żadnym pozorem i niczego nie dotykaj.

–A pan?

–Zaczekam przy rampie. Nie możemy wyjść stąd zbyt szybko. Jakies pytania?

Przeczący ruch głowy.

–Powodzenia.

Major wyszedł i zatrzasnął drzwi do kabiny. Fargo uśmiechnął się w myślach. Zimny, obcesowy ton, jakim go traktowano, odpowiadał jego wyobrażeniom o pracy wywiadu. Rozejrzał się po kabinie. Siedział w fotelu przy małym stoliku, a właściwie blacie przykręconym do ściany za miejscami pilotów. Zapewne miejsce mechanika pokładowego albo operatora systemów zakłócających, jak można było sądzić po dużych, martwych teraz i wygasłych ciekłokrystalicznych monitorach. Nie miał pojęcia, do czego służą, wewnątrz tego herculesa wyglądało inaczej niż to, które zapamiętał z dawnych czasów. Glass cockpit, wielofunkcyjne monitory, wyświetlacze przeziernie przed oczyma pilotów. Przypomnił sobie, co słyszał o tej wersji maszyny. Między innymi to, że można ją prowadzić korzystając tylko z obserwacji pasywnej, w podczerwieni. Nieco poprawiło mu to humor, wyglądało, że szanse rosną. Wyjął spod kurtki uwierający go e-book, przez chwilę szukał wzrokiem miejsca, po czym odłożył go na małą półeczkę nad zestawem monitorów. Dłuższą chwilę mocował się z fotelem, aż udało mu się trochę opuścić oparcie. Ponownie się uśmiechnął.

W pół godziny później przez przednią szybę zauważył odchodzącego majora i żołnierza dźwigającego skrzynię. Otarł pot z czoła, nawet po zdjęciu kurtki pocił się jak mysz. Podczas postoju w tego typu maszynie klimatyzacji nie można było włączyć, a owiewki mechanicy zostawili zamknięte i bał się je ruszyć ze względu na rozstawionych wokół strażników. Słońce ciągle pieło się w górę. Początkowo było mu po prostu ciepło. Potem pot zaczął zbierać się nad brwiami, później we włosach, na karku i plecach. W końcu drobne drażniące strumyczki płynęły po całym ciele. Wydawało mu się, że ma gorączkę. Męczące pragnienie, a później i głód sprawiły, że mimo bezsennej ostatniej nocy nie mógł zasnąć. Nie mógł też czytać, litery rozmywały się w znużonych, zalewanych przez pot oczach. Prawie godzinę bawił się swoją kartą kredytową. Nie mógł zrozumieć, na jakiej zasadzie działa, zastanawiał się też, skąd wywiad wziął jego odciski palców. Niestety, plastikowy prostokąt nie mógł odwrócić na długo myśli od oszronionej butelki z colą, wysokich kufli zimnego piwa czy grzechoczących lodem szklanek z sokiem. Potem już tylko wpatrywał się w zegarek, starając się popędzić płynące minuty.

Kiedy wreszcie słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, usłyszał kroki dudniące na metalowej podłodze ładowni. Ktoś otworzył klapę i dwóch mężczyzn wkroczyło do kabiny.

–Cześć, jestem Norman – przedstawił się wyższy. – A to jest Don. Żyjesz jeszcze?

Norman podał mu termos z kawą, zajmując miejsce pierwszego pilota.

–„Palety” już załadowane? – spytał Fargo.

–Tak. – Don czekał cierpliwie, aż odstawi termos. Potem pomógł mu założyć helmfon.

–Słyszysz coś? – Norman przerwał na chwilę sprawdzanie aparatury łączności.

–Yhm. – Fargo poprawił docisk słuchawek i pozwolił pilotowi zapiąć pasy łączące go z fotelem.

W pewnej chwili uświadomił sobie, że opuszcza kraj, nie mając pojęcia ani na jak długo,

ani w jakim kierunku. Nie bał się. Nurtujący go niepokój nie miał bowiem nic wspólnego ze strachem. Wciąż usiłował zrozumieć, co się właściwie dzieje. Nie zwracał uwagi na skomplikowaną procedurę startu, na ostre wznoszenie, przelot przez chmury ani nawet na fakt, że klimatyzacja zaczęła działać i w całej kabine zapanował przyjemny chłód. Czuł, że coś wymyka mu się z rąk. Męczące uczucie zagubienia, zapomnienia czegoś ważnego nie opuszczało go bardzo długo. Dopiero kiedy transportowiec odłączył się od powietrznego tankowca i przestało gwałtownie rzucać, zapadł w płytki, niespokojny sen.

\* \* \*

Kiedy się obudził, pierwszym odgłosem, jaki do niego dotarł, był wzmożony ryk silników. Przetarł oczy, usiłując rozpoznać tonące w mroku kształty. Jediną rzeczą, którą widział wyraźnie, stanowiło absolutnie czarne niebo za oknami kabiny.

–Czy coś się stało? – spytał, powstrzymując ziewanie.

–Mała zmiana kursu – odparł spokojnie Norman. – Nic poważnego, ale...

–Daleko jeszcze?

–Do celu? Mniej niż dwie godziny lotu. Fargo pochylił się, próbując spojrzeć przez okno w dół. Nie wiedział, gdzie są w tej

chwili, nie wiedział też, czy pytanie o to pilotów nie zdekonspiruje go. Rozleniwiony snem mózg stanowczo nie nadawał się do roztrząsania skomplikowanych zasad działania maszyny wywiadu.

Któryś, w mroku nie widział, czy Don, czy Norman, nachylił się nad połyskującym seledynową poświatą ekranem. Ten po lewej stronie – usiłował przypomnieć sobie miejsca, które zajmowali piloci – to chyba Norman.

–Don? – usłyszał jego głos. – Spójrz na to.

–Zakłócenia? – Don przełączył obraz na swój monitor. – W życiu nie widziałem takiego odczytu.

–Cholera, to mi nie wygląda na zakłócenia... Coś zmieniło się w pracy silników. Samolot wyrównał lot.

–Czy to coś poważnego? – spytał Fargo. Norman przechylił się do tyłu i dociągnął mu pasy tak, że praktycznie nie mógł się poruszyć.

–Nic nie mów. Drugi pilot gorączkowo wciskał klawisze na konsoli.

–Szlag! Ktoś nas naprawdę namierza.

–Nas? To chyba przypadek. Nie mogą się spodziewać...

–Schodzimy niżej? – Piloci zachowali zimną krew. – Chcesz się schować w krzakach? A jeśli to wojskowy system?

–Kto mógłby...

Na monitorze ostrym światłem zapulsowała ikonka w kształcie nietoperza, w słuchawkach rozległ się ostry brzęczyk.

–Boże, mają nas!

–Don, przełącz...

–Nic nie widzę, są w przestrzeni chronionej zakłóceniami.

–Charakterystyka emisji?

–Mainstay. I, kurwa, módl się, żeby właśnie nie naprowadzał myśliwców. Jeśli to Migi, wykryją nas w podczerwieni!

Kolejne ikonki pojawiły się na monitorze. Brzęczyki przeszły w zupełnie inny ton.

–Jezus, rakiety! – nagły krzyk nieomal rozsadził słuchawki. – Mam dwa, cztery, siedem namiarów! Norman! Flary, flary! Wymiń to świństwo! Wymiń to... – coś nagle zagłuszyło ryk silników położonego w ostrym skręcie herculesa. Eksplozja wstrząsnęła kadłubem, powodując lawinę błysków na tablicy kontrolnej. Rozjęczały się sygnały alarmowe, zakłócając wysoki, donośny dźwięk spowalniających swój bieg turbin. Po chwili kolejny huk i wstrząs uświadomiły uwięzionym w niewielkiej kabinie mężczyznom, że maszyna otrzymała kolejne trafienie.

–Brak nowych odczytów – zameldował po kilku sekundach Don.

–Raportuj uszkodzenia.

–Brak odczytów z prawego skrzydła. Musiały być na podczerwień, naprowadziły się na spaliny. – Pilot uniósł się na tyle, na ile pozwalała uprząż, i wyjrzał przez okno kabiny, wykręcając głowę pod niewiarygodnym kątem. – Widzę ogień, mamy pożar. Płonie trójka i czwórka!

Gwałtowne ruchy rąk obu pilotów przypominały taniec, obłądną pantomimę w drgającym różnymi kolorami świetle.

–Propfan w chorągiewkę?

–Nie da rady. Serwo szlag trafił.

–Fargo! – Norman spojrział do tyłu. – Dopinaj uprząż!

–Wyrzucamy pasażera? – Don nie odwrócił głowy, robił wszystko, by utrzymać maszynę w powietrzu.

Roztrzęsione ciało Fargo odmawiało posłuszeństwa.

–Dopinaj!

–Czy my... Czy my się rozbijemy?!

–Zamknij się, durniu!!! Fargo chciał krzyknąć, że nie może bardziej zacisnąć pasów, ale ściśnięte strachem gardło

nie było w stanie wydać żadnego dźwięku. Zamykał usta, kiedy rozległ się rozrywający bębenki w uszach huk – odpaliły wybuchowe sworznie luku awaryjnego i strumień powietrza wtargnął do wnętrza kabiny. Ułamek sekundy później uświadomił sobie, że otacza go

ciemność, a on sam znajduje się w powietrzu. Nie pamiętał potem, który z pilotów złapał go za kark i wyrzucił z maszyny.

Fargo oślepl zupełnie, pęd powietrza wtłaczał mu dech w usta. Zaczął koziolkować bezwładnie. Był sparaliżowany strachem, sam w otaczającej go ciemności. Coś szarpnęło nagle, nowy ból przeszył uda i ramiona. – „Rozbiłem się?” – przemknęło mu przez głowę. – „Nie, ciągle spadam” – pomachał nogami. – „Boże, przecież muszę otworzyć spadochron!” -Ręka odruchowo szukała dźwigni lub klamry. A jeśli przypadkiem rozepnie się uprząż?! Walcząc z krępującym ruchy głowy hełmem, spojrział w górę. Ogromna czasza przesłaniała większość gwiazd. – „To już?” – Strach zmusił go do spojrzenia w dół. Wbrew temu, co czytał w książkach, ciemność nie chciała gęstnieć. Wprost przeciwnie. Nagle dostrzegł pod sobą gwiazdy. – „Co to jest, korkociąg? Ciągle wiruję...” – Uderzenie w nogi i głośny plusk rozwiął wszelkie wątpliwości. Rozpiął uprząż, tak jak go nauczyli, nie spanikował. Fotel i krępujące go pasy pomknęły w ciemność, ale i on nadal zapadał się pod wodę. Rozpaczliwie pracował rękami i nogami czując, że tonie. Po chwili rozległ się głośny syk i coś zaczęło go dusić. Ucisk na szyi zelżał znacznie, kiedy kamizelka ratunkowa wyniosła go na powierzchnię. Nieco dalej, ginąc w mroku, sunęła czasza spadochronu. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że na chwilę przed lądowaniem powinien był oddzielić fotel od uprzęży. Ponad siedemdziesiąt metrów kwadratowych stylonowej tkaniny nad głową jest w stanie utopić najlepszego nawet pływaka. Szarpiąc uchwyty, zdjął rękawice kombinezonu. Lodowata woda wtargnęła do środka. Boże, pływać samemu na środku oceanu... Lot był tajny, więc nie ma co liczyć na pomoc – to jedno wiedział na pewno. Nie wiedział, co zawiera ekwipunek. Słyszał o racach, świecach z kolorowym dymem i pastylkach barwiących wodę. „Przecież to bez znaczenia” -przemknęło mu przez głowę. – „I tak zamarznę w ciągu kilku minut”.

W szoku, usiłując opanować drżące ręce, zaczął mocować się z zatrzaskami na szyi. Szeroka kryza chowała się w sprężystym kołnierzu kamizelki, musiał uważać, żeby nie przebić materiału. Wreszcie udało mu się zdjąć hełm.

Tak zasugerował się Atlantykiem, że dopiero po dłuższej chwili dotarły do niego odgłosy świerszczy i pohukiwanie nocnych ptaków. Nie dowierzając własnym zmysłom, gorączkowo zaczął pracować nogami. Kiedy płynął, woda nie wydawała się już tak zimna. Miał ochotę roześmiać się na głos, kiedy stopami dotknął grząskiego, mulistego dna. Sunąc na kolanach i łokciach, wyczołgał się z wody. Drżał na całym ciele, kiedy runął na czarny, wąski pas plaży nieznanego lądu.

\* \* \*

Świt zastał go siedzącego pod rozłożystym drzewem, którego podmyte wodą korzenie i opadające w dół konary tworzyły rodzaj naturalnej klatki, iluzorycznie chroniącej go przed ewentualną napaścią dzikich zwierząt. Na spokojnej, jaskrawej w promieniach wczesnego

słońca tafli niewielkiego jeziora nie widać było śladu czaszy spadochronu. Znikąd też nie dobywał się dym, który powinien był znaczyć miejsce upadku samolotu. Nie licząc samotnych, pojedynczych chmur, niebo nad otaczającym jezioro zbitym pasmem tropikalnych drzew było idealnie czyste.

Fargo rozprostował zdrętwiałe ciało i z trudem wydostał się z korzennej klatki. Przeżyty szok i spiętrzające się aż do tragicznej kulminacji wydarzenia sprawiły, że zdjęcie skafandra zajęło mu prawie piętnaście minut. Dokładnie przeszukał wszystkie kieszenie – płaski pakiet przy pasku zawierał dwa blaszane pojemniki z wodą i garść dużych, kanciastych pastylek. Z rezygnacją schował je do kieszeni na udzie. Rozejrzał się wokół. Wiedział, że nie powinien zbyt długo tutaj pozostawać. Czekanie na pomoc, jeśli w ogóle ktoś wiedział o zestrzeleniu samolotu odbywającego tajną misję, nie było zbyt bezpieczne. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że na miejsce katastrofy przybędą ci, którzy wysłali myśliwce.

Po krótkim namyśle wkroczył w mroczny świat dżungli. Początkowo przyglądał się otaczającym go drzewom, mijanym kwiatom – jeśli były to kwiaty – krzewom i lianom, ale szybko porzucił to zajęcie. Nie miał pojęcia o botanice i zdał sobie sprawę, że nie potrafi rozpoznać żadnego znajomego kształtu. Przeklinał skrupuły, które nie pozwalały mu spytać pilotów o część świata, w której leży cel lotu. Być może świadomość, że znajduje się w Ameryce Południowej, Afryce czy Azji niewiele pomogłaby w obecnej sytuacji, jej brak potęgował jednak stres, na jaki był narażony. Zrezygnowany, machnął ręką. Mimo że nie przeszedł jeszcze nawet kilometra, czuł, że jest skonany. Rosnący upał i ogromna wilgotność powietrza powodowały szybki ubytek sił.

Mniej więcej po dwóch godzinach przystanął, żeby się napić. Rozerwał pojemnik i choć przyrzekał sobie racjonować wodę, wypił wszystko kilkoma haustami. Ruszając dalej, nie czuł ulgi. Zmusił się do zjedzenia dwóch pastylek, ale i to nie pomogło. W ciągu następnych dwóch godzin szedł coraz wolniej, by wreszcie usiąść pod drzewem i opróżnić następny pojemnik. Wyjął z kieszeni i włożył do ust nieprawdopodobnie pogiętego papierosa, ale bezwład, jaki go opanował, nie pozwolił na wyjęcie zapalek. Nie wiedział, ile czasu spędził pod dziwnym, rozłożystym drzewem. Kiedy podniósł się wreszcie i chwiejnym krokiem ruszył dalej, słońce dawno już minęło najwyższy punkt na niebie.

Opuściła go ostrożność, której przedtem przestrzegał. Jak każdy typowy Europejczyk spodziewał się, że w dżungli pod każdym krzewem, pod każdym liściem czai się jadowity wąż. Parł przed siebie, nie zważając ani na „podejrzenie” wyglądające rośliny chłuszczące go uzbrojonymi w kolce gałęziami, ani na chmary muszek kłębiących się wokół oczu, nosa i ust. Na pół oślepy, osłaniając się opuchniętymi dłońmi, szedł coraz bardziej zbaczając z wytyczonego kierunku, pozwalając prowadzić się splątanej roślinności, która od czasu do czasu odsłaniała przed nim co łatwiej dostępne przejścia.

Kiedy wydostał się na wolną przestrzeń, chwiejnie posuwał się dalej. Szedł jednak coraz wolniej, aż po kilkunastu krokach zamarł zupełnie. Po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że



stoi na środku szosy. Powoli, jakby bojąc się, że rzeczywistość splatała mu figła, osunął się na splekany, gorący od słońca asfalt.

Nie czekał długo. Stał na poboczu, nie czując już zbytnio ani zmęczenia, ani pragnienia, które w obliczu zaistniałej nadziei spadło do rangi drobnej dokuczliwości. Kierowca starej i mocno sfatygowanej ciężarówki zareagował na pierwszy ruch ręki. Zatrzymał swój archaiczny pojazd na środku drogi i otworzył drzwiczki.

–Podwiezie mnie pan do miasta?

–Jasne! – Starszy i pomimo siwizny rześko wyglądający człowiek mówił po angielsku, choć z dziwnym akcentem. – Marsz na orientację? Pogubiło się kierunki?

–Mhm.

Fargo ruszył w stronę zbitego z nieheblowanych desek pudła ciężarówki, w środku którego zauważył rozpartych pod burtą kilku Murzynów. „A jednak Afryka” – pomyślał.

–Nie tam... – Kierowca wskazał miejsce w szoferce. – Tutaj.

Podziękował mu uśmiechem. Wdzięczność do pełnego werwy staruszka wzrosła, kiedy dostał manierkę z chłodną wodą.

–Dostaniesz opierdół. – Stary jedną ręką zakorkował puste naczynie.

–Proszę?

–Jak wrócisz do jednostki. Nie ma się co bać, nie ty pierwszy się tu zgubiłeś.

–Taa... – Fargo coraz lepiej czuł się w nowej roli. – Słyszał pan w nocy huk?

–Ja? Gdzie tam! – Coś zazgrzytało w skrzyni biegów. – Od wczorajszego poranka jestem w drodze. Non stop.

–A jak pan myśli, czy okoliczni mieszkańcy...?

–Jacy mieszkańcy? – wpadł mu w słowo kierowca. – Przywożą was na to odludzie helikopterami i nawet nie powiedzą, gdzie lądujecie, a potem dziwią się, że mało który dociera do celu.

–Coś w tym sensie.

–Właśnie. W promieniu trzystu mil od jeziora nikt już nie mieszka – przekrzykiwał charczące radio staruszek. – Nawet M'botu się wynieśli, kiedy na płaskowyżu zaczęto budować kopalnie odkrywkowe. Teraz, panie, całe połacie dżungli zamieniły się w dymiące hałdy. W tej okolicy krąży takie powiedzenie: czego nie wyżarł HIV, czego nie wydusiły SARSy, to z pewnością dorżnie KGHM.

–M'botu... – powiedział Fargo zupełnie na temat, nie słuchał bowiem ostatnich słów starego, usiłując sobie przypomnieć, skąd zna tę nazwę.

–Dokładnie. Ostatni rdzenni mieszkańcy tego kontynentu. Nie to, co te przybłędy zza oceanu – wskazał na pakę. – Wiesz, może ja, stary, głupio myślę, ale tak mi się wydaje, że ktoś to wszystko zaplanował.

–Co zaplanował?

–No, to wszystko z wyludnieniem Afryki. AIDS osłabił pół kontynentu, zanim Europa i

Ameryka zaczęły niby pomagać. Ale dla milionów chorych już było za późno...

Fargo skinął głową. I na jego kampusie krążyły takie teorie, że epidemie, które wyludniły Czarny Ląd przed falą neokolonizacji, były wywołane sztucznie. Wprawdzie nikt nie wiązał z tą sprawą wirusa HIV, ale jak na to spojrzeć z szerszej perspektywy... W dwadzieścia lat po pierwszym przypadku kolejnej mutacji wirusa ptasiej grypy cała Afryka równikowa przypominała ogromny cmentarz. Tu nie było zorganizowanej służby zdrowia, kwarantanny. Za to ludzie zupełnie poszaleli czując nadchodzącą śmierć. Uznawany kiedyś za jeden z najkrwawszych konflikt między Tutsi a Hutu przy masakrze w Liberii, Ugandzie i Kongo wydawał się nic nie znaczącym epizodem.

–Wysadziliście coś, co niezupełnie było celem? – zapytał nagle stary z chytrym uśmiechem, wyrywając Lynna z zamyślenia.

–Tak jakby...

–Wiem, wiem... Też to kiedyś przeżyłem. Fargo uśmiechnął się, odwracając głowę. „O rany” – przemknęło mu przez głowę – „teraz usłyszę, jak to było z Montgomerym...”

–Walczyłem pod Montgomerym – powiedział staruszek. „Przeciwko temu staremu lisowi, Rommlowi” – pomyślał Fargo.

–Przeciwko lisowi pustyni, Rommlowi. „To dopiero była prawdziwa wojna” – uprzedzał w myśli słowa mężczyzny.

–Ale wiesz co? – Staruszek pokiwał głową i zaskoczył go kolejnym zdaniem. – To nie była wojna, tylko zabawa. Nie to co dzisiaj: atomówki, neutrony...

Fargo zakrztusił się, tłumiąc śmiech. Rozparty wygodnie w polatanym fotelu, słuchając jednym uchem spiskowych teorii dziadka, pogrążył się w swoich myślach. Nastrój poprawiał mu się z chwili na chwilę. I co z tego, że jest w sercu nieznanego kraju, bez dokumentów, instrukcji, bez kogokolwiek, kto mógłby mu pomóc. Przecież może „wstrzelić” swoją osobowość w dowolnie wybranego człowieka. Ma pełną kieszeń pieniędzy od Keldysha. Przy takich możliwościach, co mogą mu zrobić ci wszyscy tutaj? Ostatnie wydarzenia, które tak nim wstrząsnęły, stopniowo znikwały w pojemnym zbiorze zdarzeń przeszłych i znowu zaczynał czuć się jak ktoś, o kim Graham Greene mógłby napisać książkę. Tajny agent z misją wagi państwowej gdzieś na krańcach świata. O mało się znów nie roześmiał.

Sporo po północy dotarli do słabo oświetlonych przedmieść wielkiego miasta. Fargo w tym czasie zdążył poznać cały życiorys staruszka. Być może wojna Monty’ego z Rommlem była tylko zabawą, ale z całą pewnością złożyło się na nią całe mnóstwo ciekawych historii. A jeśli nawet niezbyt ciekawych? W każdym razie były na tyle długie, by wprawić opowiadającego w stan euforii, a słuchacza w otępienie.

–Gdzie cię wysadzić? – spytał wreszcie kierowca, wyraźnie zasmucony perspektywą utraty wdzięcznego słuchacza.

Fargo zaczął kaszleć, żeby zyskać na czasie. Nie był przygotowany na to pytanie, nie

chciał też zdradzić, że zupełnie nie zna miasta.

–Mhm... przy przystanku autobusowym – wybrnął wreszcie.

–Jakiej linii?

–Obojętnie. Trzeba się zrehabilitować za zgubienie drogi w dżungli. Ciężarówka zatrzymała się przy oświetlonym tylko reklamą sieci barów szerokim chodniku.

Lynn sprawnie zeskoczył na ziemię.

–Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł.

–Cała przyjemność po mojej stronie – zdobył się na komplement staruszek. Tym razem Fargo był skłonny z nim się zgodzić.

Patrzył za odjeżdżającym klekoczącym pojazdem, dobrze widocznym w długich światłach samochodu, który przed chwilą zaparkował tuż obok. Opuścił w końcu głowę i oparł się plecami o słup z nazwą przystanku. Powoli, celebrując każdy ruch, zapalił papierosa. Zastanawiał się, co ma teraz zrobić. Pójść do ambasady? Albo do konsulatu? O ile jest tu jakiś konsulat. A jeśli nawet, to co im powie? Może pokazać tę sprytną kartę kredytową i...

Rozmyślenia przerwał trzask otwieranych drzwiczek. Z parkującego obok samochodu wyskoczyło dwóch mężczyzn i szybkim krokiem ruszyło w jego kierunku. „Jechali za nami?” – poczuł lekkie uczucie strachu. Było za późno, żeby zrobić cokolwiek.

–Pan Fargo?

Ręce trzymane sztywno przy szwach spodni wskazywały, że obaj mieli za sobą wojskową przeszłość. „Czy to ludzie, którzy zestrzelili nasz samolot?” – przemknęło mu przez głowę.

–O co chodzi? – spytał.

–Jesteśmy od Keldysha. Proszę z nami. Niepokój nie opuszczał Fargo, kiedy wsiadał do dużej, luksusowej limuzyny. Nie wiedział, czy może im wierzyć, tym bardziej że obaj usiedli razem z nim na tylnym siedzeniu, uniemożliwiając mu nagłe opuszczenie samochodu. Kierowca ruszył płynnie, nie odwracając głowy.

–Skąd Keldysh wiedział o zestrzeleniu? – spytał Fargo.

–Dowie się pan na miejscu.

–A gdzie jedziemy?

–Niedaleko. Drażnił go ton, w jakim udzielano mu odpowiedzi.

–Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać? Tym razem siedzący po prawej stronie człowiek zdecydował się na dłuższą wypowiedź.

–Od miejsca katastrofy do miasta prowadzi tylko jedna droga. Można było przewidzieć, że będzie pan usiłował tu dotrzeć. Czekaliśmy na poboczu szosy od rana, potem zauważyłem

pana w szoferce ciężarówki i pojechaliśmy za wami.

Zdziwiło go, że usłyszał tak dużo.

„A jeśli chcą mi zamydląć oczy?” – pomyślał. – „Skąd w ogóle wiedzieli, że przeżyłem katastrofę?”

–Chciałbym jeszcze wiedzieć...

–Już dojeżdżamy – nie dano mu dojść do słowa. Samochód rzeczywiście zwolnił, by po chwili skręcić na szeroki podjazd prowadzący pod bogato zdobioną elewację dużej willi.

–Proszę tędy.

Mężczyźni wypuścili go z wozu. Ktoś od środka otworzył wzmocnione żeliwnymi okuciami drzwi. Wkroczyli do przestronnego korytarza, który zaprowadził ich do wewnętrznej klatki schodowej. Jeden z mężczyzn uniósł czujnik stojącego na małym stoliku aparatu. Powoli przesuwając nim po ciele Fargo. Mała kontrolka tylko raz zabłysła czerwonym światłem. Mężczyzna wyjął z jego tylnej kieszeni składany nóż.

–W porządku. Jest czysty.

–Dobrze. – Drugi otworzył boczne, ciężkie i jak można było sądzić dźwiękoszczelne drzwi.  
– Może pan iść.

Fargo powoli wszedł do dużego gabinetu, słysząc cichutkie plaśnięcie zamykanych za nim drzwi. Pod przeciwległą ścianą, za wielkim rzeźbionym biurkiem siedział otyły mężczyzna, którego cielsko wprost wylewało się z obszernego fotela.

–Jestem Tucker – wykonał zdawkowy ruch ręką. – Pan na pewno domyśla się już, z kim ma do czynienia?

Fargo, usiłując opanować drżenie, usiadł na wskazanym krześle.

–Jesteście ludźmi byłego asystenta profesora Fulbrighta. Tego, który opanował...

–Można to i tak nazwać. – Tucker rozciągnął w uśmiechu nałaną twarz.

–To wy zestrzeliliście samolot?

–Wiemy wszystko o komórce Keldysha. Wiemy wszystko o jego planach. „Blefuje. Na pewno blefuje” – powtarzał sobie Fargo. – „Chociaż na pewno wiedzą dużo.”

–Słyszał pan już o telepatach? Nagły chłód przeszył Fargo.

–To oni mnie wykryli?

–Owszem. – Ogromna dłoń o palcach jak serdelki leniwie sięgnęła do kołnierzyka, żeby poluzować krawat. – Wiedzieliśmy, gdzie nastąpi katastrofa, i obstawiliśmy teren swoimi ludźmi. Namierzyli pana od razu.

„A więc zasięg telepatów nie jest nieograniczony” – błyskawicznie skonstatował. – „Nie jest nawet duży.”

–To bardzo sprytni ludzie. – Tucker jakby czytał w jego myślach. – Potrafią wiele rzeczy... – Tłusty paluch pokiwał złowieszczo. – Wiele przykrych rzeczy...

–Po co pan mi to mówi?

Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że urywane sapanie człowieka za biurkiem było zwykłym śmiechem.

–Słusznie, nie bawmy się w zgadywanki – kolejne sapnięcie. – Wiemy o was wszystko. Moglibyśmy zabić pana tak, że nie wiedziałby pan, że w ogóle ginie. Moglibyśmy załatwić pana na wiele różnych sposobów, ale pana umiejętności czy... raczej właściwości, są dla nas

zbyt cenne.

Chwila ciszy.

–Chcemy, żeby pracował pan dla nas.

Fargo, zaskoczony, podniósł głowę. Trudno powiedzieć, co wpłynęło na jego decyzję.

Może po prostu nie rozumiał słów mężczyzny.

–Nie – powiedział twardo. Tucker spojrział na niego obojętnie. Potem pochylił się i dotknął przycisku interkomu.

–Niech telepaci zaczynają – powiedział. Opadł na fotel, tym razem jednak patrząc przed siebie z pewnym zainteresowaniem.

Fargo nagle poczuł, jak zbliża się ból głowy. Wyszarpnął z kieszeni i zarepetował pistolet.

–Nie dotykaj niczego! – krzyknął.

Tucker wydał pogardliwie wargi.

–Chłopcze, zanim tu wszedłeś, przeprowadzono elektroniczną kontrolę. Schowaj więc ten swój plastikowy straszak i... – zaczął podnosić się z fotela.

Fargo nacisnął spust. Pocisk z tworzywa sztucznego wielkości grochu trafił tamtego w brzuch. Tucker dotknął dłonią malej dziurki i w szoku patrzył na płynącą krew. Fargo przycisnął rękę do głowy. Ucisk w skroniach rósł, szybko zmieniając się w potworny ból. Zerwał się, wywracając krzesło. Z trudem utrzymywał się na nogach. Odruchowo zacisnął palce. Kolejna kula trafiła w ścianę, tuż obok głowy siedzącego.

–Nie strzelaj... błagam, nie strzelaj – jęczał Tucker.

Nowy paroksyzm bólu sprawił, że Fargo strzelił jeszcze dwukrotnie. Runął na dywan, dławiąc się własnym krzykiem. Świdrujący ból był tak silny, że poczuł bliskość śmierci.

Zdawało mu się, że traci przytomność, potem poczuł, że spada, że leci gdzieś z nieprawdopodobną prędkością tak jak przy „wstrzeliwaniu” swojej osobowości. Teraz trwało to jednak zbyt długo. Wyniszczający pęd zdawał się jeszcze narastać, kiedy on tracił przytomność.

\* \* \*

Nie był pewien, czy już się ocknął. Nie chodziło o to, że w jego głowie panował chaos -nie, ten minął bardzo szybko, mógł spokojnie myśleć i analizować wszystko na trzeźwo, ale... Ta ciemność! Nigdy w całym dotychczasowym życiu nie doznał tak nieprzeniknionej czerni. Podczas najciemniejszej nawet nocy był zawsze słaby odblask światła dalekiego miasta, blask rozgwieżdżonego nieba czy chociaż nikła poświata odbita od chmur. Zamknęli mnie w jakiejś hermetycznej komórce? – pomyślał. Usiłował poruszyć ręką lub nogą, ale nie mógł. Nie

dlatego, że były związane. Po prostu nie czuł żadnej części swojego ciała. Nie tylko rąk czy nóg. Każdy mięsień tułowia, wargi, gałki oczne, język i powieki pozostawały poza kontrolą. Zaaplikowano mu jakiś środek? Zanurzono ciało w gęstej cieczy?... Nie czuł, żeby pływał, unosił się lub spadał. Nie czuł absolutnie niczego. Koniecznie musiał przypomnieć sobie, co się wtedy stało. Skulony grubas w fotelu... On sam z pistoletem w ręce i ten okropny ból... Potem czuł, że spada, tak jak przy „wstrzeliwaniu” swojej osobowości w kogoś. A potem... Chryste, chyba jeszcze nie umarłem! Śmierć jako nie kończący się ciąg świadomego trwania...? O Boże, nie! Nie! Nie chcę!

–Uspokój się. Obcy głos! Nie, to nie głos... To zabrzmiało w jego głowie. Co to było?

–Tylko spokojnie. Fargo rozpaczliwie usiłował otworzyć usta. Nie mógł, nie potrafił wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

–Słyszę cię.

–O rany, jak?

–Docierają do mnie twoje myśli. Nie wszystkie. Tylko te, które usiłujesz zwerbalizować. Ty słyszysz mnie w ten sam sposób.

Fargo czuł, jak jego umysł wypełnia się tysiącem pytań. Z najwyższym trudem panował nad sobą.

–Kim jesteś?

–Nazywam się Almon Reed. Byłem inżynierem górniczym.

–Jak to, byłeś? Hej, gdzie ja jestem...? Gdzie my jesteśmy? – poprawił się.

–„Wstrzelili” nas tu telepaci pracujący dla Organizacji.

–Dla jakiej Organizacji? Ach, ludzie asystenta profesora Fulbrighta – przypomniał sobie. Ciągłe usiłował uspokoić swój umysł. – Co... co to za miejsce?

Reed długo nie odpowiadał. Zdanie, które w końcu pojawiło się w świadomości Fargo, brzmiało dość dziwnie.

–Naprawdę chcesz to wiedzieć?

–Naprawdę.

–Dobrze. Opowiem ci to, co wiem. Znowu nastąpiła długa przerwa.

–Wiesz chyba, że człowieka obdarzonego takimi jak my właściwościami bardzo trudno zabić. Nigdy nie wiadomo, czy ofiara w chwili śmierci nie „wstrzeliła” się w kogoś, choćby w samego mordercę, i nie ma pewności, czy na miejscu zbrodni nie leży tylko martwe co prawda, ale „puste” ciało.

–Tak.

–Organizacja długo borykała się z tym problemem, aż przyszło im z pomocą wykrycie u niektórych ludzi specyficznych zdolności telepatycznych. Telepata potrafi z pewnej

odległości wykryć osobę obdarzoną takimi jak my właściwościami, ale... Niestety, potrafi też zrobić coś znacznie gorszego.

Reed znowu przerwał.

Cisza przedłużała się.

–W tym miejscu mała dygresja – podjął po chwili. – Telepata potrafi wykryć tylko człowieka, który jest świadomy swoich możliwości. Tylko takiego, który dokonał już kilku „wstrzeleń” swojej osobowości, choćby na próbę. Dlatego też Organizacja przy pomocy specjalistów najpierw wyszukuje odpowiednich ludzi, którzy ewentualnie mogliby im się przeciwstawić, a potem ich szkoli.

–Po co?

–Nie chcą, żeby wyszkolił ich ktoś inny. Ktoś, kto mógłby im popsuć szyki.

Fargo pomyślał o Keldyshu, któremu prawie się to udało.

–Istnieje jednak jeszcze jeden powód, dla którego to robią – kontynuował Reed. –

Człowiek po szkoleniu staje się „przejrzysty” dla telepaty. A wtedy zadają mu pytanie:

„Czy

chcesz pracować dla nas?” Jeśli odpowie, że tak, najpierw sprawdzą takiego faceta, potem powierzą mu jakieś zadanie. Natomiast jeśli powie: „nie”, wtedy dwóch telepatów

„chwytają”

jego psychikę i tak jak policjanci, którzy po obezwładnieniu pijaka wrzucają go do radiowozu, tak oni siłą „wstrzeliwują” ją do ciała innego człowieka. Ofiara czuje najpierw potworny ból, a potem nieprawdopodobny pęd...

Fargo przypomniał sobie tamten gabinet i wszystko, co się tam stało.

–Gdzie...? Gdzie nas „wstrzelili”? – spytał.

Tym razem Reed odpowiedział od razu.

–Do ciała pewnego paralityka, który leży w szpitalu. Nie może poruszyć żadną częścią swojego ciała. Jest ślepy i głuchy... Nie czuje absolutnie niczego.

Fargo usiłował zapanować nad koszmarnymi wizjami, które zrodziły się w jego umyśle pod wpływem tego, co usłyszał.

–Stąd nie ma żadnego wyjścia – dotarły do niego suche słowa Reeda.

–To... to nieprawda! Ty kłamiesz! Kłamiesz, Reed...

–Uspokój się.

–Kłamiesz! Powiedz, że kłamiesz...

–Niestety to prawda. – Reed zamilkł, dając mu czas na oswojenie się z myślą, że dopełni swój czas w absolutnej ciemności i ciszy. W miejscu, gdzie nie można chodzić, śmiać się, mówić, pić czy jeść. W miejscu, w porównaniu z którym najcięższe więzienie wydawało się domem spokojnej starości.

Z tą myślą nie można się było pogodzić. Młody i pełen życia umysł Fargo buntował się z całą siłą, szukając najmniej nawet prawdopodobnych wyjaśnień, byleby, choćby i tylko pozornie, zaprzeczyć faktom. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, zanim zdecydował się odezwać.

–Reed?

–Słucham?

–Co się z nami stanie? Gdzie my jesteśmy? Znowu nastąpiła długa chwila denerwującego milczenia.

–Już ci mówiłem. Jesteśmy w umyśle sparaliżowanego człowieka. Wiem, że to Murzyn, ale nie mam pojęcia, skąd go wzięli. Może znaleźli ciało w jakimś szpitalu, a może wyciągnęli go prosto z buszu, żeby mieć pewność, że nikt się nim nie zainteresuje. Nie dojdziemy do tego.

–Ale co się z nami stanie? – powtórzył Fargo.

–„Wstrzelona” tu osobowość, pozbawiona odczuć, słuchu, wzroku i wszystkich innych zmysłów, nie może przetrwać zbyt długo. Tutaj nie ma czasu... Pamiętaj, czas, taki jakim go odbierałeś wcześniej, tutaj nie istnieje. Prędzej czy później odczujesz to na własnej skórze.

–A co potem?

–Potem nasze osobowości ulegną dezintegracji.

–O Boże, Reed, co to znaczy?

–Po prostu znikniemy. Kawalek po kawalku... Nie wiem, jak długo tu jestem. Wiem jednak, że moja pamięć zawiera coraz więcej luk, że moja osobowość jest coraz uboższa... Czuję, że ginę.

–I nie ma żadnego wyjścia?!

Cisza przedłużała się w nieskończoność, tak że po raz pierwszy zaczął zastanawiać się nad poczuciem czasu.

–Jest wyjście – usłyszał wreszcie.

–Jakie?!

–Mówisz tak szybko...

–Człowieku, jakie mamy wyjście?! Reed, wyduś to z siebie!

–Mówiłem ci, że jesteśmy w umyśle chorego człowieka. Ja sam przebywam tu... -zawahał się – dość długo. Wiesz, myślę, że jeśli „wstrzelisz się” w kogoś, nie możesz przebywać w jego umyśle zbyt długo. Początkowo stłumiona osobowość nosiciela zacznie się budzić i przenikać z twoją. Nasz nosiciel to wyjątek. Być może stało się tak, bo „wstrzelono” do niego wielu ludzi naraz... Nie wiem.

–Zaraz – przerwał mu Fargo, z trudem opanowując nerwy. – Jak to się stało, że osobowość naszego nosiciela nie uległa dezintegracji?

–On ukrył się w labiryncie.

–Gdzie?

–W labiryncie. Nie wiem dokładnie, co to jest i kto lub co go stworzyło. Tam...

–Tam można przetrwać?

–Przetrwać co? Tam osobowość nie ulega dezintegracji w taki sam sposób jak tutaj. Tylko tyle.



–Przecież musi być coś jeszcze. Reed, powiedz.

–Tam jest tylko labirynt. Potworny, straszny... nie ma słowa, którym można go opisać.

–Ale...

–Tam można przetrwać tylko popadając w szaleństwo. Można się też poddać władzy labiryntu. Ale stamtąd, z jego głębi, nie można już wyjść. Nikt, kto wybrał tę drogę, nie wrócił.

–A ty? Nigdy nie chciałeś...

–Byłem tam. Na samym skraju, skąd jeszcze mogłem się wycofać. Tam jest strasznie. Tam są sami szaleńcy.

–Jak... Jak można tam dotrzeć?

–Człowieku, nie wymyślono jeszcze słów na określenie sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Nie ma języka, który potrafiłby oddać choć część tego, co się tu dzieje. Jak mam powiedzieć ci, gdzie jest labirynt, skoro nie ma tu żadnego punktu odniesienia?

–Ale...

–Chcesz, żebym ci podał stronę świata? Albo kierunek? Chcesz iść na północ, w lewo, czy może na skos?

–Przestań! Przecież inni jakoś znaleźli drogę.

–Odkryli drogę, tak. Musisz szukać w głębi własnego umysłu. Tylko tam.

Reed umilkł nagle. Fargo przypomniał sobie, że nie słyszy jego słów, tylko konkretne, zwerbalizowane myśli. Zrozumiał, że umysł tamtego musiały opanować jakieś obrazy. Chciał mu jakoś pomóc, mimo że sam bał się coraz bardziej.

–Reed, skąd wiesz to wszystko? – spytał. – O Organizacji i w ogóle?

–Každy z tych, których tu „wstrzelono”, przynosił ze sobą jakiś strzępek wiedzy. Ktoś musi to zebrać, a potem przekazać następnym, tak jak ja przekazuję to tobie. I ty kiedyś przekażesz to komuś...

–Ale... dlaczego ten... paralityk, to więzienie dla nas jest akurat w Afryce?

–Sądzę, że Organizacja ma jeszcze kilka takich miejsc w odległych zakątkach globu. W Afryce czy Azji łatwiej jest ukryć przed policją zniknięcie ludzi, no i taniej wychodzi. Ten sparaliżowany biedak musi być utrzymywany przy życiu za pomocą skomplikowanej aparatury. Myślę, że opanowanie lokalnego szpitala lub jego części to dziecinna igraszka. W Anglii taki numer nie przeszedłby bez echa. Wszędobylscy dziennikarze, prywatni detektywi, przypadki... – znowu nastąpiła dłuższa przerwa. – Tutaj mogą eksperymentować do woli. Policja i wojsko są skorumpowane do granic. Koncerny są potężniejsze niż rządy. A Organizacja kontroluje kilka ponadnarodowych molochów.

–Słuchaj, Reed, dlaczego robisz takie długie przerwy?

–Kończę się. Coraz trudniej mi się skupić. Umykają mi już nie tylko pojedyncze słowa, wszystko znika... Pamiętaj, przekaż, co wiesz, następnemu. Może ktoś z was zyska szansę...

–Nie poddawaj się. Zostaniemy tu razem.

Nie doczekał się odpowiedzi.

–Reed!

–Wielu przed tobą mówiło podobnie...

–Jeśli będziemy ze sobą rozmawiać, przetrwamy!

–Jak długo? Całą nieskończoność? Obawiam się, że wkrótce zrozumiesz, na czym polega prawdziwa samotność...

\* \* \*

Tego, co czuł Fargo, nie dało się opowiedzieć konwencjonalnymi słowami. Rzeczowniki, takie jak: trwanie, istnienie czy choćby wegetacja w najmniejszym stopniu nie określały stanu, w jakim się znajdował. Jedynie słowo rozpacz znajdowało tu pełne zastosowanie -pełne, lecz tylko w połączeniu z przymiotnikami: czarna, najgłębsza, porażająca. Reed prawie się nie odzywał, a strzępy myśli, które od niego dochodziły, nie były kojące. Straszliwe osamotnienie nie wytrzymało porównania z żadnym więzieniem, żadnym karcerem ani całą śmiercią. Paraliżująca pewność, że znikąd nie można otrzymać pomocy, że żaden z ludzi w normalnym świecie nie ma pojęcia o jego sytuacji, odbierała resztki nadziei.

Reed w jednym miał rację. Nie było takiej pustyni, takiego lasu czy mroźnych pól Arktyki, które mogłyby równać się z tym miejscem. Wszędzie mógł zdarzyć się cud, mogli nadejść przypadkowi ludzie – tylko nie tutaj. Krańcowe, ostateczne zdanie się na własne wątle siły miało wszakże jeden pozytywny skutek: Fargo wiedział, że prędzej czy później musi dotrzeć do labiryntu ukrytego gdzieś w mrocznej psychice ułomnego człowieka.

Jak ma to zrobić? Zastosować ćwiczenia jogi, trening autogeny, „wyciszanie umysłu”? Wszystkie te metody zakładały posiadanie ciała, mięśni, układu krążenia i oddechowego. Doprowadzony do ostateczności, szukał w swoim umyśle innych dróg, mnożąc idące w setki próby w przekonaniu, że wielu przed nim znalazło właściwą ścieżkę. W rosnącym zapamiętaniu coraz mniej uwagi zwracał na rosnący strach – nie cofał się już przed możliwościami, które początkowo uznał za zbyt odpychające. Zagubiony w meandrach psychicznych zmagani, nie zauważył drobnej zmiany w otoczeniu.

Ciemność wokół nie była już absolutna. Delikatna poświata powoli, jakby pokonując wewnętrzne przeszkody, zmieniała się w słabe, być może stłumione odległością błyski światła. Zafascynowany, obserwował zmieniające się kolory. Skądś znał tę gamę barw i tę zmianę, która w niej zaszła. Nagle przypomniał sobie fragment tybetańskiej księgi zmarłych. „Nie zrodzona z niczego jasność. Czysta, pusta i rozedrgana.” Co to znaczy? Poczł, że znowu znajduje się we władaniu strachu. Przypomniał sobie, co tekst księgi mówi o przeraźliwych zjawach karmicznych, o wielkim lęku przed straszliwym Jamą. „A więc droga wiedzie przez śmierć?” – przeraził się nie na żarty. – „To tylko emanacje mojego umysłu” -powtarzał w kółko, ale nie mógł się już zatrzymać. Pędził z ogromną szybkością mroczną

aleją, ciągle w absolutnej ciszy. Koszmarna wędrówka zdawała się nie mieć końca – widział w dole posępną kamienną równinę, mijał majaczące w ciemności kształty jakichś masywów, poszarpane piramidy nagromadzonych bloków, prowadzące donikąd wąwozy i wyschłe koryta rzek. Potem ciemność znowu stała się bezimienna. Nie czuł już pędu, nie czuł strachu – jedynym doznaniem była rezygnacja. Wtedy właśnie dostrzegł przed sobą postać. Nieruchomy, jakby uformowany z martwej tkanki człowiek tkwił w dziwnej pozycji z uniesioną do przodu prawą nogą, w dziwnym stroju, z opartym na ramieniu kijem obciążonym tobołkiem. Lewa stopa opierała się na poszarpanym kawałku gruntu. Prawa, uniesiona nienaturalnie jak w starożytnym, nieudolnym wyobrażeniu ruchu, zwisała nad przepaścią. Fargo znalazł tę postać. Postać? A może jej rysunek? Czyżby to była pierwsza karta z talii taroka? Karta bez numeru – Głupiec. Karta oznaczająca kogoś nieświadomego, rozpoczynającego drogę, może mędrca bez doświadczenia, którego uważa się za głupca. A więc chaos, początek drogi? Głupiec to postać, która nie wartościuje dobra i zła, a sama nie jest jednym ani drugim. Z przerażeniem zauważył, jak głowa nieruchomej sylwetki odwraca się powoli, a martwe, namalowane oczy patrzą wprost na niego. W tej samej chwili poczuł, że znowu ma ciało.

Stał w niewielkim zagraconym pokoju. Płynące z okna światło drgało powoli, tak że wszystko wokół migotało. Na wielkim skóltunionym łóżu leżała naga kobieta z czarną opaską na oczach. Obok siedział niemłody mężczyzna z rewolwerem w dłoni.

– Czy wiesz, że jestem detektywem? – powiedział chrapliwym, rzęzącym głosem. – Takim od rozwodów.

– Słyszałam o takich jak ty. – Kobieta poruszyła się lekko.

– A wiesz, czym jest samotność, całe dni w pustym biurze lub w samochodzie, kiedy oczekuje się na możliwość zrobienia zdjęcia?

– Tylko z opowieści.

– Ostatnio przyszedł do mnie pewien facet. Zapamiętałem go – świszczący oddech zagłuszał słowa – bo był jedynym, który nie kazał mi śledzić swojej żony.

– A kogo?

– Zdradzała go kochanka.

– A komu potrzebne są dowody przeciwko kochance? – Wzruszenie ramion.

– Nie było żadnych trudności w inwigilacji – mężczyzna mówił powoli, z wyraźnym trudem – kobieta była niewidoma.

Nagie ciało na łóżku poruszyło się nagle.

– Nie mogłem się jednak odezwać ani słowem.

– Odezwać? Dlaczego? Mężczyzna opuścił głowę.

– Ta kobieta była moją żoną.

– Nie! To niemożliwe.

–Ależ tak, Alice!

–Nie! Ty nie jesteś moim mężem. On... on ma inny głos!

–Wypilem kwas... Nie będę żył długo. Mężczyzna wstał.

–Nie... Nie...

–Myślałem nad tym i myślałem. Zbyt późno zrozumiałem, że powinienem wykorzystać coś, co jest bardzo powszechne w naszej kulturze. Wykorzystać fakt, że u nas liczy się

tylko

to, co ludzie mówią, nie zaś to, co robią – im szybciej starał się wypowiadać słowa, tym

mniej

były one wyraźne. – Trzeba mówić, mówić, mówić, aż się zrobi wodę z mózgu!

Zrozumiałem,

że jesteś zwykłą kukłą, że mogę wprawić cię w ruch i mogę cię zatrzymać. Mogę pokazać

ci

świat w krzywym zwierciadle, gdzie pozory zamieniają się w rzeczywistość, a ciemność

zastąpi

falszywe światło!

Powoli opadł z powrotem na łóżko.

–To rzadka przyjemność uwieść własną żonę.

–Nie, to nieprawda!

–To rzadka przyjemność narzekać na samego siebie. Dopiero teraz... tak, dopiero teraz wiem, że tego właśnie chciałem przez całe życie.

Mężczyzna rozkaszał się nagle, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, żeby uspokoić obolałe płuca.

–Ale teraz to już koniec – wycharczał.

Fargo z przerażeniem dostrzegł, że lufa broni wycelowana jest wprost w jego pierś.

Pocisk przeszył ciało, zanim usłyszał huk wystrzału. Wiedział jednak, że kula nie była przeznaczona dla niego. Postać w szarym prochowcu i zdeformowanym kapeluszu, która stała z tyłu, powoli osuwała się na podłogę.

–Za co? – dobiegł go szept. – To... nie ja...

Fargo rzucił się w tył. Gdzieś zniknął drgający w opętańczych błyskach światła pokój, znowu unosił się w nieprzeniknionej ciemności. Martwa, nieruchoma postać przed nim nie była już Głupcem. W otoczeniu dwóch dziwnych kolumn tkwiła kobieta w powłóczystej szacie i niesamowitej czapie na głowie. W rękach trzymała księgę. „Czy to znowu tarot?” -pomyślał po raz wtóry. A więc miał przed sobą Papieżycę... Przewodniczkę, której spotkanie uwalnia siły... Jakie? Nie mógł sobie przypomnieć. Zaraz, a dlaczego nie ukazał się Mag?

Upiorna figura powoli zaczęła odwracać głowę. Zimne oczy zwróciły się w jego stronę.

Tym razem znalazł się we wnętrzu gigantycznej katedry. Ktoś usunął wszystkie ławki i dekoracje, toteż delikatne księżycowe światło wydobywało z mroku tylko fragmenty ceglanych ścian i lśniące kwadratowe płyty posadzki. Kilka metrów przed nim stały dwie osoby pogrążone w ożywionej dyskusji, dalej jacyś ludzie szukali kogoś lub czegoś, zaglądając do wnętrza niewidzialnych konfesjonałów i badając rzędy nie istniejących krzeseł przed skrzyżowaniem nawy głównej z transeptem.

Fargo zrobił kilka kroków, ale nikt z rozmawiającej pary nie zwrócił na niego uwagi.

Młody człowiek, chłopak jeszcze, podniósł głowę.

–Chyba nie będzie mnie ksiądz straszył piekłem? Jestem...

–Nie kończ, synu! – Mężczyzna w habicie zrobił gest, jakby chciał się zasłonić dłońmi. – Nie jesteś niewierzący, synu. Ty tylko się wahasz.

–Nie!

–Posłuchaj mnie. My, intelektualiści, powinniśmy ze sobą trzymać. A ja chcę tylko, żebyś mnie wysłuchał – znowu powstrzymujący gest ręką. – Piekło jest dla maluczkich...

–Co? – Chłopak uśmiechnął się tryumfująco. – Piekła nie ma, sami to przyznaliście parę lat temu.

–Piekło, Tartar, a jaka to dla ciebie różnica? To tylko pusta nazwa... a mnie chodzi o idee. Wiem, synu, co cię denerwuje. Wiem, jak wielu rozgoryczeń dostarczają kapłani, którzy wzywają do wyrzeczeń i ubóstwa, a sami pławią się w bogactwie. Jakich rozterek przysparzają, potępiając przerywanie ciąży, nie dopuszczając równocześnie do użycia środków antykoncepcyjnych.

–Zapomniał ksiądz o pedofilach, których chronią hierarchowie... – przerwał kapłanowi chłopak.

–Nie zapomniałem. Wiem, jakich męczarni dostarcza myśl, że ludzie nieświadomi popełnienia grzechu nie będą zań cierpieć. Wiem, że sądzisz, iż wszyscy ci bigoci i hipokryci

zapełniający świątynie dostąpią wiecznego szczęścia, a ty nie, bo nie chce ci się klepać pacierzy. Ale uwierz mi, synu – kapłan uniósł ręce ponad głowę – kim my jesteśmy, aby sądzić wyroki Boskie? Jeśli my dwaj potrafimy dostrzec grzechy tych ludzi, to czy nie dostrzeże ich sam Bóg?!

Twarz chłopca traciła powoli ironiczny wyraz.

–Ale myślę, że oni wierzą, że postępują słusznie...

–Ale my tak nie myślimy! A skoro my wiemy, to tam, w górze ma być inaczej? Co uprawnia cię do podejrzeń, że Bóg jest mniej inteligentny od ciebie?!

Mężczyzna w habicie ucichł nagle dla podkreślenia efektu. Potem zaczął mówić cichym, spokojnym głosem:

–Martwi cię, że świątynie przyjmują pieniądze. Że dają ludziom podstawy, by wyobrażali sobie, że można kupić zbawienie. Ale nadejdzie dzień sądu i anioł zapyta takiego człowieka: Ile zapłaciłeś za odkupienie grzechu? I zaśmieje się wtedy: A ile chcesz nam zapłacić za życie wieczne?! Gdzie są teraz twoje pieniądze? I spyta wszystkich bigotów: Jak długo klepaliście pacierze? Czy wystarczą, by zapełnić wieczność słowami?

–Ale... dlaczego... dlaczego ksiądz to mówi? Nie sądziłem, że...

–Wiem także, że nie możesz pogodzić się z myślą, że ludzie, którymi nie targają twoje wątpliwości, mają łatwą i prostą drogę ku światłu. Tak... „Błogosławieni ubodzy duchem.” Ale pamiętaj, kto to powiedział! – Głos księdza znów przybrał na sile. – I pamiętaj, kto rzekł,

że ostatni będą pierwszymi! To cierpiący wejdą do Królestwa – położył chłopcu rękę na ramieniu. – A czyż nie cierpisz, synu?! Czyż nie męczy cię to, że marnują twoje zdolności?? Że miast rządzić przez wzgląd na twą inteligencję, właśnie za jej przyczyną jesteś odsunięty, zapomniany i nie nagradzany, a wręcz ukarany?!

Ludzie szukający czegoś w nawie bocznej rzucili się nagle w pogoń za jakimś człowiekiem. Dopadli go i zaczęli prowadzić z wykręconymi rękami. Fargo rozpoznał mężczyznę z poprzedniej sceny, tego w szarym prochowcu i kapeluszu.

–Jeśli są ludzie tacy jak pan – powiedział chłopak – to ja... się nawróciłem! Kapłan obserwujący całą scenę odezwał się, kiedy oprawcy zniknęli za drzwiami katedry.

–Co tam mówisz? – spytał zupełnie innym tonem.

–Nawróciłem się – powtórzył chłopak.

–Bez przesady. – Ksiądz szybkim, wytrenowanym ruchem zdjął habit, ukazując czarny kombinezon z wieloma kieszeniami. – To była klasyczna nawijka, dokładnie jak napisano w instrukcji.

–W jakiej instrukcji?!

–Nie widzisz, szczyłu, że jestem tajnym agentem? Zrzućli mnie nie tam gdzie trzeba, trafilem na obławę i musiałem podszyć się pod kapłana.

–Ale... ale to, co mówileś...

–Powtarzałem słowa instrukcji kamuflażu. Nie ja ją układałem – wyciągnął z kieszeni kompas i latarkę. – Chyba nie uwierzyłeś w ten bełkot, co? – Rozłożył na posadzce mapę. – Wiesz, gdzie jesteśmy?

Chłopak ciągle potrząsał głową.

–A może Bóg wysłał ciebie, żeby mi objawić...

–O, tak, synu! – Agent urósł nagle do nadnaturalnych rozmiarów. – Mnie przysłał Bóg, ale nie twój, tylko Prawdziwy Bóg Labiryntu. Przyszedłem po ciebie... i po niego! – wskazał na przerażonego Fargo. – Chodźcie ze mną!

Fargo targnął się w tył, by znowu powrócić do absolutnej ciemności. Zobaczył przed sobą następną figurę, która wciągnęła go do trzeciej sceny, potem znowu znalazł się w ciemności. Czuł, że doświadczając coraz to nowych zdarzeń zstępuje powoli w głąb labiryntu. Czasem pojawiały się przed nim dwie lub nawet trzy figury tarota, spomiędzy których mógł wybrać, ale których znaczenia nie rozumiał. Wszędzie panował wszechogarniający lęk i ciężąca obecność straszliwego Bóstwa Labiryntu. Czuł, że zbliża się do sedna rozgrywających się wokół scen, i domyślał się, że jeśli w porę nie odgadnie zasad działania mechanizmu wprawiającego wszystko w ruch, spotkanie z bóstwem skończy się dla niego tak jak dla poprzedników. Ugrzęźnię w swojej komórce zmuszony do jałowego powtarzania jednej i tej samej sceny ze swojego życia. Zaraz... czy na pewno ze swojego? Usiłując się skupić, analizował wszystko, co tutaj przeżył. Dziwne zdarzenia, których był świadkiem, w większości były zbyt nierealne, żeby mogły być zwykłym odbiciem czyichś wspomnień. A

jeśli wszystkie fakty są przeinaczone, przesiąknięte wpływami straszliwego władcy? A jeśli władcą labiryntu jest właściciel sparaliżowanego ciała? W takim razie wszystkie sceny powinny mieć jakieś cechy wspólne... Szybko zarzucił próby analizy skomplikowanej symboliki tarota. Musiał się skupić na istocie wydarzeń. Czy miało znaczenie, że niektóre się powtarzały? Chyba nie. Tak jak w zwykłym labiryncie mógł błądząc trafić do tych samych korytarzy. Czuł jednak, że w każdym korytarzu tkwi coś, co łączy je wszystkie. Na pewno był tym czymś mały człowieczek w szarym płaszczu i kapeluszu. Ale to niczego nie wyjaśniało. Tam musi być coś jeszcze. Zaraz, jacy byli ci ludzie? W pierwszej scenie detektyw... Mówił chyba, że dopiero wtedy uświadomił sobie pragnienie swego życia, czy tak? Czy o to chodziło? Trudność w uświadamianiu sobie własnych pragnień? A w drugiej scenie? Młody chłopak zmieniający swe nastawienie pod wpływem... Czy to nie nadmierna zależność od aprobaty innych? A w pozostałych scenach: zahamowanie w samoocenie, wyrażaniu czegokolwiek, poczucie braku bezpieczeństwa... Tak! Przecież to cechy osobowości neurotycznej. Wszystkie osoby w labiryncie składają się z cech własnych i obcych, wpisanych im przez neurotyka. A więc Pan Labiryntu jest neurotykiem. Trudno się dziwić – w końcu paraliż odciął go zupełnie od świata.

Dojście do tego było względnie łatwe. Fargo wiedział jednak, że musi rozpoznać jeszcze rządzący wszystkim mechanizm. Usiłował przypomnieć sobie wiadomości na temat psychiki, które znalazł z książek i wykładów na uniwersytecie. Po raz pierwszy żałował, że chodził na wagary i nie uważał na dodatkowych zajęciach. Czuł, że musi się spieszyć, że coraz silniejszy strach wkrótce pozbawi go możliwości trzeźwego myślenia. Strach! A może to właśnie jest klucz? Wiadomo, że przyczyną lęku, którym nasycił wszystko wokół Pan Labiryntu, mógł być silny impuls agresywny. Jeśli istnieją powody, dla których nie chciał uświadomić sobie przyczyn własnej wrogości, jeśli uważał te przyczyny za złe, niemoralne, to sama wrogość mogła zostać wyparta. Przecież wyparcie to podstawowy mechanizm obrony osobowości. Wyparta wrogość, nie uświadamiana przez jednostkę, nie zanika jednak, ale w izolacji przybiera coraz większe, coraz bardziej fantastyczne rozmiary – „złe” impulsy wymykają się spod kontroli, a skutkiem tego może być nieokreślony lęk. Lęk pozornie bez źródeł. Zakłóca to od wewnątrz funkcjonowanie jednostki i automatycznie uruchomiony zostaje mechanizm projekcji – zagrożona osoba rzutuje swą wrogość na świat zewnętrzny. Wszystko wokół nabiera wtedy groźnych wymiarów, sama jednostka często jest wobec nich bezbronna.

No tak... Ale z tego, co pamiętał Fargo, wrogość nawet wypartą i nawet w neurozach dość ciężko można pogodzić z brakiem samoakceptacji. Zaraz... Reed mówił, że paralityk jest Murzynem, może nawet wyciągniętym z buszu. A jeśli miał tam styczność z katolickimi misjonarzami? Tak, mógł w młodości przejść staranny trening misyjny w zakresie wiary katolickiej, która skłania ludzi do tłumienia agresji i zachowań skrajnie altruistycznych. Mogli mu wpoić poczucie winy związane z wrogością. A jeśli ten człowiek później żył w mieście? W kręgu współczesnej kultury euro-amerykańskiej, w której nie gani się agresji, a wręcz

przeciwnie – nagradza. Zderzenie dwóch kultur mogło wywołać konflikt polegający na potrzebie ekspresji wrogości i jej jednoczesnego tłumienia. W konsekwencji sytuacja sprzyjała tworzeniu się neuroz.

**Czy to możliwe?**

Fargo zastanawiał się właśnie, czy odgadł dobrze, kiedy z ciemności przed nim wyłoniła się figura Głupca. Głupiec – pierwsza i ostatnia karta tarota – początek i koniec drogi. Domyślał się, że teraz nastąpi kulminacja, że okaże się, czy miał rację, czy też będzie musiał ulec i zatopić się w obłędnym ciągu powtarzanych zdarzeń. Ale żadna scena nie następowała. Za to sama figura Głupca traciła swoje znaczenie, przekształcając się w coś innego, dobrze znanego.

Przeżaszony Fargo zrozumiał w tym momencie, że wygrał. Kataraktyczna analiza ujawniła prawdziwy charakter „bóstwa”, którego szary płaszcz i kapelusz nikły przed nim w mroku. Mały człowiek bez twarzy, ścigany przez wszystkich w całym labiryncie. Jego władca, który był jednocześnie więźniem i to więźniem, który sam wznosił mury więzienia. Człowiek, który wyparł wrogość ze swojej świadomości, tworząc źródło lęku. Ale świadomości nie da się oszukać – działa na zbyt wielu poziomach. Poprzez symbole wiedziała o niszczących impulsach w głębszych warstwach. Mechanizm projekcji rzutował więc wrogie cechy w psychikę osób „wstrzeliwanych” przez telepatów w głąb jego świadomości. W rezultacie osoby te rzeczywiście stawały się groźne, więc zaczął je niszczyć i tak powstał labirynt, srogie bóstwo i wreszcie on sam, osaczony przez stworzone przez siebie potwory.

Zaraz... Fargo znów czuł ogarniające go wątpliwości. Wygrał, tak? To było pewne. Ale czy tak prosta analiza mogła wystarczyć? Przecież posługiwał się czymś, co bazowało na teorii Freuda. A to przecież teoria nie naukowa. Ortodoksyjni popperowcy określiliby ją nawet jako nieempiryczną.

Czy to mogło wystarczyć? Mogło sprawdzić się w konkretnym działaniu? W końcu co student malarstwa może tak naprawdę wiedzieć o psychologii? Zrozumiał nagle, że jego zwycięstwo było przypadkiem. Fargo po prostu przekonał sam siebie. Wytłumaczył sobie, że wygrał, uwierzył i to wystarczyło w konfrontacji z Bóstwem Labiryntu. Równie dobrze mógł wytłumaczyć sobie wszystko działaniem czarów, gdyby tylko mógł w nie szczerze uwierzyć... Czy to znaczy, że on sam też był neurotykiem? I że jego neuroza była silniejsza od... Wolął w to nie wnikać. Miał dość sytuacji, których nie potrafił nawet określić prawidłowo słowami, dla których nie było odpowiednich terminów.

Płaszcz i kapelusz tamtego były puste. Widocznie mnogość „wstrzeliwanych” psychik zniszczyła świadomość chorego człowieka.

Pozostał sam działający ślepo mechanizm...

Fargo czuł, że po raz pierwszy od czasu wtrącenia go do tego psychicznego karczeru, na chwilę pozbył się lęku. Czuł, że labirynt rozpada się, a jego więźniowie są bliżej i bliżej, podchodzą do niego. Wiedział też, że to już nie są ludzie. Ich umysły zużywały się w



powtarzaniu jałowych scen, były kolejno niszczone. Zostały same wzorce psychik. Płynęły ku niemu, włączając się w jego własną osobowość, wzbogacając ją i czyniąc silniejszą. Czy to Keldysh powiedział, że Fargo ma „wciągającą” czy „wchłaniającą” osobowość? Czy to ta dziwna cecha sprawiła, że włączył do siebie wzorce psychik pozostałych więźniów? Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że zaraz pozna wszystkie cechy tych ludzi, ich najskrytsze pragnienia. Każdy odruch, wszystkie umiejętności i tajemnice zawodowe. Może zostać każdym z nich, a jednocześnie pozostać sobą. Jako Lynn Fargo może przyglądać się z zewnątrz każdemu z tych małych światów, korzystać z ich wiedzy i umiejętności.

Poczuł nagle żal. Żal przemijania i żal zawodu, że nie może z nimi porozmawiać. Ci ludzie już nie istnieli. Czuł też niepokój. Kiedy kolejno analizował każdy element swojego umysłu, zauważył, że wraz z wzorcami ofiar labiryntu wtargnęło do niego coś jeszcze. Dziwny, niepokojący twór, do którego nie umiał wnikać. Nieprzejrzysty, pozbawiony aktywności kokon tkwił w najgłębszych zakamarkach świadomości, na glucho zamknięty.

\* \* \*

Nie mógł odnaleźć Reeda. Być może, gdy on zmagał się z siłami labiryntu, inżynier zniknął, umarł, rozplynał się. A może dziury w jego pamięci powiększyły się do tego stopnia, że tkwił gdzieś obok, nie mogąc powiedzieć, czy raczej pomyśleć niczego sensownego? Czym jest człowiek bez ciała? Fargo wiedział, że takie pytania nie doprowadzą go do niczego. Uporczywie przeszukiwał zawartość pamięci wzorców – tak nazwał martwe psychiki współwięźniów – zawartych w jego umyśle. W niektórych znalazł wspomnienie efektu „wstrzeliwania” przez telepatów nowego więźnia do sparaliżowanego ciała. Wiedział już teraz, że towarzyszył temu oślepiający błysk, w jakiś sposób bolesny dla tych, co tkwili już w środku, i coś... coś jak... wahał się z doborem odpowiedniego określenia, ale zdawało mu się... Nie, miał nadzieję, że przez chwilę, przez ułamek sekundy oczy paralytyka odzyskiwały swe funkcje. A więc nie były ślepe... Najprawdopodobniej za pomocą aparatury czy prostych osłon są włączane w odpowiednim momencie. Usiłował wyobrazić sobie sposób postępowania Organizacji. Czy jest ktoś, kto stoi bezpośrednio przy łóżku niepełnosprawnego człowieka? Czy wszystko odbywa się „zdalnie”, pozbawiając go wszelkich szans? Wiedział, że zasięg telepatów nie jest nieograniczony. A więc najprawdopodobniej dwóch z nich podążało za ofiarą, by ująć jej psychikę i przekazać ją... Komu? Możliwe, że osobie czy osobom, które czuwały tuż przy sparaliżowanym człowieku. Podczas zabiegu „wstrzeliwania” trzeba patrzeć na cel. Z tego wniosek, że miał szansę, cień szansy, który należało wykorzystać. Ale co potem? Nie mógł pozwolić sobie na dekoncentrację, na poświęcanie uwagi jakimkolwiek sprawom poza trwaniem w gotowości. Teraz ważny był tylko czas.

Czas... Człowiek leżący w absolutnej ciemności słyszy na przykład własny oddech, czuje tętno... Jego funkcjonowanie podzielone jest na mniej lub bardziej regularne rytmy snu i

czuwania. W końcu można choćby liczyć. Tysiąc sto jeden, tysiąc sto dwa... Tak, to miara upływających sekund. Ale tak robi człowiek mający ciało. Jeśli liczy czy mówi w myślach, odruchowo reaguje na to jego aparat głosowy, język, struny – to wszystko drży lekko, automatycznie układa się, by wypowiedzieć słowa, regulując tym samym prędkość. A z jaką szybkością człowiek myśli? Myśli abstrakcyjnie? Ile na zewnątrz upłynęło czasu? Rok? Pięć lat? A może tylko kilka minut? Fargo czuł, że coraz trudniej mu się skupić na tak prostej sprawie jak utrzymanie gotowości. Jaką miarę tu zastosować? Czas formalny, nieformalny, techniczny zaproponowany przez E.T. Hola? Indyjski Wielki Czas? A może czas regenerowany przez rytuały w tradycyjnych kulturach? Wiedział tylko, że sekundy i godziny nie miały żadnego zastosowania.

Nagły paralizujący błysk zaskoczył go zupełnie. Zdezorientowany, w panice, że nie zdąży, „wystrzelił” się prawie na oślep, zanim jeszcze zdał sobie sprawę, że nosicielowi na moment przywrócono wzrok.

Stał na ugiętych nogach, z pięściami przyciśniętymi do piekących, oślepionych nawalem światła oczu, dławiąc się własnym krzykiem.

„Spokój! Spokój!” – powtarzał sobie w myślach. – „To jeszcze nie koniec.”

Dobiegł go trzask otwieranych drzwi. Zaciskając zęby, rozwarł bolące powieki, usiłując powstrzymać potok łez.

–Czy coś się stało? – Pielęgniarka patrzyła na niego z niepokojem.

–Nie, nie... – Fargo prześlizgiwał się wzrokiem po aparaturze ustawionej w niewielkiej sali. Na środku, w specjalnym, podtrzymywanym skomplikowaną kratownicą łożu spoczywało spowite dziesiątkami rurek i przewodów wyschnięte ciało.

–Dlaczego pan krzyczał?

–Och, drobiazg, potknąłem się – rozpaczliwie szukał jakiegoś wyjaśnienia – i... no, i niechcący, łapiąc równowagę, włożyłem sobie palec do oka... Myślałem, że mózg mi wypłynie.

–Może poproszę doktora.

–Nie – uśmiechnął się, ale wiedział, że wyglądało to nienaturalnie. – To nic takiego...

Zawsze byłem histerykiem.

–Proszę pokazać oko. – Pielęgniarka podeszła bliżej. – Zobaczę, co...

–Nie, nie – przerwał jej, ruszając do drzwi. – Przyłożę sobie kompres.

–Proszę pokazać to oko – pielęgniarka ruszyła za nim – mógł pan sobie coś uszkodzić.

–To naprawdę drobiazg – przeszedł do małego gabinetu z całą ścianą zajęta przez nieczynne monitory. – Proszę nie robić sobie kłopotu.

Otworzył solidne, dębowe drzwi, uśmiechnął się w progu, ocierając płynące ciągle łzy.

–I przepraszam za te krzyki – szepnął. – Powinienem bardziej uważać.

Zatrzasnął drzwi i stojąc już na pozbawionym okien, jasno oświetlonym korytarzu poczuł, że drży. Chryste! Udało mu się wyrwać z tego koszmaru! Wiedział, że musi zachować spokój,

że to jeszcze nie koniec. Rozejrzał się w poszukiwaniu lustra – musiał dowiedzieć się, w czym jest ciele. Nie, to niepotrzebne. Przy sparaliżowanym człowieku w momencie „wstrzeliwania” nowego więźnia mógł być tylko jeden z telepatów. A więc to jego ciało. Fargo zrozumiał, że wcześniejsze przewidywania były słuszne. Spokojnie... Ruszył przed siebie, mijając rząd zamkniętych drzwi. Czy pielęgniarka należy do Organizacji? Na pewno tak. A w związku z tym, czy podniesie alarm? Czy nabrała dostatecznych podejrzeń? Miał ochotę rzucić się do panicznej ucieczki. Wolał wszystko, nawet samobójstwo, niż powrót do mentalnego więzienia. Z najwyższym trudem panował nad emocjami. Czuł, że rozedrgane nerwy mogą go zawieść w każdej chwili. Ponieważ na razie nic się nie działo, zamknął oczy i zaczął liczyć. Niewiele to pomogło. Kiedy doszedł do końca korytarza, serce znowu podskoczyło mu do gardła na widok skomplikowanego zamka w drzwiach zamykających dostęp do klatki schodowej. Przeszukał kieszenie szarego garnituru, który miał na sobie, ale klucza nie znalazł. Roztrzęsiony oparł się o stojący pod ścianą stolik z kółkami, którym przewozi się lekarstwa. Kto mógł mieć klucz? A może drzwi otwiera się jakimś szyfrem? Gorączkowo przeszukiwał pamięć, mając nadzieję, że ktoś z ludzi, których osobowości przyłączył do swojej, wie coś na temat zamków. Jest ślusarz. Usiłował dogrzebać się do zawartych w jego wzorcu wiadomości. Nagle spostrzegł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Odruchowo, jakby wiedziony jakimś instynktem, przykucnął przed progiem i zaczął badać skomplikowany mechanizm. Ze zdziwieniem obserwował własne dłonie przesuwające się ostrożnie po niklowych powierzchniach. W mózgu pojawiały się nie wiadomo skąd informacje dotyczące systemów zabezpieczeń, układów alarmowych, narzędzi potrzebnych do ich neutralizacji... Nagle zrozumiał. W momencie kiedy uaktywnił wzorzec ślusarza, po prostu stał się tym człowiekiem. Miał wszystkie jego odruchy, umiejętności, całą pamięć. Był ślusarzem, zachowując jednocześnie własną świadomość – działając poprzez wzorzec, stawał się fachowcem w dziedzinie reprezentowanej przez człowieka, którego psychikę odziedziczył. Uśmiechnął się mimowolnie. Nadal nie mógł pogodzić się z tą myślą – to było coś... coś wręcz nieprawdopodobnego. Tylko to słowo przychodziło mu na myśl. Poczul się dużo pewniej. Był nadal sam ale samotność nie była już porażająca. Czuł się tak, jakby stał przy nim ktoś, jakiś niemy doradca kierujący jego poczynaniami.

Pewnym ruchem wziął ze stolika igłę do robienia zastrzyków i wsunął ją do otworu w lśniącym metalu. Zamek nie był wcale tak skomplikowany, jak mogło wydawać się laikowi. Sprawnie podważył zapadkę, drugą igłą zablokował system alarmowy – głównie nie system, zwykły dzwonek z baterią, dwoma drutami i klamką w charakterze przerywacza – przesunął zasuwkę i lekko pchnął drzwi. Odskoczyły bez najmniejszego zgrzytu, a on ciągle uśmiechając się, przekroczył próg i zamknął je za sobą.

Wyłączył wzorzec ślusarza – jego odruchy mogły mu przeszkadzać – i mijając windy, ruszył w dół schodami. Musiał trafić na schody przeciwpożarowe, bo nigdzie nie było okien. Powoli zszedł dwa piętra, nie napotykając żadnego człowieka. Dopiero potem, na niższym

podeście, zauważył stojącego tyłem mężczyznę, który palił papierosa. Tamten odwrócił się na odgłos kroków.

–To pan – wyglądał na przestraszonego. – Ja... ja naprawdę wyszedłem tylko na chwilę. Zgasił papierosa o własny obcas.

–Drobiazg. – Fargo nie wiedział, jak się zachować.

–Doktor Herreira pana poszukuje – rozbiegane oczy tamtego świadczyły, że został przyłapany na czymś zabronionym.

–Gdzie jest?

–Nie wiem... Chyba niżej, w pokoju strażników. Fargo skinął głową.

–Mam tutaj jeszcze coś do załatwienia – wszedł do identycznego jak na górze korytarza. Wzmianka o strażnikach sprawiła, że przemierzał go szybkimi krokami, mijając nieliczne osoby w białych kitlach. Drgnął, kiedy jedna z nich, wysoka kobieta o niezwykle jasnych włosach, zatrzymała go ruchem ręki.

–O, jest pan nareszcie – uśmiechnęła się zimno. – Jak poszło?

–Dobrze...

–W porządku. Mamy nowych studentów, a ten idiota zaprowadził ich wprost do sali C - wskazała palcem drzwi na końcu korytarza.

–Studentów? – udał zdziwienie.

–Praktykanci z miejscowej uczelni, cholera by ich wzięła. – Kobieta potrząsnęła głową. – Zawsze mówiłam, żeby odkupić cały szpital, a nie tylko jedno piętro. Tu ciągle ktoś węszy - zagryzła wargi. – Niech pan idzie za nimi i powstrzyma profesora, bo gotów powiedzieć zdanie za dużo.

–Dostałem informację, że szuka mnie doktor Herreira. Widziała go pani? Blondynka roześmiała się cicho.

–Uwielbiam pańskie żarty, ale w tej chwili naprawdę mam na głowie poważne sprawy. Fargo dopiero teraz zauważył na jej kitlu plaketkę z napisem: *Dr Herreira - psychiatra*.

–Proszę dopilnować profesora – powtórzyła. – Muszę jeszcze zejść do strażników. Fargo niepewnie skinął głową i ruszył w przeciwną stronę. Wchodząc do sali C, ciągle zastanawiał się, w jaki sposób opuścić budynek szpitala. W środku jego uwagę przykuł rząd łóżek z nieruchomymi ludźmi podłączonymi do skomplikowanej aparatury medycznej. Otoczony grupką studentów profesor kontynuował swoją wypowiedź:

–Tak, utrzymanie tego wydziału kosztuje majątek, ale badanie tych przypadków należy do najciekawszej części naszej pracy.

–Czy to jest śpiączka? – spytała jedna ze studentek

–Mówiłem już, że stan tych pacjentów z prawdziwą śpiączką ma niewiele wspólnego. Zaraz to wyjaśnię. Weźmy na przykład ostatni przypadek. Młody mężczyzna, którego nazwiska nie znamy, znaleziono bowiem przy nim tylko tę kartę kredytową... – Podniósł ze

stolika plastikowy prostokąt.

Fargo nie dosłyszał końca tego zdania.

Czując ogarniające go podniecenie podszedł bliżej, zaglądając przez plecy stojących. Tak! W łóżku pod ścianą leżało jego własne ciało. Dłuższe włosy, zarost... Ale nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Opanował się, przygotowując swój umysł do skoku.

–Czy oni nie mają żadnych szans na odzyskanie świadomości? – spytała ta sama co poprzednio studentka.

W tym samym momencie Fargo „wstrzelił” się do własnego mózgu.

–Niestety, koleżanko, przy współczesnym stanie wiedzy nie jesteśmy w stanie im pomóc – słowa profesora słyszał, będąc już we własnym ciele. – Ten młody człowiek będzie tu leżał aż do chwili biologicznej śmierci.

–Myli się pan. – Fargo otworzył oczy i usiadł, z trudem pokonując bezwład zdrętwiałych mięśni. – Nie będę tu leżał ani chwili dłużej.

–Boże! – Profesor zakrztusił się gwałtownie, podtrzymując mdlejącą studentkę.

–Jestem inspektorem sanitarnym. – Fargo odebrał swoją kartę kredytową i owinięty w prześcieradło zwłókł się z łóżka. – Udawałem chorego, żeby sprawdzić kwalifikacje personelu. Muszę przyznać, że obsługa w tym szpitalu pozostawia wiele do życzenia.

Profesor stanowił żywy dowód, że potoczny zwrot o kimś, komu oczy wychodzą z orbit, wcale nie jest przesadzony. Zbici w grupkę studenci nie byli w stanie nie tylko się ruszyć, ale nawet drgnąć czy głębiej odetchnąć.

Nie czekając, aż minie szok, Fargo wybiegł z sali. Kilka osób na korytarzu zwróciło głowy w jego stronę, ale ich spojrzenia wyrażały tylko zdziwienie – chwilowo nie stanowili zagrożenia. Ocierając się plecami o ścianę, dotarł do drzwi windy i przycisnął guzik wzywający kabinę. Uspokajał właśnie zbyt szybki oddech, kiedy rozległ się natrętny dźwięk alarmowych dzwonek. Natychmiast zrozumiał swój błąd: w chwili kiedy „wstrzelił” się do własnego ciała, uwolniona została świadomość telepaty. To on wszczął alarm. Chryste! Zaraz tu będą. Złapią go i... Zdezorientowany, rozglądał się wokół. Musi uciekać... Strach, który przytłumiła poprzednio radość z odnalezienia własnego ciała, odezwał się ze zdwojoną siłą. Uciekać! Miał ochotę wyć i walić pięściami w chromową powierzchnię przed sobą. Zaraz, a jeśli w windzie będą pasażerowie, co wtedy robić? Boże, co robić?! Przerażony przeszukiwał zawartość swojej pamięci, ludząc się, że znajdzie tam psychikę jakiegoś złodzieja czy choćby policjanta. Jest! Odnalazł wzorzec instruktora z ośrodka szkolenia wojsk powietrznodesantowych. Chciał krzyczeć z radości, kiedy aktywował wzorzec komandosa. Już po chwili poczuł, jak uspokajają się jego rozedrgane nerwy. Gdy drzwi windy wreszcie się rozsunęły, był już zupełnie opanowany. W środku stało dwóch rosłych sanitariuszy i ofiara wypadku przywiązana do noszy.

–Pożar! – krzyknął Fargo, wyciągając rękę. – Ratujcie chorych!

Dźwięk alarmowych dzwonek i widok półnagiętego człowieka przyspieszył reakcję

noszowych. Wypadli na zewnątrz. Zanim zdolali się zorientować, Fargo był w kabinie. Przycisnął guzik pierwszego piętra. Chory, w normalnym jeszcze ubraniu, patrzył na niego z rosnącym strachem. Ledwie winda ruszyła w dół, Fargo zaczął ściągać z niego marynarkę, a potem koszulę.

–Panie! Co pan?! – Ranny próbował protestować. – Co pan robisz?

–Zamknij się – Fargo zakładał jego rzeczy – bo cię zawiozę do prosektorium.

–Ale gdzie jest mój lekarz?! Kim pan w ogóle jesteś? Jezusie! – wrzasnął podczas ściągnięcia spodni. – Mam złamaną nogę! Ratunku!

–Jestem twoim największym koszmarem. A teraz, drogi panie połamaniec, stulisz pan pysk albo pobawimy się skalpelem. – Szybko ubierał się w trochę za duży na niego garnitur. – Człowieku, nawet nie masz pojęcia, gdzie się dostałeś! – troskliwie okrył trzęsącą się ofiarę wypadku prześcieradłem. – To naprawdę straszne miejsce.

–Gdzie... gdzie mnie wiesz?

–Jak mówiłem, do kostnicy.

Wysiadł na pierwszym piętrze i wcisnął guzik posyłając kabinę na ostatnie. Idąc pustym korytarzem, uśmiechnął się na myśl o nowo nabytych odruchach. Gdyby wysiadł na parterze, nie miałby żadnych szans. Tam na pewno już na niego czekali.

Wziętym spod ściany krzesłem wybił okno w zewnętrznej ścianie budynku, oczyścił ramę z odłamków szkła i szybko przesadził parapet. Spojrzał w dół na rojną, pełną ludzi i pojazdów ulicę. Ugiął nogi w kolanach, złączył je razem, kostka przy kostce, żeby w razie trafienia w jakąś dziurę jedna stopa nie napotkała przeszkody szybciej niż druga i skoczył odpychając się gwałtownie rękami. Wylądował miękko na chodniku, z przewrotem, padając na prawy bok. Stracił na chwilę oddech, wstał jednak zaraz i ignorując zdziwione twarze przechodniów, ruszył szybkim, ale spokojnym krokiem przed siebie. Mrużąc oczy z powodu ostrego światła, lustrował otoczenie, usiłując odgadnąć, gdzie jest. Niestety, strzeliste elewacje wieżowców, porośnięte palmami skwery, rząd samochodów i wielobarwny tłum na ulicach nic mu nie mówiły. Spojrzał na budynek szpitala, ale krzyki z tyłu sprawiły, że błyskawicznie odwrócił głowę. Kilkunastu strażników z pistoletami w dłoniach biegło w jego stronę. Dzielilo ich może pięćdziesiąt metrów. Rzucił się do ucieczki, nie angażując jednak wszystkich sił. Chciał, by bliskość ofiary i malejący dystans sprawiły, że ścigający zdobędą się na maksymalny wysiłek, wtedy najlepszy biegacz musi wysforować się przed pozostałych. Oglądał się co kilkanaście kroków, w końcu zaczął udawać, że utyka, co przyszło mu tym łatwiej, że zdrętwiałe po długotrwałym bezruchu mięśnie bolały go coraz bardziej. Kiedy po raz kolejny odwrócił głowę, wysoki barczysty strażnik wyprzedził pozostałych prawie o połowę dzielącego ich dystansu. Zanim dobiegli do następnej przecznicy, od ofiary dzielilo tamtego już tylko kilka metrów.

Fargo w pełnym pędzie skręcił za róg budynku, zatrzymał się błyskawicznie i sprawnie odskoczył pod ścianę. Kiedy strażnik wychynął zza muru, wiedziony nieomylnym instynktem

włączonego wzorca, kopnął go w kostkę tak, że tamten potknął się o własną, wybitą z rytmu nogę. Skoczył na plecy padającego na bruk i sprawnym ruchem wyrwał mu broń. Zważył ją w ręce, cofając się pod ścianę. Hiszpański półautomatyczny pistolet Star 28. Rzut oka na dolną ściankę magazynka powiedział mu więcej. Widniała tam nalepka: *Uwaga! THV! THV – Tres Haute Fitesse* – francuska amunicja o bardzo dużej prędkości początkowej pocisku, dochodzącej do 620 metrów na sekundę. Mała masa pocisku sprawia, że traci on większość energii kinetycznej już po 30 metrach lotu. Ale jeśli wcześniej trafi w cel, spłaszcza się w grzybek i przekazuje całą swą energię ciału, które go zatrzymało. Jeśli jest to ciało człowieka, spotkanie przypomina zderzenie w pełnym biegu z ogromnym blokiem litego betonu.

Fargo uśmiechnął się znowu, reagując na pojawienie się w mózgu wiadomości, o których wcześniej nie miał pojęcia. Odczekał jeszcze ułamek sekundy, a potem wyskoczył zza rogu, trzymając odbezpieczony pistolet w wyciągniętej przed siebie prawej ręce. Złożył się błyskawicznie, przytrzymując lewą dłoń obciążony nadgarstek. Strzelił trzy razy, czując, że nie może chybić z odległości paru kroków. Pierwszych dwóch strażników, trafionych w pełnym pędzie, runęło na chodnik. Trzeci, ugodzony w nogę, wykonał skomplikowany piruet i zwałił się na ulicę. Pozostali, wśród krzyków przechodniów i pisku opon hamujących samochodów, rozbiegli się szukając osłony.

Fargo znowu odskoczył za róg, kopnął w szyję podnoszącego się z ziemi strażnika i wbiegł do wnętrza najbliższego sklepu. Uniesiona w górę broń sprawiła, że wokół rozległy się piski przerażonych kobiet. Kilku mężczyzn padło na podłogę. Tłum rozstępował się przed nim. Nie tracąc czasu, przebiegł między zastawionymi towarami półkami, przedostał się na zaplecze, a stamtąd do magazynu.

Jednym kopnięciem otworzył wzmocnione siatką drzwi i wypadł na ulicę.

–Stać!

Precyzyjnie wycelowana lufa sprawiła, że ruszający właśnie samochód zatrzymał się w miejscu. Fargo wyciągnął zza kierownicy przerażonego grubasa i widząc, że tamten nabiera oddechu do wydania krzyku, kantem dłoni uderzył go w krtań. Potem szybko przeszukał kieszenie swojej ofiary. Miniaturowa komórka rozprysnęła się na krawężniku. Wskoczył na siedzenie błyszczącego nowością kabrioletu mercedesa i z piskiem opon włączył się do ruchu. Zatrzasnął dokładnie drzwiczki, bo otworzyły się na zakręcie i dopiero teraz otarł wierzchem dłoni pot zalewający mu oczy. Wiedział, że policja w najgorszym przypadku może odnaleźć skradziony wóz już po kilkunastu minutach. Zwłaszcza tak charakterystyczny. Nie znał miasta, nie miał pojęcia, gdzie są posterunki ani na których skrzyżowaniach umieszczono kamery. Wzruszył ramionami. Nie zamierzał uciekać mercem – musiał tylko znaleźć miejsce, gdzie nie będzie ludzi.

Zwolnił i zaczął rozglądać się wokół. Rozległość centrum sprawiła, że porzucił nadzieję na dotarcie do którejkolwiek z dzielnic willowych. Usiłował wypatrzeć jakiś zaułek albo podjazd, ale klębowisko ludzi pod ciągnącymi się wokół sklepami niweczyło i tę szansę.

Wreszcie przypadkiem zauważył mały, osłonięty gęstą roślinnością parking przed jakimś urzędem. Zwolnił jeszcze bardziej i zaparkował zgodnie z przepisami kilkadziesiąt metrów dalej. Starannie zamknął drzwi, ukradkiem wrzucił kluczyki do studzienki ściekowej i ukrył broń z tyłu, za paskiem spodni. Szybkim krokiem wrócił na ocieniony palmami plac. Wokół nie było nikogo, ewentualny świadek mógł go dostrzec jedynie zza krzewów oddzielających chodnik lub z okien biurowca, ale na to nie można było nic poradzić. Dotykał dłonią masek zaparkowanych samochodów. Silniki dwóch pierwszych były ciepłe – znak, że właściciele mogli być gdzieś w pobliżu. Trzeci, luksusowy, ale trochę poobijany rover był zimny. Starając się robić jak najmniej hałasu, kolbą pistoletu zbił szybę, otworzył drzwi i wskoczył na przednie siedzenie. Otworzył okno, żeby ukryć resztki szkła i rozejrzał się wokół. Najprawdopodobniej nikt go nie widział. Uspokojony, sprawdził, czy wóz miał blokadę kierownicy. Jej brak pozwoli mu zaoszczędzić trochę czasu. Szybko połączył przewody pod stacyjką. Silnik zaskoczył łatwo. Z minimalną prędkością dotarł do zjazdu na jezdnię i po chwili włączył się do ruchu.

Na którymś z kolei skrzyżowaniu, zatrzymany przez czerwone światła, wychylił się do stojącego z boku policjanta.

–Przepraszam, jak dojechać do lotniska?

–Którego?

–A macie lotnisko sportowe? Policjant zamyślił się chwilę.

–Musi pan tutaj skręcić – machnął ręką w stronę wiaduktu podmiejskiej kolei. – Zjedzie pan na zachodni odcinek obwodnicy, a potem już cały czas prosto. Będą znaki.

–Dziękuję.

Fargo skręcił we wskazanym kierunku z pasa, z którego nie wolno było tego robić.

Pomachał dłonią uprzejmemu policjantowi, który specjalnie dla niego wstrzymał ruch na ten moment. Przez całą drogę zastanawiał się, ile ma jeszcze czasu. Problem strażników już dla niego nie istniał. Pościgu policji również się nie obawiał.

Prawdziwy problem stanowiła Organizacja. To, że w szpitalu nie pochwycono jego psychiki, zawdzięczał faktowi, że przebywał tam tylko jeden telepata. Pozostali zapewne czuwali w pobliżu innych ofiar, może pilnowali ciał tych, których „wstrzelili” do mózgu paralityka. Jak daleko byli? Ile czasu zajmie im dotarcie do kolegi w szpitalu? A może od razu rzucą się w pogoń? Dałby wiele za wiadomość, z jakiej odległości mogą go namierzyć... Niestety żaden z wzorców nie dysponował takimi informacjami... Nie tędy droga. Musi zrobić wszystko, żeby nie wrócić do psychicznego więzienia, musi uciec z tego przeklętego miasta. Odruchowo dodał gazu, ale zaraz zwolnił do poprzedniej prędkości. Jakikolwiek zatarg z radarowym patrolem nie był mu na rękę. Włókł się więc sześćdziesiątką, klnąc w duchu urzędnika, który nakazał tę prędkość na szerokiej, kilkupasmojowej obwodnicy. Obserwował mijające go samochody, których kierowcy nie zważali na obowiązujące przepisy – cóż, oni



mieli dokumenty, w razie czego mogli nawet zapłacić mandat. Patrzył na obojętne twarze osób za szybami. O ilu sprawach ci ludzie nie mieli pojęcia! Znowu poczuł straszliwy ciężar samotności.

Uśmiechnął się nerwowo na myśl, że mógłby ujawnić parę bulwersujących faktów. Komu miał o tym powiedzieć? Policji? Komuś z wojska? Już słyszał pytanie: A więc pracuje pan dla brytyjskiego wywiadu. A co pan robi na terenie naszego państwa? Może powinien powiadomić prasę? Tym razem zobaczył siebie, jak mówi: Panie redaktorze, tu działa straszliwa Organizacja. Ich telepaci łapią ludzi, którzy potrafią siłą woli kierować innymi, i trzymają ich w mózgach specjalnie wyselekcjonowanych paralityków. Ponownie uśmiechnął się znużony niewesołymi myślami.

Gdyby nie drogowskaz, nie zauważyłby skrętu na lotnisko. Było ukryte za niewielkim wzgórzem – kilka pomalowanych świeżą farbą hangarów i trawiaste, pozbawione wieży kontrolnej pole startowe. Jadąc na parking, przyglądał się ustawionym w kilku rzędach samolotom, kiedy poczuł lekkie mrowienie w skroniach. W pierwszej chwili nie zorientował się, o co chodzi, dopiero ledwie wyczuwalny, promieniujący ból sprawił, że żołądek podjechał mu do gardła. Telepaci! Mają go! Przycisnął gaz do dechy. Samochód ruszył ostro i gwałtownym skrętem wypadł z parkingu.

„Dostali mnie!” – pomyślał Fargo. – „Chryste!”

Znowu skręcił kierownicę. Pisk opon zmusił kilku ludzi do rozbiegnięcia się na wszystkie strony, ale wjazd na lotnisko nadal był zablokowany przez jakąś furgonetkę. Nowy wiraż, plastikowa osłona zderzaka została na niskim płotku, ale samochód, ciągnąc za sobą zwoje siatki, wtoczył się na płytę startową. Ból w czaszce to rósł, to przygasał, jakby nie mogąc zogniskować się w konkretnym miejscu.

„To może oznaczać, że telepaci też jadą samochodem” – zrozumiał Fargo – „i działają na granicy zasięgu.” Wbrew instynktowi zwolnił trochę, mijając zaparkowane na skraju pola cessny, mooneye, pipery i fairchildy. Wreszcie, ze zgrzytem hamulców zatrzymał się przy otoczonym przez kilka osób małym samolocie. Beechcraft Duchess – wzorzec komandosa podsunął mu nazwę. Wyskoczył z samochodu, wyszarpując zza paska pistolet.

–Na ziemię! – ryknął. – I to już, bo załatwię wszystkich!

Ból w czaszce pulsował dalej, za każdym nawrotem coraz silniejszy. Do tego dochodził ryk rozgrzewanych silników.

–Ruszać się!

Dwie kobiety, zapewne matka i córka, stały jak sparaliżowane – albo nie dosłyszały, albo nie zrozumiały.

–Na ziemię! – pchnął starszą. Silnym kopnięciem rozciągnął na trawie młodego chłopaka.

–Jeanne, co tam się dzieje? – dobiegł go niewyraźny głos z wnętrza kabiny. – Znowu zapomniałaś za coś zapłacić?

Fargo wskoczył na skrzydło i jednym szarpnięciem wywrócił gramolącego się z kabiny

mężczyznę. Jęknął z bólu. Nie zważając na naciągnięte ścięgno, kopnął między nogi leżącego na obudowie silnika człowieka i zepchnął go na dół.

–Leżeć! – wskoczył do kabiny, sadowiąc się w fotelu pilota. – Jeden ruch, a rozwali was mój kumpel z furgonetki!

Zatrzasnął drzwi, blokując zamek. Ból w głowie potężniał.

„Uciekać! Szybciej!” – myślał w panice. – „Boże... nie zdążę!”

Zamglonym wzrokiem kontrolował wskaźniki i położenie dźwigni. Temperatura oleju, ciśnienie w instalacjach hydraulicznych, paliwomierze, instalacja powietrzna, regulatory skoku śmigieł i manometry, uchwyt do sterowania składem mieszanki, ogrzewanie gaźnika, blokada wolantu – błyskawiczne ruchy rąk przygotowały samolot do startu.

Wreszcie zwolnił hamulec postojowy i pchnął do przodu dwie oznaczone jaskrawym kolorem manetki. Niewielka maszyna o wadze nieznacznie przekraczającej jedną tonę ruszyła lekko, tocząc się na trójkołowym podwoziu. Ból w czaszce powoli stawał się nie do zniesienia. Roztrzęsiony, zerknął na umieszczony nad jednym z hangarów rękaw i odpowiednio ustawił samolot. Potem wparł stopy w pedały hamulców i pchnął obie manetki do oporu. Ryk stutrzydziestoczerokilowatowych silników wypełnił wnętrze kabiny. Opuścić kłapy... Zwolnić hamulce, czując szarpnięcie ruszającej maszyny. Z trudem panował nad sobą, bojąc się popełnienia jakiegokolwiek błędu, a przede wszystkim poddania się sile tamtych. Przez moment, kiedy samolot nabierał rozpędu, zobaczył obraz siebie zamkniętego na zawsze w potwornym więzieniu czyjejś psychiki oraz własnych zwłok dopalających się we wnętrzu rozbitej maszyny. „Szybciej, szybciej...” – dławił się własnym jękiem. Czuł twardniejące stery, ale nie wiedział, czy może ufać rękom. Walcząc z bólem, ściągnął wolant na siebie. Beechcraft oderwał się od ziemi. „Podwozie...” – wiedział, że musi nabrać prędkości, ale strach ponaglał go, żeby już zacząć manewry, żeby wyrwać się wreszcie z zasięgu telepatów. Zamglony wzrok z trudem ogniskował się na prędkościomierzu. „Kłapy” – zbyt ostro szarpnął dźwignię. Sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Dwieście, dwieście dwadzieścia, dwieście czterdzieści...

Czuł, jak ból powoli maleje.

„Udało się” – gwałtowna ulga sprawiła, że o mało nie zarył w ziemię. Potrząsnął głową. Zorientował się, że maszyna na wysokości zaledwie kilku metrów rwie wprost na kępę palm porastających szczyt łagodnego wzniesienia. Poderwał ją ostro, nadal czując w głowie pulsowanie, ale to już była tylko kwestia wysokiego ciśnienia. Rzut oka na wariometr - wznoszenie prawie sześć metrów na sekundę – i wyrównał lekko. Nie zamierzał zwalić się w korkociąg teraz, gdy umknął takiemu niebezpieczeństwu. Długo uspokajał rozdygotane nerwy. Przez dobre kilka minut nie mógł skupić się na niczym. Potem jednak myśl, że nigdy w życiu nie prowadził samolotu, że musi ciągle polegać na włączonym wzorcu innego człowieka, sprawiła, że skontrolował wszystkie przyrządy. Uśmiechnął się na myśl, że miał rację. Obecność przy samolocie wybierającej się gdzieś rodziny pozwoliła odgadnąć, że

zbiorniki są pełne. Ponad trzysta siedemdziesiąt litrów paliwa, nawet jeśli nie będzie bawił się w dobieranie ekonomicznych prędkości i pułapów, powinno wystarczyć mu na przebycie więcej niż tysiąca kilometrów.

Trochę uspokojony, rozejrzał się po kabinie w poszukiwaniu mapy, ale kieszenie w drzwiach, skrytki przy fotelach i specjalne gumy przy światłochronach były puste. Szerokim łukiem wrócił nad autostradę i starym lotniczym sposobem leciał wprost nad nią. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, jak długo sterroryzowanej rodzinie strach przed wymagowanym „kolegą” z furgonetki nie pozwoli na zawiadomienie policji. Kilka minut? Kilkanaście? Mniejsza z tym. Nie sądził, żeby policja wysłała za nim helikoptery albo zawiadomiła siły powietrzne. A jeśli nawet... Tam nic nie dzieje się szybko. Dużo większym problemem było pytanie, czy w mieście, które powinien napotkać lecąc dostatecznie długo nad autostradą, będą telepaci? Po namyśle odrzucił jednak taką możliwość. Organizacja nie mogła mieć tylu ludzi, żeby utrzymywać placówkę w każdym mieście, zresztą byłoby to bezcelowe, zakładając oczywiście, że traktowała Afrykę jako spokojne miejsce do przetrzymywania więźniów. Nie sądził, żeby zagrażała mu szybka, a przede wszystkim skuteczna pogoń. Nie mogli dysponować tak wielką liczbą telepatów, aby rozesłać ich we wszystkich kierunkach. Tyle przynajmniej mógł dowiedzieć się od wzorca komandosa na podstawie analogii z poszukiwaniami prowadzonymi bardziej konwencjonalnymi metodami. Niestety, pamięć instruktora z ośrodka szkolenia wojsk powietrznodesantowych nie zawierała niczego na temat metod działania telepatów. Dowiedział się jedynie, że jeśli sytuacja wymyka się z ram szablonów dostarczonych przez doświadczenie czy przewidzianych przez instrukcje, zamiast bezskutecznie analizować nieprzewidywalne warianty przyszłych zajęć, trzeba działać – nie pozwolić, żeby inicjatywa wymknęła się z rąk. Wiedział, że musi dotrzeć do miejsca, gdzie mógłby rozpląnąć się w tłumie, zmienić wygląd, zatrzeć ślady. I być gotowym do ucieczki na pierwsze odczucie ucisku w uszach. Tak, telepaci byli istotnym problemem... Wzruszył ramionami. Kwestia, czy będzie uciekał dalej, czy może zdoła coś wymyślić, nie była w tej chwili zbyt paląca.

Wyrównał lot, nie mogąc pozbyć się wrażenia nierealności następujących zdarzeń. Po raz pierwszy w życiu prowadził samolot, jeszcze godzinę temu nie mając o tym najmniejszego pojęcia, polegał na czyichś wiadomościach i odruchach, które przez odpowiednie „włączenie” stawały się jego własnymi. To, że mógł, przez cały czas zachowując własną świadomość, działać „poprzez kogoś”, wprawiało go w pewien rodzaj onieśmienia. Ostrożnie, lecz zdecydowanie, zniewolony dogłębną wprost fascynacją, penetrował świat wzorców zawartych w jego mózgu. Świat pełen cudzych wrażeń, przeżyć, najintymniejszych myśli -otwarty teraz i znieruchomiały jak na starej, choć ciągle wyraźnej fotografii. Delikatnie, żeby nie stracić kontroli nad odruchami, które prowadziły samolot, przyglądał się z mieszaniną grozy i podziwu poszczególnym plamom, punktom. Ciągle nie umiał dobrać właściwego słowa. Tylko kokon tkwiący na samym dnie jego psychiki pozostawał wciąż nieprzenikniony.

Kto to jest? Może człowiek, który... A jeśli „to” w ogóle nie jest człowiekiem? Ta myśl sprawiła, że wycofał się nagle i skupił na prowadzeniu maszyny.

Dżungla pod skrzydłami zaczęła rzednąć przed upływem dwóch godzin. Zmniejszył szybkość do dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę dopiero wtedy, kiedy na horyzoncie pojawiły się żelbetowe wieże kolejnego miasta. Rozejrzał się wokół. Miał jeszcze kilka minut do przedmieść i wiedział, że musi wcześniej znaleźć miejsce do lądowania.

Wszelkie lotniska odpadały z zasadniczych względów. Droga lądowania takiej maszyny wynosiła niecałe sześćset metrów – nie powinno być kłopotu ze znalezieniem wolnej przestrzeni tej wielkości. I rzeczywiście, już po chwili dostrzegł pustą, idealnie prostą i w miarę szeroką drogę prowadzącą do podmiejskiego osiedla domków jednorodzinnych. Nie musiał robić nawet nawrotu do lądowania. Wysunął klapy i z ręką na dźwigni wysuwania podwozia zaczął zmniejszać wysokość, uważając, żeby szybkość nie spadła poniżej stu dziesięciu kilometrów. Kiedy koła prawie dotykały roztopionego w słońcu asfaltu, kątem oka dostrzegł wyjeżdżającą z bocznej ulicy śmieciarkę. Był zaledwie pięćdziesiąt jardów od niej. Dostrzegł przerażoną twarz kierowcy.

Gwałtownie nacisnął hamulce i jednym ruchem ręki wyłączył oba silniki. Maszyna zareagowała z sekundowym opóźnieniem: gdy pękła jedna z zablokowanych opon, zaryła nosem w asfalt i przekoziółkowała. Na szczęście wzorzec komandosa w jego umyśle był szybszy. Fargo otworzył drzwi i wyskoczył, zanim maszyna całkowicie wymknęła się spod kontroli i zaczęła koziółkować.

Przetoczył się po asfalcie do krawężnika, potem wstał i choć z trudem utrzymał równowagę, skoczył w bujne krzewy porastające pas zieleni oddzielającej chodnik od ulicy. Przesadził niskie ogrodzenie i dopiero przebiegając przez zadbane ogród, usłyszał stłumiony odgłos eksplozji. Beechcraft miał w bakach jeszcze kilkadziesiąt litrów paliwa...

Osiedle zbudowano w amerykańskim stylu, to zauważył jeszcze z góry. Bez problemu odszukał furtkę prowadzącą na wewnętrzną alejkę. Brudna i mocno podarta marynarka wylądowała na pierwszym z brzegu śmietniku. Koszula była w nie lepszym stanie, na szczęście ktoś w sąsiedztwie wpadł rano na pomysł, by przeprać parę rzeczy. Bajecznie kolorowa bluza z motywami roślinnymi może nie była szczytem elegancji, a sprane dżinsy nie leżały idealnie, ale przynajmniej nie wyróżniał się z tłumu. W ostatniej chwili zdążył wskoczyć do ruszającego właśnie autobusu. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, większość pasażerów komentowała niezwykle wydarzenie.

–Widziała pani coś takiego?

–To wariat! Narkoman jakiś...

–Nie, pewnie miał awarię... Fargo, stojąc tuż przy środkowych drzwiach, przejechał zaledwie dwa przystanki.

Konduktor zbliżał się nieubłaganie, a w ukradzionych rzeczach nie było nawet najdrobniejszej monety. Dla Fargo był to tylko przejściowy kłopot. „Pożyczył” trochę

pieniędzy od nobliwie wyglądającej paniusi, która spóźniła się na autobus. „Wstrzelenie” trwało kilkadziesiąt sekund, a dla postronnego obserwatora wyglądało jak pokaz prawdziwego samarytaństwa. Kobieta pochylała się nad siedzącym na ławce obdartusem i włożyła mu do kieszeni zwitek banknotów. Potem stanęła w drugim kącie wiaty przystanku i chwyciła się za głowę.

Fargo wszedł do pierwszego autobusu, jaki się pojawił. Wsiadł dopiero w położonej na gęsto zalesionych wzgórzach dzielnicy willowej. Bez trudu ukradł jeden z zaparkowanych na wąskich uliczkach samochodów i nie niepokojony przez nikogo dotarł do ogromnego centrum handlowego. Supermarket z powodu wyprzedaży oferował tylko rzeczy pośledniej jakości, ale za to kręcący się wokół tłum był mu bardzo na rękę. Nie miał za dużo pieniędzy, ale wystarczyło ich na kupienie nowych dżinsów, obszernej bluzy i wygodnych adidasów. Przebrał się szybko w jednej z kabin, a stare rzeczy wyrzucił do pojemnika na odpadki. Wyszedł na zewnątrz sprawdzając, czy wsunięty za pasek pistolet nie wystaje spod bluzy, i dopiero wtedy nieco się rozluźnił.

Ruszył wolno bulwarem nad szeroką rzeką. Idąc wśród takich samych jak on ludzi, po raz pierwszy od bardzo dawna nie czuł się zaszczuty do granic wytrzymałości. Wyzwolony spod straszliwego stresu organizm zaczął reagować normalnie. Kupił w małym kiosku smażoną rybę z frytkami, trochę się bojąc, jak sztucznie odżywiane ciało zareaguje na ten pokarm. Jadł powoli, oparty o rzeźbioną balustradę, i przyglądał się przygotowaniom na brzegu rzeki do zawodów niezwykle kolorowych skuterów wodnych. Po kilku minutach odrzucił pustą tackę. Przesunął ręką po ostrym zaroście i długich, potarganych włosach.

„Czas na fryzjera” – pomyślał. – „Potem trzeba się będzie zastanowić, co dalej.”

Niewielki zakład znalazł w centrum rekreacyjnym przy największej przystani. Nie było kolejki i kobieta w firmowym fartuchu od razu posadziła go w wygodnym, obitym prawdziwą skórą fotelu.

–Słucham pana? – Fryzjer zdobył się nawet na sztywny ukłon.

–Golenie – Fargo ułożył fałdy bluzy tak, żeby ukrywały kształt broni – i proszę skrócić włosy.

–Proszę uprzejmie... – przerwał mu ryk silnika startującej łodzi.

–Widział pan coś takiego?! – odezwał się klient z fotela obok do obsługującego go fryzjera. – Przecież to skandal!

–Oczywiście! – Fryzjer również był oburzony. – Taki hałas...

–I to prawie w centrum miasta. Powinni stosować tłumiki.

–Zapewniam pana, że mają tłumiki, ale taki ścigacz osiąga prawie trzysta kilometrów na godzinę, ma potężne silniki, tego nie da się wytłumić. A my musimy to znosić od trzech dni. Nie mówiąc o wypadkach.

–Były wypadki?

–Wczoraj jeden gość się zabił. Myśleliśmy, że przerwą zawody, ale gdzie tam... Spryskać

woda?

–Proszę. – Mężczyzna uważnie przejrzał się w lustrze. – Mam uraz do wypadków.

–Szanowny pan też pływa?

–Nie, skąd. Córka rozbiła się samochodem. Fargo uśmiechnął się, słysząc ich rozmowę.

Kiedy fryzjer nakładał mydło na jego twarz,  
oparł głowę w specjalnym wgłębieniu fotela.

–Coś poważnego?

–Bardzo. Chirurdzy poskładali ją sprawnie, ale straciła pamięć. Zupełnie – mężczyzna obok odczekał, aż ogłuszający ryk silnika kolejnej łodzi umilknie w oddali – myślałem, że tak już zostanie, ale znajomy polecił mi doskonałego fachowca od tych spraw. Frederic Jastrow, słyszał pan o nim?

–Nie.

–Mieszka na północ od miasta.

–Pomógł pańskiej córce?

–Człowieku... To nie trwało nawet pół dnia. A ja myślałem, że potrzebne będą miesiące leczenia...

–Tak, tak. Postępy medycyny są naprawdę zadziwiające. Słyszał pan, że ta nasza sklonowana dziewczynka ma podobno iloraz inteligencji Einsteina? – Fryzjer pędzlem zgarnął

resztki włosów z kołnierza klienta.

–Bujdy, panie kochany, bujdy...

Fargo zamknął oczy, poddając się zabiegom sprawnej dłoni. Pochylał głowę, kiedy mu kazano, prostował ją, ale nie dał się wciągnąć w rozmowę, mimo że fryzjer kilkakrotnie go zagadywał. Po huśtawce nastrojów, którą właśnie przeżył, nie miał ochoty na jakiegokolwiek dyskusje. Zmęczenie sprawiło, że o mało nie zasnął w miękkim fotelu. Dopiero głośnie: „dziękuję panu” zmusiło go do potrząśnięcia głową i próby sprężystego stanięcia na nogi.

–Ile jestem winien?

Fryzjer podszedł do kasy, przebiegł palcami po klawiaturze i po chwili wrócił z rachunkiem.

–Proszę bardzo.

Fargo wziął małą kartkę i zbliżył do twarzy. Spostrzegł, że cyfry rozmywają mu się w oczach. Nagle poczuł znajome mrowienie, a potem ból w skroniach.

„Chryste, mają mnie! Lotnisko! Mieli tam swój samolot. Domyślili się. Lot do najbliższego miasta albo na chybił trafił...” – myśl gonila myśl.

–Czyżbym się pomylił? – Fryzjer ponownie zerknął na rachunek. – No, zdarza się...

Chyba dodałem usługę poprzedniego klienta...

Fargo czuł, że ogarnia go panika. „Boże, co robić?” – myślał gorączkowo.

–Moja wina, naprawdę nie chciałem...

Fargo odepchnął go i rzucił się do drzwi, lecz zaraz zauważył za nimi jakieś cienie: ktoś właśnie zamierzał wejść do zakładu.

–Naprawdę przepraszam, nie musi się pan tak unosić... – Fryzjer zamarł widząc, jak klient zawraca.

Kilka kroków, głowa osłonięta zgiętym ramieniem, skok... Ogromna szyba pękła z hukiem, zaścielając chodnik odłamkami szkła. Fargo w przewrocie wyszarpnął zza paska pistolet, odbezpieczając go ruchem kciuka. Podniósł się i ruszył biegiem w stronę przystani.

–Z drogi! – krzyknął do schodzących z pomostu ludzi i skoczył na pokład jedynej łodzi z zapuszczonym silnikiem.

–Wynocha! – syknął w kierunku dwóch techników sprawdzających poziom paliwa.

Huk wystrzału i kula rozbijająca wiatrochron sprawiły, że obaj natychmiast wskoczyli do wody. Fargo w mgnieniu oka znalazł się w kokpicie ścigacza, na oślep szukając dźwigni akceleratora. Szarpnął ją, gdy tylko drżące palce natrafiły na chłodny metal. Gwałtowne przyspieszenie rzuciło go na fotel, ryk silnika zagłuszył wszystko; łódź wystartowała z maksymalną prędkością. Sto, sto dwadzieścia kilometrów na godzinę... Mało! Sprężyna pod niklowaną dźwignią musiała być bardzo mocna. Sto osiemdziesiąt, dwieście... Wiatr przenikający przez rozbitą szybę oślepiał, wyciskając łzy. Dwieście pięćdziesiąt. Potworny loskot silnika zdawał się paraliżować wszystko wokół, jedynie łódź szalała, podskakując na małych falach, rwąc się to w prawo, to w lewo. Dwieście dziewięćdziesiąt. To była walka. Walka z usiłującą wyrwać się spod kontroli maszyną. Fargo nie zauważył nawet, że zniknął ból pod czaszką. Drżąc ze strachu, z całych sił dociskał dźwignię do plastikowej osłony, usiłując jednocześnie utrzymać połączoną ze sterem kierownicę. Nie zwracał uwagi na mijany w szalonych skokach krajobraz. Nie widział, kiedy skończyło się miasto, nie widział niczego poza ciemnością psychicznego więzienia.

Dopiero gdy silnik zaczął się krztusić, Fargo, a w zasadzie uwięziony w nim komandos zwolnił uchwyt. Manetka wróciła do pozycji neutralnej. Pomalowany jaskrawo ścigacz zaczął zwalniać. Potem, ciągle ze sporą szybkością, zarył w splątaną wodną roślinność i uderzył o brzeg. Wyrwany z fotela Fargo nie miał ochoty się podnieść. Nie mogąc dać sobie rady z paniką, leżał tak, zwinięty w kłębek, i drżał cały, bojąc się nawet otworzyć oczy. Znowu wyrwał się z zasięgu telepatów. Ale na jak długo tym razem? Godzinę? Dwie? Niechby nawet dzień... Nic z tego nie wynikało. Czuł, że wytropią go znowu, znajdą gdziekolwiek by się ukrył, a wtedy... Mimo pomocy nie potrafił znaleźć naprawdę dobrego sposobu ucieczki. Postępował sztafepowo, najpierw samolot – tylko głupiec mógłby zapomnieć o radarach, nasłuchu radiowym... Namierzenie miejsca, w którym rozbil się samolot, było nie było sensacją medialną, nie nastręczyło wiele trudności nawet osobom nie posiadającym zdolności telepatycznych. A teraz łódź, rzeka... Ile potrwa wynajęcie helikoptera albo zajęcie innego ścigacza?

Niech szlag trafi wszystkie jego zdolności! Niech piekło pochłonie wszystko, czego się

nauczył! To właśnie te specyficzne umiejętności sprawiały, że telepaci mogli go bez trudu odnaleźć. Wiedział, że znajda każdego człowieka, który potrafi wykorzystać takie zdolności.

„Naprawdę pomyślałem: „który potrafi” – podniósł głowę.

Nagła myśl przemknęła mu przez głowę. Jasne! Przecież może odrzucić ten balast. Może zapomnieć o wszystkim, a wtedy znowu stanie się dla telepatów taki sam jak inni. Niewidzialny! Co z tego, że nie będzie pamiętał nawet swojego imienia? Będzie czysty! Zacznie życie od nowa. O kim mówił ten facet u fryzjera? Doktor Frederic Jastrow -specjalista od pamięci? Tak! Zmusi go. Posługując się swoją kartą kredytową lub w ostateczności pistoletem, zmusi go do wymazania pamięci.

Zerwał się i nie zważając na chłoszczące twarz mokre gałęzie, pobiegł przed siebie.

\* \* \*

Szerokie hotelowe łóżko wezglowiem nieomal dotykało olbrzymiej, zajmującej całą ścianę szyby dźwiękoszczelnego okna. Fargo oparł głowę na zaciśniętych pięściach, by móc obserwować jarzące się w mroku światła wielkiego miasta. Rzędy ulicznych latarni przypominały paciorki nanizane na sznurek. Strumienie samochodowych reflektorów tworzyły ciągle zmieniającą się mozaikę. Jasne prostokąty okien i mrugające różnokolorowe neony drwiły z jego samotności.

Przypominał sobie wszystko. Dzieciństwo, młodość, studia, historię wplątania się w aferę kontrwywiadu, lot do Afryki, potworne więzienie w ciele sparaliżowanego człowieka, paniczną ucieczkę... Przypominał sobie, jak błagał Jastrowa o wymazanie pamięci, bo tylko całkowita amnezja chroniła go przed pościgiem telepatów.

Czuł, że mimo włączonej na maksimum wentylacji, raz po raz oblewa go zimny pot na wspomnienie tamtych przeżyć. Strach? Tak, bał się, strach nie opuszczał go ani na chwilę, ale nie było to już owo paralizujące przerażenie, którego przyplwy czuł podczas ucieczki wiele lat temu. Wiedział, że wtedy, w szpitalu, gdy na sali reanimacyjnej nieświadomie wykorzystał swoje właściwości, znowu stał się „widzialny” dla telepatów. Podobnie potem, kiedy zdobywał pieniądze w banku... I podczas wizyty u Jastrowa i jeszcze później, kiedy przypominał sobie wszystko... Tak, gdyby wysłannicy Organizacji byli w mieście, już dawno mogli go wykryć. Chociaż z drugiej strony zasięg ich zmysłów nie był duży...

„Skoro nic się dotąd nie stało” – pomyślał Lynn ucinając jałowe rozważania – „musieli już dawno opuścić te okolice.”

Jeśli tak było, nie groziło mu już bezpośrednie niebezpieczeństwo – prawdopodobnie, gdyby został w tym mieście, nikt by go nie ruszył do końca, zapowiadającego się na bardzo krótkie, życia. Nie wiedział, co zrobić z pozostawionym mu czasem. W nielicznych chwilach, kiedy trawiony chorobą organizm nie odzywał się przenikliwym bólem brzucha, zastanawiał się nad wszystkimi aspektami sytuacji, w jakiej się znalazł. Co z tego, że mógł „wstrzelić się”



w dowolną osobę, która znajdowała się w zasięgu jego wzroku? Co dawał mu fakt, że wykorzystując zawarte w pamięci wzorce psychik różnych ludzi, mógł stać się lekarzem, komandosem, pilotem i cholera wie kim jeszcze? Czuł się wypluty, zdruzgotany, oszukany, wykorzystany, zawiedziony, rozgoryczony, pusty, zdezorientowany, zaszczuty... Skołatany umysł nie potrafił podsunąć więcej odpowiadających tej sytuacji przymiotników.

Powoli odwrócił się na plecy. Od dawna usiłował zasnąć, ale jedyne, co do tej pory osiągnął, to niespokojny, wypełniony koszmarami półsen. Zdawało mu się, że wcale nie śpi, ale w końcu zmęczenie wzięło górę. Po raz pierwszy od wielu lat śniło mu się, że maluje. Ogromnym pędzlem nakładał na szybę rozwodnione pastele, ciągnąc pionowe pasy rozmytą ultramaryną, zgaszoną szarością, czernią, zimnym brązem. Odbijał to potem na papierze, obserwując, jak barwy rozlewają się i przenikają, pasy tracą pion, grzęznąc w coraz szerszych, nasyconych ołowiem plamach. Barwa deszczu, ławki w parku i otoczonej szarugą latarni. Wszystko to załamało się nagle, ustępując miejsca pustym twarzom. Twarzom bez oczu, nosów i warg, ciemnym obliczom nierozpoznawalnym z daleka i rozplywającym się, ilekroć robił wszystko, żeby być bliżej nich.

Obudził się po drugiej nad ranem. Spocony, w rozchelstanej piżamie, ze sklejonymi, podpuchniętymi oczami usiadł na skraju łóżka i zapalił papierosa. Znowu obserwował piękno światła zatopionego w mroku miasta. Tysiące, setki tysięcy ludzi spało w swych domach. We wszystkich tych ukształtowanych mądrością pokoleń budynkach. Już wiedział, dlaczego chce mu się płakać. Czuł, że brak mu poczucia przynależności do reszty ludzi, że odrzucono go poza nawias z powodu choroby i tego, co przeżył, co oddzielało go nieprzeniknioną barierą od spraw powszednich. Nawet teraz, sam, zamknięty w betonowych ścianach hotelowego pokoju czuł prawie to samo, co tkwiąc w spaczonyj psychice.

Nie chciał kończyć życia w bezosobowym miejscu, nie mając przy sobie człowieka, któremu mógłby się zwierzyć albo uzyskać choć cień zrozumienia.

Zgasił papierosa w puszystym dywanie i powłókł się do łazienki. Mrużąc oczy w obronie przed nagłym zalewem światła, zaczął przeszukiwać wszystkie szafki i skrytki. Powoli dojrzewała w nim pewność, że zrobi wszystko, żeby zobaczyć Patty Neel. Przecież musiała go pamiętać. Musiała... Mogła wciąż jeszcze czuć... Bzdury! Znajdzie Raya Dewhursta. Znajdzie świat swojego dzieciństwa i królującego w nim Phila Hagenę. Przez moment, przez krótką chwilę był nawet w stanie wybaczyć człowiekowi, który skazał go na tę poniewierkę. Człowiekowi, którego nazwiska nie znał – byłemu asystentowi profesora Fulbrighta. Ale była to tylko krótka chwila.

Na szczęście dyrekcja hotelu potrafiła przewidzieć problemy swoich gości. A może poprzedni gość był na tyle roztrzepany, że nie zabrał wszystkich leków. Fargo połknął trzy pastylki nasenne z buteleczki znalezionej w szafce nad umywalką. Popił je wodą z kranu i wrócił do łóżka.

Smukły cień śmigłowca prześlizgiwał się po wierzchołkach drzew dżungli i nielicznych skałach wynurzających się ze zbitej zieleni. Stłumiony grubą wykładziną słuchawek ryk dwóch silników zmienił na chwilę natężenie, kiedy Sikorsky S-76 zmienił kurs, kierując się na kolejną, ukrytą za linią horyzontu radiolatarnię.

–Widać już drogę – powiedział Wyler. – Wygląda, jakby jej nikt nigdy nie używał. Błysk słońca w jego smolistoczarnych okularach odbił się na płaskich osłonach zegarów.

–Zaraz będziemy nad tym cholernym jeziorem. Siedzący z tyłu, za fotelami pilotów Fargo bez słowa skinął głową. Spowodowany

ciągłym hukiem i nawrotem choroby ból sprawił, że zaczął żałować decyzji o podjęciu tej wyprawy. Po raz kolejny rozważał wszystkie argumenty przeciwko poszukiwaniom wraku samolotu, który kiedyś wiozł go z Anglii. Prawdopodobieństwo, że pilot zdążył zrzucić paliwo przed katastrofą i nie wybuchł pożar, było bardzo małe. Poza tym hercules mógł rozpaść się w powietrzu, ścieląc puszcę setkami potrzaskanych fragmentów. Liczenie na to, że pilot panował nad nim do końca usiłując wylądować, było czystym nonsensem. A jednak... Może tamten czuł się odpowiedzialny za spoczywających w ładowni pięciu ludzi i posadził maszynę tak, że kadłub ocalał? Przyjmując nawet, że tak się stało, co właściwie spodziewał się znaleźć? E-book Keldysha z instrukcjami, których nie skończył czytać? Szansa, że się nie spalił, nie uszkodził od wilgoci, czy wręcz nie zniknął na zawsze w błotnistym poszyciu dżungli była raczej nikła.

Fargo wzruszył ramionami. Nie musiał się liczyć z pieniędzmi, więc wynajęcie śmigłowca z dwuosobową załogą i zakup odpowiedniego sprzętu nie miały żadnego znaczenia. Dwaj piloci, Wyler i Soucamp, wyglądali na ludzi dobrze obeznanych z różnymi ciemnymi interesami. Nie zadawali żadnych pytań, sprawnie załadowali wszystkie urządzenia, nie zastanawiając się nad ich przeznaczeniem i bez słowa przyjęli wiadomość o będącej celem lotu nie zamieszkaną puszczy. Pewne wątpliwości wzbudziła dopiero szkicowo wykreślona, okrężna trasa lotu. Zbiorniki paliwa w śmigłowcu nie zapewniały takiego zasięgu, musiał więc znaleźć miejsca, w których mogli zatankować. Fargo nie mógł im powiedzieć, że chce w ten sposób ominąć miasto, gdzie być może w dalszym ciągu Organizacja miała swą placówkę i... telepatów.

–Jest jezioro. Widzi pan? – powiedział Wyler, wyciągając rękę w kierunku lśniącej zielonoburej powierzchni.

–I co teraz? – spytał Soucamp.

–Zróbcie zwrot przy tym cyplu. – Fargo nie był w stanie przypomnieć sobie okolicy, gdzie wylądował wtedy ze spadochronem. – Potem polecimy wzdłuż linii brzegowej, na południe.

Sikorsky S-76 sprawnie położył się w skręcie.

–Niżej i wolniej.

Przytknął do oczu lornetkę, ale powiększony przez jej szkła, drgający od mimowolnych ruchów rąk obraz nie ułatwiał orientacji. Fargo przetarł oczy i przyłożył twarz do szyby.

–Wolniej – powtórzył. – Manewrujcie tak, żebym mógł jak najwięcej zobaczyć.

Śmigłowiec zataczał się to w lewo, to w prawo, kreśląc w powietrzu wymyślne esy.

–Czego pan właściwie szuka? – odezwał się Wyler po kilkunastu minutach.

–Dowiecie się we właściwym czasie.

–Moglibyśmy pomóc. – Soucamp przechylił się nad oparciem fotela. – W ten sposób, zanim cokolwiek znajdziemy, wyczerpie się paliwo.

Fargo się zastanowił. W końcu i tak się domyśla, a ich doświadczenie...

–Szukam szczątków samolotu – powiedział. – Rozbił się gdzieś tutaj.

–Dużego?

–Dosyć.

–Jak rany, niewiele nam to mówi – włączył się Wyler. – Co to była za maszyna?

Awionetka, pasażerski lear?

–C-130. Soucamp cicho gwizdnął.

–Dawno spadł?

–Dostatecznie, żeby ślady uległy zatarciu.

–Marnie to widzę – mruknął Wyler. – Dżungla rośnie szybko.

–Nie tak znów szybko – skontrolował Soucamp. – Trzeba szukać pasa młodszych drzew.

Skręć w tamtą stronę.

Odblask słońca w przedniej szybie na chwilę oślepił Fargo. Przez dłuższą chwilę mrugał powiekami, żeby pozbyć się latających przed oczami ciemnych plam.

–Skąd pewność, że nie znaleźli go wcześniej?

–Wątpię, żeby ktokolwiek go szukał. To był brytyjski samolot wojskowy w tajnej misji. Piloci wymienili spojrzenia. Śmigłowiec zmienił taktykę, wzniósł się wyżej i zwiększył szybkość. Już w niecałą minutę później Soucamp podniósł rękę.

–Tam jest wyłom. Widzisz młode drzewa?

–Po lewej też coś widzę.

–Nie, to jest za małe. – Soucamp podniósł do oczu lornetkę. – Zwykły uskok terenu.

Skręcaj w prawo.

Znowu łagodny wiraż i po chwili zawisli nad pasem zieleni, nieznacznie różniącym się kolorem od tła.

–Leć dalej, dalej.

Ryk silników co chwilę zmieniał natężenie. Wreszcie Soucamp krzyknął, chyląc się do przodu:

–Jest! Ale bydlę!

Fargo po dłuższej obserwacji dostrzegł niewyraźny kształt ukryty wśród młodych drzew. Ciężko było poznać, do jakiej maszyny należały te szczątki. Na szczęście...

–Wylądujcie gdzieś w pobliżu – powiedział.

–Niby gdzie?

–Może tam – Fargo wskazał na obszar, który zdawał się być polaną – w tym rozrzedzeniu?

–Chyba na szczudłach. Te chaszczki tylko tak niepozornie wyglądają. Naprawdę mają po kilkanaście stóp wysokości.

–A może siądziemy dalej, na brzegu jeziora? – wtrącił Wyler.

–Nie, kable nie sięgną.

–A przy tych skałkach? Soucamp z kwaśną miną studiował nierówności terenu.

–Co o tym myślisz, Wyler? Pilot wypuścił podwozie, powoli nadlatując nad wskazany punkt.

–Dobre miejsce na groby. Zmówiliście pacierze? Jakby wbrew tym słowom, ciężki, prawie czterotonowy śmigłowiec siadł na skrawku

osłoniętego terenu nadspodziewanie gładko. Nie czekając, aż silniki umilkną zupełnie, Soucamp otworzył tylne drzwi.

–Jaki mamy plan dnia? – spytał.

–Schodzimy do wraku. – Fargo niezgrabnie wyskoczył na zewnątrz. – Poradzi pan sobie z generatorem?

–Jasne! – Soucamp oparł się o ramię małego towarowego dźwigu przymocowanego do okapu kabiny. – Wyler weźmie resztę i pójdzie za panem.

Gramolący się przez przednie drzwi pilot nie miał zbyt szczęśliwej miny. Fargo skinął głową. Z niemalym trudem przymocował sobie do pleców przenośny transformator i podniósł skrzynkę z narzędziami. Wylądowali niewiele ponad sto metrów od wraku, ale nawet nie przypuszczał, że droga okaże się tak ciężka. Już po kilkunastu krokach w mrocznym, gorącym i wilgotnym dziewiczym lesie czuł, że pot płynie z niego wszystkimi porami ciała. Ciężar oporządzenia, zdawało się, wgniatał go w błotniste poszycie, nie pozwalając na przekroczenie wystających z ziemi śliskich korzeni. Sytuacja idącego z tyłu Wylera była jeszcze gorsza. Nie dość, że niósł ogromne, ważące dwadzieścia pięć kilogramów nożyce do cięcia metalu, to musiał jeszcze rozwijać dwa grube kable. Klął siarczyście przy każdym kroku, potykając się co i rusz, i zatrzymując dla znalezienia łatwiejszego przejścia. Nagle stanął jak wryty.

–Hej, tam ktoś jest!

–Gdzie? – Fargo odruchowo rzucił skrzynkę. Zanim dotknęła podłoża, wiedział już, że nie ma powodu do niepokoju. Tuż przed nim, tak blisko, że nie mógł zrozumieć, dlaczego nie zauważył go wcześniej, leżał pod drzewem trup wciąż przypasany do fotela. Pnącza

zwieszające się z gałęzi dotykały okrytej hełmem, patrzącej gdzieś w dół pustymi oczodołami czaszki. „To pilot” – pomyślał wyciągając z kieszeni nóż. – „Który?” Nie pamiętał już nawet ich imion. Przeszukał pamięć i włączył wzorzec lekarza. Nie bez trudu rozciął zmurszały kombinezon. Długo oglądał kości szkieletu. Fotel wyrwał się z zamocowania w momencie uderzenia, kiedy rozsypywała się kabina. Żadnych złamań, zapewne tylko obrażenia wewnętrzne, takie przeciążenie musi zabić. Czy żył jeszcze po lądowaniu? Czy leżał krwawiąc z pourywanych bebechów, nie mogąc się ruszyć, i liczył mijające minuty i godziny? A może wzywał pomocy?

–Jak zginął? – Wyler był wyraźnie zaciekawiony.

–Nieważne. – Odwrócił się. Teraz już dostrzegł zgniecioną niczym pudełko zapalekabinę. Dopiero widok pogiętej blachy wplątanego w zwalone pnie i giętkie liany kadłuba skierowały jego uwagę na inne tory. Złożył na ziemi niesiony sprzęt i zwrócił się do Wylera:

–Zostaw te graty i powiedz swojemu przyjacielowi, żeby podłączył energię.

–Potem wrócić do pana? – Wyler był zadowolony, że może pozbyć się gniotącego ciężaru.

–Nie, poradzę sobie sam.

Przez chwilę patrzył na plecy oddalającego się człowieka, potem przeniósł wzrok na zaszytą w bujnej roślinności konstrukcję. Głęboki rów, który wyrwał w ziemi kadłub lądującego transportowca zdążył się już wypełnić błotem porośłym młodymi drzewami. Pnie, stłoczone po obu stronach, w znacznym stopniu utrudniały dostęp. Ruszył wzdłuż lewego boku maszyny, z trudem torując sobie drogę przez rumowisko. Dopiero teraz mógł ocenić stan dziobu. Niestety, zmiażdżona, częściowo wprasowana w ziemię kabina pilotów rozwiała wszelkie nadzieje na dostanie się do środka przez otwór po odstrzelonym luku awaryjnym. Fargo wrócił do punktu wyjścia, z pewnym trudem podniósł ciężkie, służące do ratowania ofiar katastrof lotniczych nożyce i podłączył do nich dwa grube kable. Nikły błysk zielonej kontrolki upewnił go, że piloci uruchomili już wszystkie urządzenia. Raniąc nogi o wystające konary, zbliżył się do kadłuba, tuż nad wypukłą osłoną podwozia głównego, tam, gdzie dural poszycia wyglądał na najbardziej osłabiony. Sapiąc z wysiłku, wepchnął jedno ramię nożyc do niewielkiej szczeliny, mocno ujął uchwyty, szukając równocześnie stopami pewnego oparcia na podporze z oślizgłych pni. Przycisnął oznaczony czerwonym kolorem wyzwalacz. Siła przecinająca wynosiła 44,13 kN, co w przybliżeniu równało się naciskowi czterech i pół tony – grube poszycie poddawało się równie łatwo jak papier. Przesunął nożyce i znowu wykonał cięcie. Powoli poszerzał otwór, w parnej atmosferze zalewając się potem od manewrowania ciężkim narzędziem. Jeszcze kilka wyczerpujących siły cięć i spory kawał konstrukcji zapadł się w głąb. Droga była wolna, ale zmęczenie nie pozwoliło mu skorzystać z niej od razu. Po kilku minutach i papierosie wypalonym na roztrzaskanym skrzydle zdecydował się precyzyjnie do środka. Kłął, że nie pomyślał o zabraniu latarki. Mrok wewnątrz ładowni ledwie rozjaśniało światło wpadające przez wycięty otwór i kilka

pomniejszych szczelin. Musiał odczekać dłuższą chwilę, zanim oczy przywykły do panujących warunków, ale nawet teraz orientacja wśród wciąż przymocowanych do podłogi palet była trudna. Powoli, prawie po omacku rozróżnił pięć przypominających trumny skrzyń. Lekki dreszcz przebiegł mu przez plecy. Wiedział, co zawierają – trzech techników i dwóch przydzielonych mu ludzi ochrony. Kiedyś pogrążeni w letargu, teraz zapewne martwi, leżeli tak, jak zapakowali ich lekarze przed startem.

Miał ruszyć dalej, kiedy oczy zarejestrowały jakiś ruch. Nerwowo przełknął ślinę. Czyżby dostały się tu węże albo, co gorsza, pająki czy inne jadowite robactwo? Do jego uszu nie dochodził żaden dźwięk. Drgnął, kiedy coś błysnęło pod przeciwległą ścianą. Ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony, zrobił kilka kroków. Kolejny, słabutki błysk. Jeszcze kilka kroków i znowu... Dotknął masywnej obudowy urządzenia. To dioda, to były błyski zakurzonej, ale wciąż świecącej diody! Chryste, przetrwalniki nadal miały energię! Po raz drugi w tym dniu gorączkowo przeszukiwał zawartość umysłu.

Nie znalazł nikogo o interesującej go specjalności – zmuszony był wybrać inżyniera elektryka. Szybko włączył jego wzorzec i zaczął sprawdzać połączenia. Urządzenie ze świecą diodą było, jak się domyślał, jednostką centralną układu podtrzymywania życia. Tuż za nią znajdowały się zespoły niezależnych akumulatorów – charakterystyczny symbol ostrzegający przed radiacją tłumaczył ich żywotność – i łącza ciągnące się do każdej z pięciu trumien. „Cholera” – zaklął, zdejmując obudowę chroniącą wyświetlacz komputera – „ci ludzie umierali całymi latami.” Nie miał pojęcia, czy można coś śnić, będąc w letargu – nie wiedział, czy można przespać własną śmierć.

Klawiatura nie reagowała na dotyk – podczas katastrofy część łączy musiała ulec zniszczeniu. Wybiegł na zewnątrz, rozrywając rękaw o nierówne brzegi wyciętego otworu. Odłączył kabel elektrycznych nożyc i wciągnął go do środka komory bombowej. Usiłował podłączyć go do sprzętu w samolocie, ale jedynym rezultatem był głośny trzask i snop iskier. Zwarcie. Powoli, żeby nie uderzyć w żaden z wystających fragmentów konstrukcji, wniósł własny, przenośny akumulator i skrzynkę z narzędziami. Prowadzone przez wzorzec inżyniera ręce sprawnie cięły kable, by po chwili połączyć nimi wyjście transformatora z zasilaczami jednostki sterującej. Ekran ożył w jednej chwili, ale zmieniające się na nim symbole mówiły mu tyle samo co chińskie ideogramy. Sprawdził program otwierający. Na szczęście nie był zahasłowany. Drżącymi z niecierpliwości palcami wybrał opcję STATUS. Wyświetlacz zmatowiał na moment, ale zaraz pojawiła się kolumna możliwych do zadania pytań.

Wybrał to najważniejsze:

**STAN HIBERNATORA NUMER  
JEDEN?**

Odpowiedź była błyskawiczna:

**BRAK FUNKCJI ŻYCIOWYCH.**

Boże, co za idiotyczne określenie.

**100**

**STAN HIBERNATORA NUMER DWA?**

**BRAK FUNKCJI ŻYCIOWYCH.**

Powtórzył tekst, pytając o trzeci pojemnik. Zdawało się, że identycznie brzmiąca odpowiedź nie pojawia się na ekranie, ale trwa na nim cały czas. Żaden z techników nie wykazywał śladów życia. Czego innego mógł się spodziewać?

**STAN HIBERNATORA NUMER CZTERY?**

Odpowiedź zaskoczyła go.

**PROCEDURA SPECJALNA. DYSFUNKCJE – 74%. USZKODZENIE POWŁOKI.**

Dopiero teraz zauważył wgniecenie z boku skrzyni. Dysfunkcje? Co to ma znaczyć? Przecież ten człowiek nie mógł żyć.

**MOŻLIWOŚĆ PRZYWRÓCENIA FUNKCJI ŻYCIOWYCH?**

**ZERO – ZERO.**

Spocone palce ślizgały się po klawiszach.

**STAN HIBERNATORA NUMER PIĘĆ?**

**DYSFUNKCJE – 16%**

Boże! Zakrztusił się śliną.

**MOŻLIWOŚĆ PRZYWRÓCENIA FUNKCJI ŻYCIOWYCH?**

**ZERO – SIEDEM. DYSFUNKCJE W GRANICACH 3% – WARTOŚĆ STAŁA**

Tysiące pytań przebiegało mu przez głowę.

**CZY ZABIEG W WARUNKACH SZPITALNYCH ZWIĘKSZYŁBY SZANSE?**

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

**BRAK DANYCH**

Pod napisem pojawiło się kilka opcji:

**ODŁĄCZYĆ OBIEKT**

**KONTYNUOWAĆ PODTRZYMANIE FUNKCJI ŻYCIOWYCH**

**ROZPOCZĄĆ PROCEDURĘ WYBUDZENIA**

Wytarł pot zalewający oczy. Po kilku sekundach wahania wybrał ostatnią procedurę.

Na ekranie przesuwaly się kolumny cyfr. Fargo zastanawiał się, co może zrobić. Pobiec po Wylera i Soucampa? Bzdura, co oni mogą pomóc? Zatrzymać wszystko i sprowadzić fachowca? Skąd? Kto mógł się na tym znać? Poczul, że odruchowo zaciska zęby. Nagły błysk czerwonej lampki poderwał go na nogi.

**AWARIA – SIŁOWNIKI POKRYWY – OTWORZYĆ ZATRZASKI RĘCZNIE.**

Nachylił się nad wiekiem hibernatora. W ciemności dłuższą chwilę głowił się nad skomplikowanymi zamkami, potem wziął dłuto i młotek i odbił je czterema silnymi uderzeniami. Drżącymi rękami zdjął hermetyczną pokrywę, słysząc syk wydobywającego się gazu. Człowiek

w środku wydawał się martwy. Fałdy na cienkim jednoczęściowym kombinezonie nie wykazywały żadnego ruchu klatki piersiowej. O ile mógł się zorientować w mroku, twarz leżącego wydawała się dziwna, jakby czymś zmieniona. Drgnął gwałtownie,



kiedy tamten otworzył oczy i spazmatycznie wciągnął powietrze.

–Hej, słyszysz mnie? – nachylił się niżej. – Leż spokojnie! Nic nie rób! Pamiętaj, nie podejmuj żadnego wysiłku. Zaraz sprowadzę pomoc.

Rozejrzał się wokół klnąc, że nie pomyślał o zabraniu komunikatora.

–Nie bój się, wszystko będzie dobrze! Sprowadzę pomoc i przeniesiemy cię do śmigłowca. Już niedługo będziesz w szpitalu, słyszysz? – usiłował nadać swojemu głosowi brzmienie, które budziłoby otuchę. – Zaraz sprowadzę pomoc, leż tutaj. Jeśli rozumiesz, co mówię, spróbuj przymknąć oczy. Słyszysz mnie?

–Słyszę – odpowiedział tamten zupełnie wyraźnie.

Fargo opadł na wieko najbliższej trumny. Zdawało mu się, że śni. To... to przecież było niemożliwe. Człowiek po tylu latach pograżenia w letargu nie mógł po prostu wstać jak po zwykłym zabiegu. Nie, to niemożliwe.

–Jak... – musiał przełknąć ślinę. – Jak się czujesz?

–Znośnie – głos tamtego był cichy i bardzo zachrypnięty. Dopiero teraz skojarzył sobie, co uderzyło go w wyglądzie twarzy mężczyzny. Przecież przez tyle lat musiały mu urosnąć włosy, wąsy, broda... Tymczasem czaszka była łysa. Żadnego śladu zarostu.

–Sprawy nie idą dobrze, prawda? – Tamten poruszył głową. Fargo poderwał się zaskoczony.

–Skąd wiesz? – wyrwało mu się bezwiednie.

–To pomieszczenie nie przypomina wnętrza ambulatorium – zrobił dłuższą przerwę. – Pokazano mi zdjęcie osoby, którą mam chronić. Trochę się różnisz od tej fotografii.

–Upłynęło... – nie wiedział, jak to powiedzieć – upłynęło trochę czasu.

–Wyglądasz na wykończonego.

–Jestem chory. Zaraz, zaraz. – Fargo się zreflektował. – I ty to mówisz?

–Ze mną wszystko w porządku – jakby na potwierdzenie swych słów mężczyzna uniósł się na łokciach.

–Pomóc ci?

–Nie.

Usiadł, podpierając się rękami, zrywając przy okazji zwoje przymocowanych do ciała kabli.

–Jestem Ken Siena – powiedział ochryple. – Fajnie, że zadałeś sobie trud uwolnienia mnie z tego pudła.

Rozejrzał się po wnętrzu komory bombowej.

–Ja również się cieszę. Może wreszcie ktoś mi powie, co mam robić.

–Nie licz na to – odpowiedź była natychmiastowa.

–Co?

–Mam cię tylko ochraniać. Podejmowanie decyzji nie należy do mnie.

Fargo zagryzł wargi.

–Czy... czy ty naprawdę jesteś nieprzenikalny dla telepatów?

–Tak sądzi Keldysh. – Siena powoli odczepiał końcówki przewodów od ciała. – Ale nie tyle chodzi tu o telepatów, ile o ludzi o właściwościach takich jak twoje – podniósł głowę. – We mnie nie można się „wstrzelić”.

Fargo wyjął z kieszeni wymiętą paczkę.

–Palisz?

–Nie. Włożył do ust papierosa, lecz zamiast go zapalić bawił się zapalniczką.

–Chcesz usłyszeć, co się stało?

–Mów. Zbliżył nikły gazowy płomień do końcówki papierosa, wydmuchnął dym. Z początku starał się mówić bardzo oględnie, potem jednak opowieść wciągnęła go na nowo w wir przeszłych zdarzeń, zaczął mnożyć szczegóły, opisywać emocje.

Siena ani razu nie okazał zdziwienia. Jedyłą reakcją na koniec opowieści było sztywne skinienie głową.

–Nie licz na to, że pomogę ci podjąć decyzję – powtórzył.

Fargo uśmiechnął się smutno. Zdał sobie sprawę, że wcale tego nie chciał. Decyzja została podjęta.

–Muszę wrócić do Anglii. Tamten znowu skinął głową.

–Nie boisz się telepatów? – spytał.

–Boję się. Milczenie przedłużało się nieznośnie.

–To postanowienie ma chyba niewiele wspólnego z MI5, prawda? – odezwał się wreszcie Siena.

–Tak. Barczysta, jakby kanciasta sylwetka uniosła się ciężko.

–Idziemy?

–Jesteś pewny, że dasz radę?

–Jestem. Siena schylił się nad prostopadłościanem jednostki centralnej. Ze skrytki z boku wyciągnął niewielką metalową walizkę.

–Co to?

–Broń, lewe papiery dla całej grupy, pieniądze. Prowadź. Fargo precyzyjnie przesunął się przez otwór. Gęste sklepienie zbitej roślinności przepuszczało

niewiele światła, ale w porównaniu z wnętrzem ładowni było tu bardzo jasno. Odwrócił się, nabierając oddechu, ale głos uwiązał mu w gardle. Drgnął. Jasny szlag! Teraz wiedział,

dlatego tamten człowiek wydawał mu się zmieniony. Jego twarz pokrywały głębokie, nie zagojone blizny. Wąska kreska pozbawionych warg ust nosiła wyraźne ślady zszywania. Brak rzęs i brwi podkreślał szpary opuchniętych, czerwonych powiek ukrywających jasne, wodniste oczy. Całkowicie łysą czaszkę pokrywały płyty przeszczepionej skóry. Niektóre przeszczepy przyjęły się za pierwszym razem, inne najprawdopodobniej musiano powtarzać wielokrotnie. Efektem była nierównomiernie naciągnięta skóra twarzy, której poszczególne fragmenty wyraźnie różniły się odcieniami. Chirurg plastik odpowiedzialny za to powinien pójść do więzienia. Fargo spojrział w dół. Ten człowiek musiał się palić, musiano wyciągnąć go z morza płomieni w ostatniej chwili. Skóra dłoni, też w bliznach, przy każdym palcu nosiła ślady pokrycia

**jakimś tworzywem.**

**Lynn opanował się po dłuższej chwili, ale Siena zdążył pochwycić jego spojrzenie.**

**–Masz jakieś lusterko?**

**–Nie, nie mam.**

**–Nie wyglupiaj się. Fargo, ociągając się podał mu małe, kieszonkowe lusterko. Siena przyjrzał się swojemu odbiciu.**

**–Pobył w tej trumnie trochę mnie zdefasonował – powiedział beznamietnie. Mówił to tak, jakby chciał oznajmić, że lekko zadrapano mu czoło. – Ujawniły się wszystkie stare blizny.**

**–Wiesz, medycyna robi ogromne postępy ostatnimi laty...**

**–Co ty nie powiesz, poprawią mnie w ciągu najbliższej godziny? Cokolwiek by mówić, będę się wyróżniał w tłumie jak cholera.**

**–To źle? – Fargo ciągle nie mógł oderwać od niego wzroku.**

**–Widziałeś kiedyś ochroniarza, który zwraca na siebie powszechną uwagę?**

**–Nie.**

**–Właśnie. Idziemy? Fargo skinął głową i ruszył w kierunku śmigłowca.**

**–Skoro mamy lewe dokumenty – powiedział – możemy lecieć bezpośrednio do Londynu.**

**–Nie – wyraz twarzy Sieny pozostawał niezmienny. – Polecimy okrężną drogą.**

**Niezależnymi liniami, mało ciekawymi połączeniami.**

**–Dlaczego?**

**–Z powodu kontroli. Na wielkich lotniskach jest zbyt silna.**

**–Mogą się zorientować, że dokumenty są fałszywe?**

**–Dokumenty są dobre. Trudno było się od niego czegoś dowiedzieć. Fargo obserwował spod oka niską kanciastą**

**sylwetkę. Ciągle odkrywał nowe, dziwne szczegóły. Na przykład ręce – Siena nie machał nimi w marszu. Zdawałoby się – głupia rzecz, a jednak było w tym coś niesamowitego. W porządku, w lewej niósł walizkę, ale prawa? Nie, żeby zwisała bezwładnie – wprost przeciwnie, trwała przy szwie lekkiego kombinezonu jak przywiązana. Albo oczy. Miał**

wrażenie, że były nieruchome – jeśli pojawiała się potrzeba spojrzenia w bok, Siena odwracał głowę. Tego człowieka każdy reżyser filmu grozy przyjąłby bez chwili wahania. Zaoszczędziłby specjalistom od charakteryzacji całych tygodni pracy.

–Już dochodzimy – powiedział Fargo, żeby przerwać ciszę.

Istotnie, po kilkunastu krokach wyszli z wilgotnej atmosfery zarośli na suchszy teren wokół niskich skałek. Wyler i Soucamp podnieśli się na ich widok. Wbrew temu, czego można było oczekiwać, nie zdziwił ich fakt pojawienia się Sieny, zainteresowanie wzbudziła jedynie niesiona przez niego walizka. Ich spojrzenia ogniskowały się na metalicznym prostopadłościanie.

–Pański wspólnik pilnował łupu. – Wyler przeniósł wzrok na Sienę, na twarzy którego nie drgnął żaden mięsień. – Pan przywiózł narzędzia i wszystko jest wasze.

–O co chodzi? – Fargo zatrzymał się przy wejściu do śmigłowca.

–Co tam macie? – Soucamp również zbliżył się do nich. – Narkotyki? Złoto? Tajne dokumenty na sprzedaż?

–Nie wasza sprawa.

–A gdyby... – wargi Wylera wydęły się, nadając mu zabawny, nie pasujący do sytuacji wyraz twarzy. – Gdybyśmy tak, niby przypadkiem, musieli wylądować na terenie komendy policji, to co by było?

–Czego chcecie?

–Przecież nie jesteśmy dziećmi – pilot mówił teraz powoli, akcentując każde słowo – połowa dla nas.

–Połowa czego?

–Zawartości tej skrzynki.

–Tam nie ma niczego, co mogłoby was interesować.

–Doprawdy?

–Doprawdy.

–To może ją otworzycie?

–Już powiedziałem...

–No to lecimy na policję – wtrącił Soucamp ze złym błyskiem w oku – chociaż nie chcemy tego ani my, ani wy – powoli podszedł do Sieny.

–Otóż to. – Wyler włożył ręce do kieszeni. – Nie chcecie dać połowy, trudno – niespodziewanym ruchem wyszarpnął rewolwer o krótkiej lufie. – Dacie wszystko!

Zanim Fargo zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, Siena zdzielił Soucampa w żebra kantem dłoni i zasłonił się obezwładnionym jak żywą tarczą. Niesamowitym, tygrysim skokiem runął w stronę Wylera. Zaskoczony pilot nie odważył się strzelić w plecy wspólnika, a już sekundę później pistolet poszybował w trawę wypadając z wykręconej pod niesamowitym kątem dłoni.

–Puść! – jęknął Wyler.

Siena rozluźnił chwyt. Ręka mężczyzny opadła bezwładnie. Fargo domyślił się, że pilot ma połamane kości. Obok leżał Soucamp, który bezgłośnie jak ryba otwierał i zamykał usta, usiłując zaczerpnąć tchu.

–Obawiam się, że nie możemy przyjąć waszej propozycji – oznajmił ochroniarz i wstawił walizkę do kabiny śmigłowca. – Dziękujemy jednak za pożyczenie maszyny.

–Jasny szlag! – Lynn nerwowo przełknął ślinę, gdy startowali zostawiając obolałych i zaskoczonych pilotów w samym sercu dżungli. – Jasny szlag...

\* \* \*

Silnik kupionego w niewielkim wiejskim salonie kilkunastoletniego vauxhalla zaskoczył dopiero za drugim razem. Fargo wrzucił bieg i ruszył powoli, zjeżdżając na jezdnię z wąskiego podjazdu przed pensjonatem. Ze względu na możliwość przypadkowego wykrycia przez telepatów zamieszkali na odległych przedmieściach, w wielkim wiktoriańskim domu prowadzonym przez młodą kobietę. Droga z Afryki zabrała im ponad tydzień. Krótkie przeloty na wewnętrznych trasach, przejazdy przez kolejne granice przypadkowymi samochodami i wreszcie prom, który zabrał ich do Cardiff sprawiły, że zmarnowali tyle czasu na drogę, którą rejsowy samolot pokonałby w ciągu kilkunastu godzin. Lynn nie potrafił skłonić Sieny, aby wyjawiał powód takiego wariantu podróży. Jeśli bał się skrupulatnej kontroli na wielkich lotniskach, wystarczyło pozbyć się broni i zdobyć ją już na terenie Wielkiej Brytanii. Byliby wtedy zupełnie czyści. Siena jednak trwał w swym uporze. W ogóle był dziwnym człowiekiem. Potrafił na przykład całymi godzinami leżeć bez ruchu, patrząc bezmyślnie w sufit, potrafił też budzić się ni stąd, ni zowąd pośrodku nocy i zamierać w jakiejś przedziwnej pozycji, nasłuchując. Fargo nie miał pojęcia, czym kierował się wywiad, przydzielając mu do ochrony takiego człowieka. Musiał zostawiać go w pensjonacie, bo jego wygląd budził powszechne zainteresowanie. Wzruszył ramionami. Gęstniejący wraz ze zbliżaniem się do centrum ruch zmuszał go do poświęcenia większej uwagi prowadzeniu samochodu. Centrum miasta... Dyskretnie dotknął prawej kieszeni. Tkwił tam mały rewolwer, który dostał od Sieny, i fiolka ze środkiem przeciwbólowym. Miał nadzieję, że decyzja, którą podjął, okaże się słuszną, że nie zawaha się w ostatniej chwili. Uśmiechnął się lekkim skrzywieniem warg. Z tą sprawą nie powinien mieć kłopotów. Jeśli przypadkiem znajdzie się w zasięgu telepatów, kiedy poczuje w głowie narastający ból, po prostu włoży lufę do ust i... Miał nadzieję, że spowodowana narastaniem choroby determinacja pomoże mu w decydującej chwili. Nie mógł się już obejść bez środków przeciwbólowych, wiedział więc, że nie zostało mu dużo czasu. Musiał przedtem poukładać swoje sprawy, musiał osiągnąć swój mały, prywatny cel, z powodu którego tu wrócił.

Ponure rozmyślenia przerwała konieczność znalezienia odpowiedniego miejsca do parkowania. Znużony manewrowaniem, zdecydował się wreszcie wjechać na pustawy

parking przed dobrze mu znanym ogromnym budynkiem, choć niechętnie zostawił samochód tak blisko uczelni. Kilka chwil potem, gdy szybkim krokiem zmierzał do głównego wejścia, po raz drugi uśmiechnął się z sarkazmem. Chcąc nie chcąc, utrwały się w nim odruchy agenta tajnych służb.

Pomalowane inną, niż pamiętał, farbą korytarze nie wywarły na nim takiego wrażenia, jakiego spodziewał się wcześniej. Obcy ludzie, których mijał, nowy wystrój kilku sal, do których zajrzał przez uchylone drzwi, sprawiły, iż pogodził się z myślą, że nic już go nie łączy z tym budynkiem. Miało to swój plus – bez wahania pchnął skrzydło ogromnych, ciężkich drzwi dziekanatu. Wiedział z wcześniejszej rozmowy telefonicznej, że panna Muriel, którą pamiętał, od dawna już tu nie pracuje, nie zdziwił go więc rzucający się w oczy bałagan, do którego tamta nigdy by nie dopuściła.

Omijając grupkę tłoczących się przy ladzie studentów, podszedł wprost do siedzącej we wnęce sekretarki.

–Jestem Lynn Fargo – uklonił się sztywno. – Przedwczoraj...

–Tak, pamiętam pański telefon – wpadła mu w słowo. – Niestety, ustalenie aktualnych adresów byłych studentów z pańskiego roku jest dość trudne.

–Rozumiem, oczywiście – zastanawiał się, czy pomogłaby łapówka.

–Na szczęście profesor Maddox chce w przyszłym roku zorganizować spotkanie absolwentów i zdobył trochę informacji.

–Czy mogłaby mnie pani do niego skierować? – wsunął rękę do kieszeni, czując pod palcami gruby zwitek banknotów.

–Przepisałam od niego wszystkie nazwiska. Niestety, jest tam tylko kilka adresów.

Fargo cofnął rękę, pozostawiając pieniądze w kieszeni. Sekretarka była osobą uczynną, a tacy ludzie z reguły pozostają biedni.

–To bardzo miło z pani strony. Czy mógłbym je zobaczyć?

–Oczywiście, to lista dla pana – podała mu złożoną kartkę. – Gdyby chciał pan więcej nazwisk, to za jakiś miesiąc, dwa proszę się zgłosić do profesora Maddoxa. Zapisać panu numer gabinetu?

Szybko przebiegł oczami linijki maszynowego pisma. Patty Neel i Ray Dewhurst figurowali obok siebie – obydwójce mieszkali w Londynie.

–Nie, dziękuję. Ta lista w zupełności mi wystarczy – uklonił się znowu. – Dziękuję.

Bardzo mi pani pomogła.

–Drobiazg.

Uśmiechnął się raz jeszcze, ruszając do wyjścia. Sprawę przyjaciół ze studiów mógł zacząć od zaraz. Czuł zadowolenie, że zdobycie najważniejszych adresów poszło tak łatwo. Pogwizdując cicho, wsiadł do samochodu i ruszył w drogę powrotną. Zastanawiał się, czy istnieje jakakolwiek szansa odnalezienia Philipa Hageny. Po śmierci rodziców była to jedyna postać łącząca go ze światem dzieciństwa. Światem, który odepchnął go i dokąd powrót był

jedynym celem, na jaki pozwalał mu kurczący się rozpaczliwie czas. Spotkanie absolwentów – przypomniał sobie słowa sekretarki. Wzruszył ramionami. Choćby nawet bardzo chciał uczestniczyć, przyszłoroczna uroczystość odbędzie się bez niego. Pomijając oczywiście fakt, że nie był absolwentem tej uczelni.

Zatrzymał się na czerwonym świetle, odruchowo sięgając do skrytki po papierosy. Nagle jego ręka zastygła w bezruchu. Twarz kierowcy z samochodu czekającego na pasie obok była mu znajoma. To Harold Clancy! Szybko odwrócił głowę, żeby nie ściągnąć wzroku tamtego. Harold Clancy... Człowiek, który towarzyszył Keldyshowi podczas spotkania w muzeum Tysona – pracownik MI5. Co on mógł robić w luksusowej limuzynie w środku Londynu? Zwłaszcza że komórka Keldysha została rozpracowana... A może to on zdradził wszystko asystentowi profesora Fulbrighta?

Ryk kilkunastu klaksonów odpowiedział mu, że znowu palą się zielone światła. Ruszył powoli, zmieniając położenie na jezdni tak, żeby kilka samochodów dzieliło go od limuzyny Clancy'ego. Po chwili, kiedy wjechali na mniej ruchliwą ulicę, zwolnił, dając się wyprzedzić kilku maszynom, potem przyspieszył ponownie, starając się utrzymać dzielący ich dystans. Tamten jechał równo, co bardzo ułatwiało śledzenie. Z umiarkowaną szybkością wydostali się z centrum, by po dłuższym czasie dotrzeć do jednej z luksusowych dzielnic na obrzeżu miasta.

Fargo musiał zwolnić po raz kolejny, kiedy znaleźli się na wąskiej, otoczonej okazałymi rezydencjami ulicy. Potem, kiedy Clancy skręcił na wysypany żwirem podjazd, zatrzymał się. Obserwowany samochód zniknął w przydomowym garażu. Drzwi wjazdowe opadły, Fargo zaś ruszył na pierwszym biegu, uważnie obserwując dom. Był stanowczo zbyt kosztowny jak na miejsce zamieszkania nawet najlepszego funkcjonariusza wywiadu. Czyżby Clancy awansował? To raczej wątpliwe. Bardziej prawdopodobna wydawała się zdrada.

Odwracał głowę, kiedy jego uwagę przykuł jeszcze jeden szczegół: nieznany mężczyzna, który wyszedł bocznym wyjściem i zabezpieczał wjazdową furtę. Charakterystyczna deformacja lewej strony marynarki świadczyła o tym, że nosi pod pachą kaburę z pistoletem.

\* \* \*

Ken Siena siedział zanurzony w głębokim fotelu i jak zwykle, bez jednego mrugnięcia okiem, wpatrywał się w punkt u styku ściany i sufitu. Fargo bezszelestnie domknął drzwi i na palcach wycofał się do swojego pokoju na końcu korytarza. Plan, który od paru godzin kształtował się w jego głowie, nie przewidywał wykorzystania Sieny. Nie dlatego, że mu nie ufał. W tym człowieku tkwiło coś tak niesamowitego, że Fargo, choć ukrywał to skrzętnie przed sobą, po prostu bał się przebywać w jego towarzystwie. W tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia – problem, jak pokonać strażnika w domu Harolda Clancy'ego, był już rozwiązany.

Szarpiąc wysłużony dywan, przysunął do okna fotel i rozsiadł się w nim, sprawdzając, czy nie sfaldowała się gdzieś koszula. Nie chciał mieć później odcisków na plecach od przebywania zbyt długo w tej samej pozycji na nierównym podłożu. Powoli uspokajał nerwy, patrząc jednocześnie przez okno w poszukiwaniu odpowiedniego człowieka. Wreszcie skupił wzrok na idącym po drugiej stronie ulicy młodym mężczyźnie.

Nagła ciemność i uczucie spadania z potworną prędkością towarzyszące „wstrzeliwaniu się” w inną osobę nie były już tak szokujące jak na początku. Już jako inny człowiek spojrzał do góry na elewację pensjonatu. Twarz jego nieruchomego ciała majaczyła ledwie widoczna w ciemności. Odwrócił głowę i ruszył szybko przed siebie w poszukiwaniu taksówki. Niestety, przez kilka minut nie udało mu się trafić na żadną wolną. Rozzłoszczony, stanął przy skrzyżowaniu i kiedy tylko nadarzyła się okazja, „wstrzelił się” w starszego taksówkarza prowadzącego zajęty wóz. Siedząc już na przednim siedzeniu czarnego samochodu, szarpnął dźwignię biegów, wysprzęglając ze zgrzytem. Zwolnił, zjeżdżając z jezdni.

–Niestety, mam awarię – odwrócił się do kobiety za szybą. – Muszę zjechać do warsztatu.

–Jak to? Dlaczego?

–Nie wiem, dlaczego. Nikt nie wie, czemu silniki czasem się psują.

–Ale ja się bardzo spieszę.

–Przykro mi. Nie płaci pani za kurs. Zaczekał, aż wysiądzie, i nie zwracając uwagi na gromy ciskane przez oczy bylejk

pasażerki, ostro ruszył do przodu. Nie pamiętał, gdzie w tej części Londynu jest klub sportowy, stracił więc dużo czasu na manewrowaniu po obwarowanych wielorakimi zakazami ulicach. Zaparkował wreszcie kilkadziesiąt metrów przed wejściem do hali sportowej i zadowolony wyskoczył na zewnątrz.

Portier stojący za drzwiami z dymnego szkła niechętnie podniósł głowę.

–Tak?

–Przepraszam, gdzie tu jest sekcja kobieca?

–Tam, na prawo i korytarzem do końca. Ale wstęp do szatni jest zabroniony.

–No, wie pań! Mam wiadomość dla... – Fargo w ostatniej chwili przypomniał sobie, że ma ciało starego taksówkarza -...dla córki.

Tamten tylko wzruszył ramionami, nie racząc nawet spojrzeć za oddalającą się sylwetką. Droga była wyraźnie oznakowana, a drzwi do sali ćwiczeń na szczęście uchylone tak, że nie musiał wchodzić do środka. Przez szparę długo się przyglądał ćwiczącym kobietom. Wreszcie wybrał ładną dziewczynę o długich brązowych włosach, która zdawała się być odpowiednio silna. Liczył na sprawność jej mięśni.

Powoli wycofał się do zaparkowanego nieopodal wejścia samochodu. Przygotowując się na długie czekanie, przeszukał skrytkę przy kierownicy i wszystkie możliwe schowki w taksówce. Nigdzie nie znalazł ani papierosów, ani zapalek. Kupując camele w pobliskiej trafice, uśmiechnął się na myśl, że oto zyskał dowód, iż palenie jest w większej części formą



przyzwyczajenia psychicznego niż funkcją somatyczną. Siedząc w otwartych drzwiach czarnego samochodu, zdążył wypalić aż pięć, zanim wybrana przez niego dziewczyna pojawiła się w drzwiach hali sportowej. Była sama, co znacznie ułatwiało zadanie. „Wstrzelił się” w nią bez żadnych trudności i stojąc przed wejściem, zastanawiał się, który wzorzec okaże się lepszy. W swoim umyśle miał kilka psychik różnych kobiet. Po namyśle włączył wzorzec tancerki baletu w Leeds o dźwięcznym imieniu Phyllis. Czuł, że ona właśnie ma największe szanse na wykonanie zadania.

W nowo nabytym odruchu podniósł głowę, strząsając z czoła pukle kasztanowych włosów. Szybko podszedł do wyraźnie zszokowanego starego taksówkarza.

–Pan wolny?

–Ja... ja się źle czuję... – Spoglądał wokół nieprzytomnym wzrokiem. – Proszę pani, przed chwilą wydawało mi się, że wiozę pasażerkę w zupełnie innej części miasta, a potem ocknąłem się tutaj, z paczką papierosów w ręce, niesmakiem w ustach i niedopalkami wokół. Ja... chyba zwariowałem.

–Ależ skąd, mojej ciotce zdarza się to średnio raz na miesiąc. Naprawdę nic groźnego.

–Ale...

–To wszystko z nadmiernego zastanawiania się nad sobą. Trzeba nie myśleć i wziąć się do pracy. – Otworzył tylne drzwi. – Mam dla pana długi, dobrze płatny kurs. Jedziemy?

–Proszę... – niezbyt przekonany i ciągle oszołomiony kierowca niechętnie zajął przedni fotel. Przez cały czas patrzył na trzymane w ręce papierosy. – Gdzie jedziemy? – odwrócił wreszcie głowę.

–Najpierw do bankomatu. – Fargo podał adres, przywołując na twarz najmiłszy uśmiech Phyllis.

Przejrzał się w znalezionym w torebce dziewczyny lusterku. W porządku. Czuł, że wybrał dobrze. Co prawda luźny sportowy dres, który miał na sobie, niezbyt pasował do tego, co chciał zrobić, ale nie stanowiło to żadnego problemu. Wydawało mu się, że zdołał przewidzieć wszystko. Krok po kroku, od początku do końca.

Najbliższy bankomat znajdował się przy centrum handlowym dwie przecznice dalej. Fargo pobrał maksymalną kwotę dzienną, potem kazał się zawieźć do Harrodsa – królestwa eleganckich pań, które nie wiedziały, co zrobić z nadmiarem gotówki. Tu nie potrzebował niczyjej pomocy, kierując się własnym gustem, wybierał te rzeczy i drobiazgi, które podobały się jemu jako mężczyźnie. Gorzej było z wyborem butów. Wiedział, że wszyscy, nie tylko podrywacze w stylu Clancy’ego, lubią wysokie obcasy. Na to jednak nie mógł się zdecydować z innych względów. Nie można było wykluczyć, że pojawi się potrzeba naglej ucieczki.

Z mnóstwem paczek pod pachą poszedł w kierunku najbliższej przymierzalni. Nie bez trudności przebrał się w ciasnej kabinie. Wepchnął niepotrzebny już dres do kosza na śmieci i zanotował w pamięci adres dziewczyny, żeby później choć w części wynagrodzić jej wszelkie

straty, jakie będzie musiała ponieść. Nie wiedział, jak zareaguje, kiedy opuści jej ciało. Zapewne ocknie się stwierdzając, że jest zupełnie gdzie indziej niż w ostatniej chwili, którą pamiętała, i że od czasu, kiedy „straciła przytomność”, minęło kilka godzin. Czy zacznie uganiać się po lekarzach? Miał nadzieję, że nie była hipochondryczką. Wzruszył ramionami. Jedyne, co mógł zrobić, to wysłać jej potem większą sumę pieniędzy pod pozorem wygrania, na przykład, nagrody za regularne płacenie telefonicznych rachunków.

Szybko rozpakował najmniejszą paczkę i stanął przed lustrem. Prowadzone przez wzorzec Phillis ręce sprawnie nakładały dyskretny makijaż. Po kilku minutach opuścił przymierzalnię i zjechał ruchomymi schodami na parter.

Ciągle obracający w dłoniach podejrzaną paczkę papierosów stary taksówkarz niechętnie podniósł głowę na ponowny trzask tylnych drzwiczek. Spojrzał do tyłu i wyraz jego twarzy uległ zmianie. Gwizdnął cicho.

–Gdzie teraz chciałaby pani pojechać?

–Nie znam dokładnie adresu. – Fargo nie chciał podawać adresu Clancy’ego. –

Poprowadzę pana.

Zwolnił taksówkę dwie przecznice od celu, dając kierowcy suty napiwek. Szedł powoli, czując się coraz gorzej z powodu spojrzeń nielicznych na szczęście przechodniów. Wiedział, że sam je prowokował i że były one składową częścią jego planu, ale nawet po tak krótkim czasie miał dość narzuconej sobie roli.

Zatrzymał się przed domem Clancy’ego, stając za rozłożystym dębem tak, żeby nie być widzianym z okien willi. Nie potrafił powiedzieć, jak długo czekał, w torebce dziewczyny ani na jej ręce nie było zegarka, a on nie pomyślał o tym wcześniej. Co gorsza, krótka, odsłaniająca nogi spódniczka ani wytworna cienka bluzka w najmniejszym stopniu nie chroniły przed chłodem. Coraz bardziej odczuwalne zimno i brak papierosów sprawiły, że kiedy w perspektywie ulicy pojawiła się znana mu limuzyna, jego złość na cały świat urosła do tego stopnia, że zagłuszyła wszelkie wahania.

Zdecydowanym krokiem wyszedł zza drzewa, potem zwolnił tak, że znalazł się na szerokim podjeździe dokładnie w chwili, kiedy lśniący samochód właśnie tam skręcał. Tak jak przypuszczał, limuzyna się zatrzymała.

–Przepraszam – uśmiechnął się smutno, kiedy Clancy wystawił głowę przez boczne okienko – nie orientuje się pan, czy gdzieś tu w pobliżu mieszka pani Whitcomb?

–Nie – jego oczy powędrowały w dół, w kierunku kształtnych nóg dziewczyny. – Obawiam się, że nie wiem.

–Och! Zupełnie się zgubiłam.

Na dźwięk tych słów wytrawny playboy zareagował zgodnie z oczekiwaniem. Clancy wyskoczył z samochodu.

–Czy mógłbym w czymś pomóc? Chętnie panią podwiozę.

–Ciocia miała czekać na dworcu. Ale przyjechałam dzień wcześniej. Myślałam, że sama

ją znajdę...

–A pod jakim adresem mieszka ciocia?

–Nie wiem. Myślałam, że pamiętam drogę wzrokowo. Byłam u niej w zeszłym roku, ale...

Piękna buzia dziewczyny i miny, które wywoływał na niej wzorzec Phyllis, sprawiły, że

Clancy grał teraz wzór opiekuńczości.

–Proszę się nie martwić, na pewno coś poradzimy – ogarnął wzrokiem stojącą przed nim drobną postać. – Ależ pani trzęsie się z zimna! – otworzył furtkę w ozdobnym płocie. –

Najpierw musimy panią rozgrzać. Proszę.

„Męska szowinistyczna świnia” – pomyślał Fargo, a raczej odebrał echo myśli pochodzące z wzorca Phyllis.

–Ależ nie mogę przecież sprawiać takiego kłopotu – powiedział, z trudem powstrzymując śmiech.

–Co też pani mówi! – Clancy jeszcze raz wskazał drogę. – Zaraz zaparzę gorącej kawy.

–Nie wiem, czy powinnam...

–Przecież nie może pani ryzykować zapalenia płuc. Potem coś wymyślimy.

Nie musiał nawet wyciągać ręki do klamki. Drzwi luksusowej willi otworzył od środka ten sam co wczoraj strażnik. Stał tak, żeby nie było widać wypychającej marynarkę kabury.

–Stan, wprowadź wóz do garażu. – Clancy rzucił mu kluczyki. – A panią proszę do środka.

Gdyby Fargo nie spodziewał się tego wcześniej, na pewno nie zauważyłby, że strażnik sprawdza go wszytym w rękaw marynarki czujnikiem. Elektroniczna kontrola musiała wypaść pozytywnie, bo kanciasta sylwetka znikła po chwili za drzwiami. Fargo pogratulował sobie w myślach. Pomyśl, aby w ten sposób i bez broni wejść do domu, okazał się dobry.

–Proszę.

Weszli po dość stromych schodach na podwyższony parter prawie w całości zajęty przez bogaty i pretensjonalnie urządzonej salon z wnęką kuchenną.

–Już nastawiam wodę. A może najpierw coś mocniejszego na rozgrzewkę?

–Och, wie pan, alkohol tak mocno na mnie działa... – Clancy wręcz rzucił się do stojącego pod poręczą schodów barku.

–Mam też napoje dla pań. Proszę się nie martwić.

„A może on udaje” – zaniepokoił się Fargo. – „Przecież nie może poważnie sądzić, że od razu pójdzie mu tak łatwo.” – Uśmiechnął się jednak widząc, jak tamten wraca ze srebrną tacą.

–Martini dla pani, koniak dla mnie.

Fargo umoczył usta w mdłej, pachnącej ziołami cieczy. Stanowczo wolałby podwójną whisky. – I jak? Lepiej?

–Tak. Znacznie lepiej.

–To musiało być dla pani straszne – Clancy ściszył głos, usiłując mu nadać kojące brzmienie. – Sama, w obcym mieście...

Umiejętnie przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, prawie niedostrzegalnie postąpił krok do przodu.

–Jeśli chciałaby się pani wykąpać po podróży, proszę się nie krępować – miał wyraźnie przyspieszony oddech. Pewny zwycięstwa, zrobił jeszcze jeden krok, tak że prawie zetknęli się ciałami.

–Chyba... chyba zapomniałem się przedstawić... W tym momencie Fargo wyłączył Phillis i włączył wzorzec komandosa.

–Istotnie, zapomniał pan o tym drobnym, ale jakże ważnym szczególe... panie Clancy. Nie czekając, aż zdziwienie odbije się na twarzy mężczyzny, z całej siły kopnął go

kolanem między nogi i odskoczył do tyłu. Clancy zgiał się wpół. Oba kieliszki potoczyły się po dywanie. Fargo zwinął prawą pięść i przytrzymując ją drugą dłonią, obiema rękami uderzył go od dołu w twarz. Jak na zwolnionym filmie ciało mężczyzny zakreśliło duży łuk, wyginając się do tyłu. Przez moment utrzymało chwiejną równowagę, balansując na piętach. W tym momencie ostatni cios, precyzyjnie wymierzony w odsłonięty splot, posłał go na podłogę.

Trzask drzwi na dole świadczył, że wbrew rachubom strażnik usłyszał jednak jakiś niepokojący hałas. Rozległ się tupot szybkich kroków na schodach i po chwili pojawiła się barczysta sylwetka z odbezpieczonym pistoletem w dłoni. Fargo nie czekał na jakąkolwiek reakcję. „Wstrzelił się” w niego, odrzucił broń na środek pokoju i wspiał się na poręcz dzielącą salon od holu. Lecąc głową w dół, „wstrzelił się” na powrót w ciało dziewczyny. Zagryzł wargi słysząc łomot spadającego ciała, podniósł pistolet i przysiadł na poręczy fotela. Czuł, że coraz bardziej drżą mu ręce.

Clancy długo nie mógł odzyskać normalnego oddechu. Leżąc na ziemi, kaszlał, pluł i jęczał. W końcu, odwrócony tyłem, zaczął podnosić się na czworakach.

–Leż spokojnie – powiedział Fargo, starając się, by głos brzmiał dostatecznie groźnie. Tamten był zbyt otępiały, żeby zrozumieć cokolwiek. Tkwiąc w przedziwnej pozycji, wygięty do tyłu, usiłował wstać.

–Słuchaj, niektórzy ludzie, co prawda, uważają tylek za coś nieprzyzwoitego, ale ja nie mam takich przesądów. Bądź pewny, że bez wahania strzelę ci prosto w dupę.

Clancy posłusznie znieruchomiał, ciągle wsparty na łokciu i kolanach. Usiłował powstrzymać dłonią ciekącą z nosa krew. Fargo nie wiedział, od czego zacząć. Nagle zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, czego właściwie chce się dowiedzieć. Na usta cisnęło się zbyt wiele pytań. Wiedział, że nie może tkwić tu zbyt długo.

–Zdradziłeś – powiedział wreszcie. Zabrzmiało to raczej śmiesznie.

–Kim... kim ty właściwie jesteś? – wycharczał Clancy.

–Pracujesz dla Organizacji – nie było to ani pytanie, ani stwierdzenie.

–Dla jakiej Organizacji, do jasnej cholery?

–Dla byłego asystenta profesora Fulbrighta.

–Kobietko, o czym ty mówisz? Fargo wstał i podszedł do niewielkiego stołu pod oknem.

–Gdzie jest Keldysh?

–Nic mi nie mówi to nazwisko... – wzruszył ramionami.

–Jak chcesz – mruknął, podnosząc słuchawkę telefonu. – Dobrze byłoby, gdybyś wiedział, że gadatliwi żyją dłużej.

Powoli wykręcał numer. Clancy ostrożnie spojrzął do tyłu. Nie miał predyspozycji do roli bohatera. Widać było, że ledwie panuje nad przerażeniem.

–Pogotowie ratunkowe? Lufą pistoletu przysunął tępy nóż do rozcinania papieru.

–Przyjeżdżajcie szybko. Tu leży facet, któremu ktoś odciął genitalia. Strasznie krwawi.

Oczy Clancy'ego dosłownie wyszły z orbit.

–Nie, nie żartuję. Podam pani adres.

–Wyglupiasz się! – Puls leżącego musiał skoczyć do jakichś stu osiemdziesięciu uderzeń na minutę.

–Jaki tu jest numer domu? – Fargo zakrył dłonią mikrofon.

–Nie!!!

–Nie umrzesz od tego. Oni ci pomogą.

–Nie! Powiem. Wszystko powiem! Fargo odłożył słuchawkę.

–Pracujesz dla nich?

–Tak... – nie mógł złapać oddechu. – Robię, co mi każą.

–A oni płacą aż tyle? – Lynn zatoczył ręką łuk, patrząc na luksusowe wyposażenie salonu.

–Tak im wygodniej. Nie mogą przecież naraz wymienić wszystkich pracowników byłej

komórki Keldysha.

–Z kim się kontaktujesz? Nazwiska!

–O Boże, przychodzą do mnie tak jak ty. Przecież nie wiem nawet, czy naprawdę jesteś kobietą. Nie znam nikogo.

Fargo poruszył trzymanym w dłoni pistoletem. Nie wiedział, czy może mu wierzyć, ale nie przychodziła mu na myśl żadna metoda weryfikacji.

–Czy Keldysh żyje?

–Tak. Wiedzieli, że nie miał praktycznie żadnych liczących się dowodów po śmierci Kate Wade i Lynna Fargo. Zabicie go było jednak ryzykowne. Gdyby złożył gdzieś swoje papiery, albo je ujawnił, uznano by go za wariata. Jego śmierć mogłaby się jednak stać dowodem na to, że miał rację... Był zbyt wielką figurą.

–Co się z nim stało?

–Został odsunięty. Odpowiedni ludzie wmanewrowali go w aferę z zaginionym bombowcem, którym wysłał Lynna Fargo na szkolenie.

–Nie szukano wraku?

–Niby jak? Stary nie był aż tak głupi, żeby powiedzieć, gdzie go skierował. A jego przeciwnikom nie zależało na ujawnianiu nazwy kraju, gdzie, jak ją nazywasz, Organizacja ma swoją placówkę. Cały błąd Keldysha polegał na tym, że oni nie rozpracowywali wcale wywiadu. Zajęli się od razu komórką bezpieczeństwa.

–Gdzie on teraz jest?

–Keldysh? Codziennie można go spotkać w pubie przy Lock Lane.

Fargo skinął głową. Spojrzał na wiszący na ścianie antyczny zegar. Powinien już iść, nie mógł bardziej ryzykować. Nie wiedział, kiedy ocknie się strażnik, o ile w ogóle się ocknie. Nie wiedział też, czy Clancy nie był z kimś umówiony albo czy nie miał do kogoś zadzwonić. Domyślał się, że złamanie rutyny wywoła w biurach wywiadu alarm. Nie chciał doprowadzić do gonitwy i strzelaniny w tej tak dobrze strzeżonej dzielnicy. Pozostała mu do zrobienia tylko jedna rzecz – musiał zatrzeć za sobą ślady. A to oznaczało zastrzelenie Clancy’ego.

–Odwróć się – wyszeptał ze ściśniętym gardłem. Powoli podniósł broń, celując w głowę leżącego. Przelknął ślinę. No, już! Raz, dwa, trzy... Palec na spuście ani drgnął. „Chryste, przecież nie mogę strzelić do leżącego człowieka” – myślał. – „Nie tak na zimno...”

Lufa pistoletu drżała lekko. Na wszystkich filmach, jakie dotąd widział, w podobnej sytuacji ofiara w ostatniej chwili nagle atakowała pozytywnego bohatera, albo zrywała się do ucieczki, ułatwiając mu wykonanie wyroku. Clancy musiał coś przeczuwać. Jak sparaliżowany tkwił nieruchomo, nie śmiejąc nawet głębiej odetchnąć.

„A może po prostu odejść?” – przemknęło mu przez głowę. Nie, przecież to niemożliwe. Musi, musi nacisnąć spust. Wzorzec komandosa podsuwał odpowiednie kroki. Żywy Clancy stanowił zagrożenie, mógł bez problemu nakazać obserwację Keldysha i zdjąć każdego, kto się z nim skontaktuje. Gdzieś w zakamarkach jego mózgu pojawiło się wspomnienie łąk pod rozgwieżdżonym niebem, tonących w mroku, wąskich uliczek, smaku pizzy w przydrożnym barze, zapachu kwiatów, które wręczał kiedyś dziewczynie, dźwięku jej słów, kształtów...

–Strzelaj!

Nagły rozkaz poraził rozmarzoną świadomość. Palec zacisnął się odruchowo, ale spust dotarł tylko do połowy drogi. Było to za mało, żeby zwolnić iglicę. W mózgu pojawiło się od razu inne rozwiązanie. Zaczął myśleć o śmierci Kate, o Keldyshu, o tych wszystkich ludziach skazanych na powolny rozpad w umyśle paralytyka, wreszcie o własnym zmarnowanym życiu. Palec drgnął, posuwając się o kolejny ułamek milimetra. Leżący na podłodze Clancy bał się oddychać.

„Cholera, przecież on nikogo nie zabił osobiście” – pomyślał. Spust z cichym trzaskiem powrócił do poprzedniego położenia. Fargo nie miał teraz ochoty na rozważanie

skomplikowanych kwestii odpowiedzialności.

–Wstawaj – powiedział, opuszczając broń. – Lubisz koniak? To napij się go jeszcze.

Plan powstał w jednej chwili, dawał poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie pozwalał na zachowanie ofiary przy życiu.

\* \* \*

Przejechał niemal pół miasta, zanim znalazł odpowiednie miejsce. Klub bilardowy w wyglądającym jak ruina budynku pośrodku dzielnicy kolorowej biedoty. Poprawił garnitur, przejrzał się w lusterku i wysiadł z samochodu. Nie zamykał drzwi, kluczyki zostawił pod dywanikiem. To też należało do planu.

Wszedł do gęstej od dymu atmosfery i nim wzrok przyzwyczaił się do mroku, zrozumiał, że dobrze wybrał. Gwar wypełniający to miejsce umilkł w jednej sekundzie. Dziesiątki oczu śledziły każdy jego krok. Podszedł do obskurnego baru i stanął między dwiema kobietami nie pierwszej już młodości. O ich profesji świadczyły tak ciuchy, jak i wyzywający makijaż. Wydał pogardliwie wargi na ich widok i zwrócił się do barmana.

–White Russian – powiedział rzucając na blat dwudziestofuntowy banknot. – Wiesz, co to jest, czarnuchu?

Z tyłu dało się słyszeć szuranie odsuwanych krzeseł. Nie musiał odwracać głowy, żeby wiedzieć, co się szykuje.

–Wiesz czy nie wiesz? – zapytał ponownie.

Barman, potężnie zbudowany Murzyn, uśmiechnął się promiennie, kręcąc jednocześnie głową.

–Pierwsze słyszę, ale mamy zajebistą Krwawą Mary – odparł wyjmując spod lady przycięty kij baseballowy ozdobiony napisem: „Kto nie płaci, zęby traci”.

Zanim opuścił go na głowę Clancy’ego, zamarł na moment, potem zmrużył oczy. Fargo po „wstrzeleniu” zdziwił się widząc, ilu czarnych otoczyło drażniącego ich eleganta. Trochę się przestraszył, że przesadził...

–Jest wasz – powiedział odkładając kij na miejsce i podnosząc banknot z kontuaru – ale jak mi go który zabije, to będzie następny w kolejce.

Pogotowie przyjechało kwadrans później, długo po tym, jak Fargo odjechał sprzed baru w skórze jednej z prostytutek.

\* \* \*

Myśl, że nie nadaje się na nieustraszonego wywiadowcę, bynajmniej nie spędzała mu snu z powiek. Traktował ją raczej jako samousprawiedliwienie, jako coś, co zasadniczo zwalniało go z dalszego rozplątywania zawitych afer. Teraz jednak, stojąc przed obitymi plastikiem

drzwiami i mając do zrealizowania główny cel swojego powrotu do Anglii, wahał się. Nie miał wątpliwości – po prostu nie wiedział, jak zacząć. Zmusił się, by przycisnąć dzwonek. Nikt jednak nie otworzył drzwi. Coś przesłoniło jasny otwór judasza i rozległ się damski głos:

–Kto tam?

–Lynn Fargo.

–W jakiej sprawie?

–Ja... – zaskoczony, gorączkowo szukał słów. – Przyjechałem z bardzo daleka...

–O rany – drzwi uchylily się, tworząc kilkucentymetrową szparę.

–Boże, Lynn, nie poznałam cię. – Zobaczył czyjeś oko. – Już, zaraz. Drzwi się zamknęły, żeby właścicielka mogła zwolnić łańcuch, i otworzyły się znowu,

tym razem ukazując całą postać Patty. Była ubrana jak do wyjścia. Przybyło jej kilka kilogramów, poza tym nic się nie zmieniła.

–Chyba ci przeszkodziłem.

–Coś ty – wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami. – Boże, ale się zmieniłeś!

–Wychodzisz gdzieś?

–Och, a która jest? – Spojrzała na zegarek. – Muszę pojechać po męża, bo mnie zamorduje. Słuchaj, przepraszam cię za te numery z drzwiami, ale kręci się tu jakiś ekshibicjonista, muszę być ostrożna. Ale to kulturalny człowiek, raz nie pokazywał się przez

tydzień, to potem zadzwonił, przeprosił i powiedział, że miał zwolnienie lekarskie. Boję się go tylko trochę. Chryste, co ja wygaduję! – Widać było, że jest zdenerwowana. – Co się z tobą

działo?

–Mnóstwo podróżowałem. A co z tobą? Wspomniałaś, że masz męża.

–Tak, i dwójkę wspaniałych dzieciaków, które pewnego dnia wyprawiają mnie do czubków.

Zapadła chwila ciszy, którą przerwali jednocześnie: ona pytając, gdzie się zatrzymał, on pytając o zdrowie. Roześmiali się też razem.

–Odprowadzę cię na dół – zrobił krok do tyłu.

–Ale... – Jeszcze raz nerwowo zerknęła na zegarek. – Nie mogę cię tak zostawić po tylu latach.

–No coś ty. – Pomógł jej zamknąć drzwi. – Mogę wpaść kiedy indziej.

–Właśnie. – Szukała czegoś gorączkowo w torebce. – Przyjdź do nas za tydzień. Robimy małe przyjęcie. Nie, za dwa tygodnie. – Znalazła mały kalendarzyk. – Dokładnie za dwanaście dni, w przyszły czwartek.

Przywołał windę. Kiedy wsiedli, dotknął oznaczenia parteru.

–Wpadnij koniecznie. Będzie paru ludzi z branży. Przyjdiesz? Skinął głową.

–Co właściwie robisz w Londynie?

–To coś w rodzaju urlopu.



–Marzę o urlopie – uśmiechnęła się. – Czy ty masz jeszcze coś wspólnego ze sztuką?

–Raczej nie.

–Szczęściarz. – Ruszyli przez wielki pusty hol na parterze. – Organizujemy z mężem pewną wystawę. Mówię ci, czarna rozpacz. Co zamierzasz robić? – zmieniła nagle temat.

–Chciałem odwiedzić paru przyjaciół. Mam adres Raya.

–Dewhursta? Nie musisz jechać do niego do domu. – Po raz trzeci w tak krótkim czasie spojrzęła na zegarek. – Prowadzi zajęcia ze studentami w muzeum. Wiesz gdzie?

Wyprowadziła go na parking przed budynkiem.

–O, ten szary gmach, widzisz? Na pewno go teraz zastaniesz.

–Widujecie się?

–Raczej rzadko. Ray czasem pomaga mojemu mężowi przy wystawach.

–Znam go? To ktoś ze studiów? Zaprzeczyła ruchem głowy.

–Amerykanin. Otworzyła drzwiczki zielonej toyoty. „Widać nie wszyscy Amerykanie są bogaci” –

pomyślał.

–Ale mamy pecha, że wpadłeś właśnie teraz. Strasznie cię przepraszam, Lynn.

–Za co? Każdy ma swoje życie – coś drapało go w gardle.

–Ale wpadniesz w czwartek?

–Jasne.

–Trzymam cię za słowo. – Zgrabnie wsunęła się na przednie siedzenie, uruchamiając silnik. – Nie zapomnij o statecznej matronie – krzyknęła przez okno. – Hej!

–Cześć! – podniósł rękę.

Nie patrzył za odjeżdżającym samochodem. Odwrócił się i ruszył w stronę wskazanego muzeum.

Portier czuwający przy wejściu do działu sztuki nowoczesnej widział grupę studentów, ale nie potrafił powiedzieć, gdzie są w tej chwili. Radził ruszyć zgodnie z namalowanymi na podłodze strzałkami, wzdłuż trasy dla zwiedzających. Fargo bał się, że w labiryncie sal i galerii minie się z małą grupką, ale wszystkie wątpliwości znikły już na pierwszym korytarzu. Szybko przebył kilkadziesiąt metrów i skręcił do sali, skąd dobiegał tubalny głos Dewhursta. Jego niewielka postać prawie nikła w otoczeniu stojących przed jakimś obrazem studentów, przedstawiającym, o ile można się było domyślić, zniekształcone intymne części kobiecego ciała.

–W czasach prawdziwej sztuki wielcy malarze starali się chwycić byka istnienia za rogi! Dziś te wysoko uniesione ręce opadły. Twórcy manewrują nimi wyłącznie w okolicy genitaliów...

Fargo podszedł bliżej. Dewhurst urwał nagle, spoglądając na niego. Jego oczy z każdą sekundą robiły się coraz większe.

–Lynn Fargo! – krzyknął nagle. – Cholera! – Odwrócił się do studentów. – Proszę się przyjrzeć dokładnie obrazom w tej sali. A ty, Rick, skończ z tym piwem. Nie myśl, że nie widzę... pięć minut przerwy.

Z trudem wyrwał się z ciasnego kręgu rozgadanych nagle młodych ludzi.

–Chłopie, milion lat!

–Czy dobrze słyszałem, ty masz coś przeciwko awangardzie? – roześmiał się Fargo. – Ty?

Dewhurst machnął ręką.

–Nie. Jestem tylko przeciwko temu, co lubią studenci – pokiwał głową. – Nie masz pojęcia, jak szybko człowiek jest w stanie znaleźć się po przeciwnej stronie barykady.

–Ale...

–Z nimi w ogóle nie da się gadać. Nic nie wiedzą, niczym się nie interesują, ale mają swoje dogmaty, stary. Dogmaty! – Potarł brodę. – Wszystko jest dla nich jasno określone, przy czym cały ich świat musiał poustawiać jakiś niedorozwinięty przedszkolak.

–O rany!

–Nie, to ja powinienem powiedzieć: o rany! Mówię o bzdurach, a tymczasem nie wiem nawet, co się z tobą działo.

–Jeździłem tu i tam...

–A gdzie pracujesz?

–W wywiadzie. Ale mam już dosyć. – Fargo nie widział powodu, żeby nie powiedzieć prawdy. – Wykańczają mnie te ciągle strzelaniny, pogonie, nocne rajdy niewidzialnymi bombowcami...

–Dobra nauczka. – Dewhurst roześmiał się szeroko. – Nigdy nie pytaj o nie swoje sprawy. Ale – zaraz zaprzeczył sam sobie – może jednak robisz w handlu dziełami sztuki?

Po zasępionym spojrzeniu można było się domyślić, że zadał to pytanie zamiast:

Chorowałeś ostatnio?

–Nie. Nie mam nic wspólnego ze sztuką.

Skinięcie głową. Chwila nieznośnej ciszy.

–Słuchaj, wpadnij do mnie. – W ręku Dewhursta pojawił się elektroniczny organizator. Stara Anglia przez parę ostatnich lat musiała wpędzić się w kryzys. Nikt nie poległ już tu na własnej pamięci. – Pogadamy o starych czasach. – Szybko przeglądał zapisy. – Może pojutrze? Przełożyłbym... Nie, i tak będzie za mało czasu. Za trzy dni, OK?

–Z przyjemnością. Nie ożeniłeś się?

–Grozi mi to pod koniec roku. – Dewhurst spojrział nerwowo na wymykających się z sali studentów. – Wpadnij koniecznie. Pewna antyczna butelka whisky będzie musiała stracić dziewictwo.

Zrobił krok do tyłu.

–Dam ci adres.

–Mam. Dostałem go na uczelni.

–Doskonale. W takim razie czekam. Może zaproszę paru starych kumpli.

–Świetnie. Fargo uśmiechał się do momentu, aż tamten znikł za szerokimi drzwiami. Potem odwrócił

się do ogromnego, bijącego w oczy jasnymi, zdecydowanymi barwami płótna. Twarde, krótkie pociągnięcia pędzla nadawały mu wyraz jakiegoś radosnego pośpiechu. Na pierwszy rzut oka przedstawiał obraz głowy wciśniętej między czyjeś uda. Ciepłe kolory bynajmniej nie harmonizowały z nastrojem Fargo. Czego właściwie się spodziewał? Że wszyscy rzuca nagle swoje zajęcia, by wspólnie z nim biadać nad problemami, których nie chciał im wyjawić? Pomyślał o Philu Hagenie, postaci, która po pierwszych niepowodzeniach urosła do rangi klucza mogącego otworzyć pełen napięć i kompleksów świat dzieciństwa. Pomyślał też, że ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, jest wypicie butelki whisky z Dewhurstem i parę godzin głupich uśmiechów na party u Patty. Gmach wzniesiony z nałożonych na siebie pragnień znowu chwiał się niebezpiecznie.

\* \* \*

Mokra, jakby nawilżona mikroskopijnymi, unoszącymi się w powietrzu kropelkami wody szarość powoli ustępowała miejsca coraz ciemniejszym odcieniom zapadającego zmroku. Światła nielicznych jeszcze neonów odbijały się w pozostałych po niedawnym deszczu drobinach wody na szybach. Stojący za barem wysoki Murzyn zapalił światło we wnętrzu pubu. Wytrzeł już ostatnią szklankę i apatycznie przyglądał się nielicznym gościom przy stolikach. Widząc ruch ręki mężczyzny w galowym mundurze, który siedział w najciemniejszym kącie, niechętnie otworzył przejście w kontuarze i wolnym, starannie wymierzonym krokiem przebył dzielącą ich przestrzeń.

–Jeszcze raz whisky – powiedział Fargo.

Miał nadzieję, że ciało marynarza, które „wypożyczył”, bez szwanku znieśie dodatkową porcję trunku. Na początku wypił sporo, żeby uspokoić nerwy. Popelnił błąd. Może i słusznie uznał, że na takie spotkanie lepiej udać się jako kto inny, ale spieszył się i od razu, wprost z okna pensjonatu, „wstrzelił się” w kierowcę prowadzącego szybkiego porsche. Dłuższą chwilę nie mógł opanować szalejącej sportowej maszyny i był o włos od wypadku. Potrzebował czegoś mocniejszego i dlatego przed samym pubem „wstrzelił się” w ciało marynarza.

Podniósł do ust przyniesioną przez barmana szklaneczkę i upił mały łyk. Potem spojrzął na ogromną tarczę wiszącego na ścianie zegara. Wielogodzinne oczekiwanie dłużyło się nieznośnie. Uśmiechnął się pod nosem. Czuł, że było coś upokarzającego w jego zachowaniu. Gdyby można było zastosować takie uproszczenie, całą sprawę dałoby się sprowadzić do stwierdzenia: klęska prywatnych pragnień znowu pchnęła go w ramiona tej afery. Co za bezsens, a jednocześnie perfidia ludzkiego zachowania, które potem można by podciągnąć

pod miano patriotyzmu...

Drgnął, słysząc odgłos otwieranych drzwi, i po raz pierwszy w tym dniu poczuł ulgę. Od razu rozpoznał tego człowieka. Wysoka prosta postać, siwe włosy okalające twarz naznaczoną jakby stygmatem zmęczenia czy zniechęcenia, długi, nie pasujący do wieku krok... Paul Keldysh nie zmienił się zbyt wiele. Przynajmniej z wyglądu, bo w przeciwieństwie do zapamiętanego obrazu brakowało kilku cech. Gdzieś znikła promieniująca na wszystkich pewność i determinacja. Wielka kultura, jeśli można użyć tego określenia, nie zgasła co prawda, ale z trudem przebijała spod nowego, nie wiadomo przez kogo narzuconego pancerza.

Keldysh powoli podszedł do baru i ze swobodą bywalca zajął jedno z wysokich krzesel.

–Proszę ale – starannie odliczył wyciągnięte z kieszeni drobniaki.

Pił powoli, w skupieniu, jakby roztrząsając coś przy tym w myślach. Emanował z niego smutek. Idealnie czysty, odprasowany garnitur nosił ślady długiego używania. Sweter, który miał pod spodem, i krawat również nie były nowe. Fargo zdał sobie nagle sprawę, że żał mu tego człowieka. Żał mu kogoś, przez kogo nie był teraz statecznym obywatelem. Uważnie rozejrzał się po sali. Odczekał chwilę i kiedy tylko pochwycił wzrok stojącego za barem Murzyna, „wstrzelił się” w niego. Tak przykra na początku nagła ciemność i uczucie pędu nie robiły już na nim wrażenia. Spoza szerokiej lady baru spojrzął z niepokojem na siedzącego w kącie marynarza. Bał się, żeby jego reakcja nie zwróciła uwagi Keldysha. Tamten, jak wszystkie ofiary psychicznych manipulacji, najpierw uporczywie potrząsał głową, a potem w szoku rozglądał się wokół. „Cholera, żeby tylko nie zaczął krzyczeć” – pomyślał Fargo. Wzrok marynarza padł na stojącą przed nim szklaneczkę z whisky. Na ustach pojawił się nagle cień uśmiechu, wruszył ramionami i wychylił ją jednym haustem, po czym trochę chwiejnym krokiem ruszył do wyjścia.

Fargo odruchowo się uśmiechnął. Napełnił z beczki wysoką szklankę i podszedł do Keldysha.

–Jeszcze jedno? Siwe brwi uniosły się w zdziwieniu.

–Nie. Dziękuję.

–Na koszt firmy. Proszę. Postawił przed nim oszronione szkło. Stalowe oczy utkwili na wysokości jego twarzy.

–Myślę, że pod nieobecność gospodarza możemy trochę narozrabiać.

–Nieobecność gospodarza? – Keldysh opuścił głowę, dotykając obrzeża jednej ze swych pustych szklanek. – O czym ty mówisz?

Fargo wykrzywił swą czarną twarz.

–Ja, Murzyn Bob mówić, że już nie chcę być dalej Murzyn. – Zmienił nagle ton. – Przecież pan doskonale wie, z kim pan rozmawia.

Keldysh ciągle tkwił w tej samej pozycji. Nie drgnął ani jeden jego mięsień.

–Czego jeszcze ode mnie chcecie? – spytał. – Wszystko ucichło i nadszedł już czas, żeby wykonać wyrok?

Fargo zrozumiał nagle, na co dawny szef wywiadu czeka.

–Nie, proszę pana. Nie widzieliśmy się tyle lat, więc wpadłem, żeby pogadać.

–Kim jesteś?

–Lynn Fargo. Pamięta mnie pan? Żadnej reakcji. Nagle pytanie:

–Jak się nazywał łącznik, z którym rozmawiałeś ostatniej nocy przed wyjazdem z Londynu?

–Nie pamiętam. Wiem tylko, że miał na imię... – stary lis już zaczynał się uśmiechać drwiąco – Elaine.

–Chryste! – Keldysh podniósł głowę tak szybko, że można było się obawiać o kości dźwigające czaszkę. – Lynn, to naprawdę ty!

Zapadła długa cisza.

Keldysh zdołał się opanować dopiero po kilkudziesięciu sekundach.

–Myślałem, że nie żyjesz – powiedział tak spokojnym głosem, jakby prosił o następne piwo.

–Niewiele brakowało.

–Co robiłeś przez tyle lat?

–To naprawdę długa opowieść.

Keldysh dyskretnie rozejrzał się po sali.

–Słuchaj, Fargo. Fakt, że istniejesz, to dla nas niezwykła, jedyna i niepowtarzalna szansa. Nie możemy jej zmarnować za żadne skarby – w jego głosie nareszcie odezwała się nuta, której brakowało u odnalezionych po latach znajomych. – Chcę, żebyś to dobrze zrozumiał. Chcę też wiedzieć, czym dysponujesz.

–Odnalazłem jednego z ludzi przydzielonych mi do ochrony.

–Którego?

–Kena Sienę.

Keldysh wyraźnie odetchnął.

–Ale on jest jakiś dziwny – kontynuował Fargo. – Do jasnej cholery, czy pan wie, jak on wygląda?

–Wiem. On ci pomoże, Lynn.

–Ale... nie wiem, czy można mu ufać...

–Można. Bardziej niż sobie samemu – odwrócił głowę i nagle zmienił temat. – Bob rzadko rozmawia z klientami – szepnął. – Bądź wyraźnie znudzony.

Fargo zabrał opróżnioną szklankę, przyjął starannie odliczone drobne i wrzucił je do szuflady.

Keldysh wyszedł na chwilę do toalety, a gdy wrócił, zajął swoje stałe miejsce przy

kontuarze baru.

–Wracając do Sieny. – Naczynie z piwem osłaniało usta mówiącego. – On zrobi wszystko, co mu każesz.

–Myśli pan, że ja się nadaję na faceta, który sypie wyrokami śmierci jak z rękawa?

–Nie o to chodzi. Sam zrozumiesz.

Jeden z gości podniósł rękę na znak, że chce płacić. Keldysh rzucił okiem na stojące na jego stoliku naczynia.

–Funt dwadzieścia – szepnął. – Nie pomył się.

Nim Fargo po minucie wrócił na miejsce, siwy mężczyzna na wysokim stolku miał już poukładane w głowie wszystko, co chciał powiedzieć.

–Patrz w inną stronę i słuchaj – znowu zasłonił usta. – Po twoim wyjeździe zdołałem potwierdzić wiadomość, że po usunięciu Fulbrighta po władzę sięgnął jego były asystent. Nie wiem, jak się nazywa, nie wiem nawet, jak wygląda. Dowiedziałem się tylko, że siedziba Organizacji mieści się w wysokim budynku nad brzegiem morza.

–Gdzie?

–Nie mam pojęcia. Pewne poszlaki wskazują na południe Anglii... Ten człowiek dysponuje dużymi możliwościami, nie takimi jak niegdyś Fulbright, ale jest dostatecznie zabezpieczony, by zapobiec próbie „wstrzelenia się” do jego ciała kogoś innego. Poza tym nie jest to żaden władzy głupek. Wykazał się dostateczną dozą inteligencji i ostrożności, żebyśmy musieli się go obawiać w najwyższym stopniu. Wiem też, że ma łączność telepatyczną z kilkoma czy nawet kilkunastoma swoimi ludźmi i kieruje nimi przez cały czas. Dlatego nie musi opuszczać centrali. – Keldysh zawahał się przez moment. – Jego telepaci dysponują straszną siłą. W niewielkim promieniu mogą zrobić z każdym człowiekiem, co tylko zechcą. Dlatego jakikolwiek atak jest bardzo trudny. Ale... – zagryzł wargi. – Muszę nad tym pomyśleć. Skontaktuj się ze mną za jakiś czas. Siena będzie wiedział, jak mnie znaleźć.

Fargo otarł twarz. Wzdrygnął się, zanim przypomniał sobie, dlaczego ręka jest czarna.

–Teraz niech mnie pan posłucha – powiedział cicho, ledwie otwierając usta – Jestem śmiertelnie chory i...

–Ty, chory? Nie żartuj, chłopcze.

–Do jasnej cholery, przecież nie mogę „wstrzelić się” w czyjeś ciało na całe życie.

Początkowo stłumiona tamta świadomość pomiesza się z moją i... – Odruchowo machnął ręką.

– Tak napisano w tym pańskim podręczniku.

–Zastanów się nad... – Twarz Keldysha przeszył nagły skurcz. – Zaraz, skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz?

–Od Clancy’ego.

–On pracuje dla nich.

–Wiem. Powiedział mi to pod lufą rewolweru.

Uspokojony Keldysh skinął głową.

–Skoro tak... Dobrze, że ten drań nie żyje. Fargo przełknął ślinę.

–Obawiam się, że jeszcze żyje...

–Co?!

–On...

–Chryste... Jeśli on żyje, to cały ten burdel jest obstawiony. – Po raz pierwszy na jego dystygowanej i zwykle opanowanej twarzy zagościło zdenerwowanie, z trudem walczył, by nie podnosić głosu. – Clancy był monitorowany telepatycznie. Musisz uciekać...

–Ale...

–Zjeżdżaj stąd. Natychmiast. – Keldysh rozumiał doskonale, że nie wolno krzyczeć na kogoś, kto jest amatorem w swoim fachu, żeby nie odebrać mu resztek pewności siebie. – Słuchaj, Lynn, odwalileś kawał roboty. Nikomu nie udało się to co tobie. Teraz nie schrzań tego. Musisz uciekać!

Widząc wahanie na czarnej twarzy, prawie krzyknął:

–Ratuj się wreszcie! Zjeżdżaj!

Fargo „wstrzelił się” w przechodzącego za oknem człowieka w momencie, gdy poczuł pierwsze znajome oznaki mrowienia za uszami. Zaraz potem przeniósł się do kogoś innego – sądząc ze stroju, poważanego urzędnika szacownej firmy, który szedł drugą stroną ulicy. Oszołomiony, zrobił kilkanaście kroków, ale znajomy ból w głowie narastał. Wiedział, że nie dadzą mu uciec, wiedział, że Keldysh ma rację. Odruchowo sięgnął do kieszeni, choć trudno było przypuszczać, że urzędnik nosi ze sobą broń. Ból rósł z każdą chwilą, ale Fargo uspokoił się nagle. W głębi ulicy zobaczył nadciągający potężny drogowy ciągnik z olbrzymią naczepą. Chwiejąc się, stanął na skraju chodnika. Ostre światła reflektorów były coraz bliżej. Kiedy ból stał się nie do zniesienia, ugiął nogi i sprężył się do skoku. Przerażony kierowca gwałtownie nacisnął hamulec, blokując koła, które z piskiem zaczęły sunąć po asfalcie. Ciężki wóz tańczył na prawo i lewo w głębokim poślizgu, ale bezwładna masa naczepy parła go dalej do przodu. Ręce kierowcy migaly za wilgotną szybą, dokonując cudów w manewrowaniu kierownicą. Teraz! Fargo pochylił się do przodu, kiedy nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, paraliżujący ból zniknął z jego głowy. Zszokowany, upadł na kolana. „Boże, to sztuczka telepatów!” Potężny ciągnik zniosło na drugą stronę jezdni. Rozległ się trzask miażdżonej zderzakiem latarni.

„Zaskoczyli mnie” – pomyślał. – „Nie chcę, żebym się zabił.” Ale nie... Przeszukał swój czysty i jasny teraz umysł. Czuł, że dzieje się tam coś dziwnego. Zagadkowy, nieprzenikalny dotąd kokon, który tkwił gdzieś na granicy świadomości, rozwinął się teraz, promieniując porażającą energią. – „Działa jak tłumik. Pomaga mi się ukryć przed telepatą...”

Roztrzęsiony, zobaczył, jak wyglądający na zwykłego przechodnia człowiek z wykrzywioną nagle z wściekłości twarzą wyszarpuje z kieszeni rewolwer. Odruchowo „wstrzelił się” w niego, przebiegł kilkanaście kroków i „przeskoczył” w nadbiegającego

policjanta. Znowu kilkanaście kroków i znowu zmiana. Tym razem gnał w ciele młodego wysportowanego mężczyzny, klucząc wśród oszołomionych wypadkiem przechodniów. Kiedy oddech stał się zbyt urywany, „wstrzelił się” w kierowcę przejeżdżającej obok limuzyny. Gwałtownie nacisnął pedał gazu, słysząc jak delikatne mruczenie dużego silnika przeradza się w ryk

–Martin! – przerażony pasażer odsunął dzielącą ich szybę. – Martin, co robisz?!

Wyjechał na środek jezdnii, mijając wolniejsze pojazdy, potem nacisnął hamulec, stając dosłownie o milimetry od blokującej drogę ciężarówce. Błyskawicznie „wstrzelił się” w kierowcę autobusu posuwającego się drugim pasem. Tu również ostro dodał gazu. Szarpnął kierownicą, omal nie wywracając piętrowej maszyny w ostrym zakręcie. Prawy reflektor zgasł od uderzenia w stos drewnianych skrzynek, które rozleciały się, rozbijając szyby pobliskich wystaw. Z tyłu słyszał histeryczne piski kobiet, jakiś żołnierz dusił go, usiłując wyrwać kierownicę.

Błyskawicznie przerzucił się na odzianego w skórzany kombinezon motocyklistę. Nasilający się w wieczornym szczycie ruch zmusił go do wjechania na chodnik. Wzbudzał panikę wśród uskakujących na wszystkie strony ludzi, ale nie mógł opanować nieznanej, wrywającej się spod niego maszyny. Przewrócił się na jakiejś kracie i leżąc na plecach, nawet nie usiłując się podnieść, „wstrzelił się” w patrzącego na niego, zawieszonoego na ruchomej ławeczce czyściciela okien. Jednym uderzeniem nóg rozbił szybę i wpadł do środka pustego gabinetu w jakimś biurówcu. Czuł, że ogarnia go histeria. Zmieniał niosące go ciała co kilkanaście minut. Był robotnikiem pracującym przy wykopie, młodym człowiekiem w szybkim sportowym samochodzie, policjantem na koniu, sprzątaczką, kierowcą furgonetki... Żadne korki, mosty, zablokowane wiadukty, zbiegowiska, tunele ani budynki nie były dla niego przeszkodą.

Kiedy wrócił wreszcie na fotel ustawiony przy oknie pensjonatu, dyszał, jakby lada chwila miały mu pęknąć płuca. Był tak zmęczony, iż dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że w rzeczywistości jego ciało od wielu już godzin nie wykonało nawet najmniejszego ruchu.

\* \* \*

Fargo długą chwilę siedział wyprostowany na ogromnym łożu, zastanawiając się, co go obudziło. Powoli przetarł oczy. Która może być godzina? Zegarka nie było na nocnym stoliku – błyszcząca bransoleta obejmowała przegub ręki. Zasnął w ubraniu. Przypomnił sobie wydarzenia ostatniego wieczoru. Paniczna, zwariowana ucieczka, a przedtem... Tajemniczy kokon tkwiący gdzieś w głębi niego, który pomógł mu w ostatniej chwili. Co to może być? Czy to wzorzec psychiki jakiegoś człowieka? Takiego jak inni, czy... A może nie człowieka? Chryste...



Pospiesznie stanął na podłodze. Ciekawe, co powiedziałyby gospodyni pensjonatu, widząc go w butach na łóżku. Przeciągnął się i wyjrzał przez okno. Ciemności przedmieść nie rozświetlało o tej porze żadne światło. Stłumił ziewnięcie, starając się opanować narastającą senność. Co to było? Nie mógł przypomnieć sobie, co wyrwało go z głębokiego snu i sprawiło, że otępiały siedział na łóżku dobrą minutę, usiłując zrozumieć, czego się boi. Wzruszył ramionami. Podobno najlepszym lekarstwem na koszmary jest wódka. Walizka zawierała jednak tylko karton papierosów. Kiedy wkładał jednego z nich do ust, dźwięk się powtórzył. Choć przenikliwy, nie był głośny. Rozlegał się w rejestrach ledwie wychwytywalnych przez uszy i jak ból zębów był dokuczliwy do granic wytrzymałości. Psy na podwórku rozszczękały się z całą zajadłością. Fargo doskoczył do okna, ale na zewnątrz nie działo się nic szczególnego. Wszystkie okna w przeciwległym skrzydle budynku, które mógł dostrzec z tego miejsca, były ciemne. Prawie po omacku przemierzył pokój i usiłując uniknąć skrzypienia, otworzył drzwi. Korytarz również był ciemny i pusty. Znikąd nie dochodził żaden podejrzany szelest. Zamknął drzwi, przekręcając klucz, i cofnął się do środka. Co to było? Starł się opanować drobne ukłucia rodzącego się strachu. Kilka minut stał w tej samej pozycji, wymyślając dziesiątki zwykłych, domowych urządzeń, które mogły wydawać taki odgłos. Ruchem głowy odrzucił opadające na oczy włosy, przypominając sobie, że ciągle trzyma w ustach nie zapalonego papierosa. „Dureń ze mnie” – sięgnął do kieszeni.

Kiedy zbliżał do twarzy zapalniczkę, przenikliwy dźwięk powtórzył się po raz trzeci. W świetle płomyka zobaczył nagle, jak metal tworzący skomplikowaną konstrukcję zamka i zawiasów w drzwiach topi się i spływa czerwonymi kroplami po chropowatych deskach. W pierwszej chwili był skłonny uznać to za dalszy ciąg śnionego koszmaru. Dopiero kiedy cała powierzchnia drzwi cofnęła się w mocnym uchwycie czyichś rąk, rzucił się w tył, ale było już za późno. Dwie postaci w baniastych nieprzezroczystych hełmach wtargnęły do środka. Jedna z nich rzuciła się do przodu, sięgając jego ust, kiedy zamierzał krzyknąć. Poczul na wargach zimną, kleistą substancję dławiącą oddech i...

Omdlenie nie trwało długo. Kiedy się ocknął, związany na podłodze, trzech napastników kończyło właśnie mocować na powrót drzwi za pomocą specjalnych gumowych zatyczek i zaklejać szyby w oknach grubą czarną folią. Gdy zapłonęło słabe światło z ustawionej na stole lampki, mógł lepiej przyjrzeć się ich hełmom. Wielkie banie z rozbudowanymi aparatami oddechowymi i końcówkami jakichś elektronicznych urządzeń. Nie musiał wysilać skołowanej nagłymi wypadkami wyobraźni, żeby odgadnąć ich przeznaczenie. Wiedział, a raczej czuł, że nie może „wstrzelić się” w żadnego z nich. Szybko włączył w swym mózgu wzorzec komandosa, ale ten nie mógł mu zbytnio pomóc w obecnej sytuacji. Osiągnął jedynie stan pozornego wewnętrznego spokoju.

Obserwując spod przymrużonych powiek krzątające się sylwetki, zastanawiał się, czy nie sprowokować jakiegoś hałasu. Czy nie zrobić jakiegoś ruchu, który być może zmusi

człowieka trzymającego pistolet maszynowy do oddania ostrzegawczej serii. Zrezygnował, kiedy bliżej przyjrzał się broni napastnika. Był to stary niemiecki M5 SD1, w którego lufie wywiercono trzydzieści trzymilimetrowych otworów. Gazy prochowe wypływały przez nie, wyhamowując na założonej na lufę rurze tłumika. W ten sposób prędkość początkowa pocisku malała do wartości poddźwiękowej, co sprawiało, że nie występowała fala uderzeniowa. Strzały z tej broni nie mogły więc nikogo obudzić.

Trzech ludzi prawie równocześnie, jak na komendę, przestało zabezpieczać pokój. Jeden stanął przy drzwiach, dwóch pozostałych nachyliło się nad leżącym. Fargo poczuł, że ostrze brzytwy dotyka jego gardła – w chwilę potem zniknął dławiący go knebel.

Tu również wzorzec komandosa podsunął odpowiednie rozwiązanie. Czerpiąc z cudzej pamięci, Fargo nagle zrozumiał, że chcą, korzystając z szoku po napadzie, dowiedzieć się jak najwięcej.

–Nazwisko! – głos był tak zniekształcony przez aparat oddechowy, że nie można było zorientować się, czy należy do kobiety czy do mężczyzny.

–Co, do cholery? – szepnął. – Nie wiecie nawet kogo napadliście?

Brzytwa na moment została zdjeta z gardła. Jakaś szmata przylgnęła do ust i w tej samej chwili został wymierzony silny cios w splot słoneczny. Dusząc się w paraliżującym bólu, Fargo zrozumiał, że lepiej nie żartować. Ogarniała go fala mdłości.

–Jak udało ci się wytłumić?

–Ja... – odkaszlnął, cudem tylko nie rozrywając promieniującej bólem przepony. – Nie... rozumiem.

–W jaki sposób stałeś się niewidzialny dla telepatów?

–Nie wiem. Jakoś tak samo wy...

Kolejny cios sprawił, że sparaliżowało mu pół twarzy. Dłuższą chwilę w ogóle nie mógł otworzyć lewego oka. Przestraszony, że stracił wzrok, szarpnął się, żeby uwolnić rękę. Nowy cios rozbił mu dolną wargę. Zakrztusił się czymś ciepłym, co nagle pojawiło się w ustach. Szukając językiem rany, niechcący dotknął dwóch ruszających się zębów. Kolejny paroksyzm, tym razem innego bólu, przeszył jego głowę. Rozkaszał się wprost w tamującą oddech szmatę.

–Odwróć go, bo się udusi.

Silne ramiona uniosły go w górę, opierając o brzeg łóżka. Nowy atak, tym razem świadomie sprowokowanego kaszlu utonął w blokującej usta szmacie. Fargo robił wszystko, żeby zyskać na czasie. „Chryste, nie myśleć o tym, co mnie czeka” – przemknęło mu przez głowę. Musi skupić się na czymś innym. Uporczywie potrząsał głową. Jak to się stało, że Organizacja go znalazła? Telepaci? Nie! Nagle zrozumiał, że zostawił za sobą ślad. Nawet jeśli telepaci nagle oślepli, ktoś w Organizacji nie stracił zimnej krwi. Jeśli mieli swoje wtyczki w policji, wystarczyło przesłuchać świadków zbiegowiska, które spowodował podczas panicznej ucieczki. Przecież nie co dzień spotyka się tylu ludzi, którzy poczuli

dziwne omdlenie, by po chwili ocknąć się w zupełnie innym miejscu. Więc tu tkwił błąd. Śladem kolejnych „przeskoków” dotarli do pensjonatu, a wystarczyło...

–Jak umknąłeś naszym w Afryce? – świszczący głos przywrócił go do rzeczywistości.

–Ja... – rozpaczliwie usiłował znaleźć jakiś wykręt.

–Mów! – Uderzenie kolbą rewolweru w goleń sprawiło, że iskierki bólu rozeszły się po całej nodze.

–To... to była amnezja – skolatany umysł nie podsuwał żadnego rozwiązania.

–Jaka amnezja?

–Wywołana sztucznie.

–Mów prawdę. Nowe uderzenie w to samo miejsce.

–Przecież mówię...

–A potem przypomniałeś sobie wszystko, tak?

–Tak.

–Słuchaj no – baniasty hełm zbliżył się do jego twarzy – odwieziemy cię do miejsca, gdzie i tak wydobędą z ciebie wszystko. Ale nie musimy dostarczyć im ciała w jednym kawałku.

–Ale ja...

–Chcesz, żebyśmy obcięli ci palec?

–Ale ja mówię...

–A może kilka palców? Całą dłoń? A może nos?

Fargo szarpnął się znowu. Był tak przerażony, że nie starczało już miejsca na żadne inne uczucie, może oprócz nienawiści do oprawców. Mężczyzna przy drzwiach zerknął na zegarek.

–Zabieramy go do Har...

–Stul pysk – przerwał mu drugi. – A teraz – odwrócił się do Fargo – nareszcie powiesz nam prawdę.

Jednym ruchem rozciął mu więzy. Szarpnął rękę, wykręcając mu dłoń. Ostrze brzytwy dotknęło koniuszka najmniejszego palca.

–Masz pięć sekund.

–Nie!

–Raz...

–Ale mówiłem prawdę. Ja...

–Dwa...

–Ja... Ja... Słowo „trzy” zagłuszył trzask wylamywanych drzwi. Siena jednym ciosem w kark

rozciągnął człowieka z automatem. Zanim pozostali zdążyli westchnąć, obciążona tłumikiem lufa była już skierowana w ich stronę. Fargo usłyszał dwa metaliczne uderzenia mechanizmu broni i dwa tępe odgłosy, kiedy kule wbijały się w ich ciała. Chciał się zerwać, ale ból zmusił

go do opadnięcia na kolana.

Siena pomógł mu się podnieść.

–Mam nadzieję, że się nie denerwowałeś – szepnął.

–Staleś za drzwiami?

–Tak.

–Dlaczego... – Noga, głowa i klatka piersiowa promieniowały porażającym bólem. –

Dlaczego dopiero... teraz?

–Myślałem, że czegoś się od nich dowiem.

–S... – czuł, jak puchnie mu twarz. Mówienie przychodziło mu z trudem. – S... Su...

–Co?

–Sukinsyn.

Twarz Sieny jak zwykle nie wyrażała niczego. W nikłym świetle malutkiej lampki przypominała maskę jakiegoś monstrum.

–Chodź. Musimy wydostać się na zewnątrz.

–Wy... wydostać?

–Cały budynek jest obstawiony. Siena zgasił lampkę. Podtrzymując Fargo, krok za krokiem wyprowadził go na korytarz.

–Stój – szepnął, opierając go jak przedmiot o ścianę. – Ktoś jest za zakrętem, przy schodach.

Fargo nie widział niczego w ciemności. Nie mógł opanować szybkiego, urywanego oddechu. Stali tak dłuższą chwilę, zanim Siena znowu szepnął:

–Odszedł.

–Skąd... skąd wiesz? Nie doczekał się odpowiedzi. Ruszyli znowu. Bardzo powoli, po omacku dotarli do szerokich schodów. Siena położył

się na podłodze i ostrożnie wystawił głowę zza narożnika. Fargo, mimo ostrzegawczego syknienia, zrobił to samo.

–Czy on tam jest? – szepnął do ucha komandosa.

–Tak. Chyba coś zwąchał.

–Skąd wiesz?

–Stoi za firanką. Ma przy sobie mnóstwo żelastwa. Fargo podpełzł cał dalej. Absolutna ciemność ogarniała cały hol, tak że nie mógł

zobaczyć nie tylko człowieka, ale nawet miejsca, gdzie powinna być firanka. Czuł, że dzieje się coś dziwnego. Czyżby Siena widział w ciemności? Zerknął w bok, żeby zobaczyć, czy oczy tamtego świecą jak u kota, ale nie dostrzegł niczego.

–Jakie żelastwo? – spytał.

–Nie wiem. Może ma za zadanie wysadzić cały ten interes, gdyby coś nie wyszło.

–Zamierzasz tam pójść?

–Nie. Nie potrafię zejść cicho po drewnianych schodach.

–Więc co...? Jeszcze raz zerknął w dół, ale był tam tylko smolistoczarny mrok. Jak tamten mógł coś

widzieć? Czyżby dysponował jakimiś specjalnymi psychicznymi właściwościami?

–Cholerne kaloryfery! – Siena podniósł do oczu pistolet.

„Szlag, co mają kaloryfery do widzenia czegokolwiek...?” – Fargo usłyszał nagle metaliczny trzask zamka i loskot rozbijającego szybę ciała.

–Biegiem! Siena szarpnął go za kołnierz, ścigając po schodach w dół.

–Do samochodu! Zaciskając zęby, Fargo przesadził zasłany szczątkami szkła parapet i przypadł pod lśniąca

odbitym światłem gwiazd karoserią. Ich wóz był w innej części parkingu. Tuż obok leżał mężczyzna, który jeszcze przed chwilą ukrywał się za zasłoną.

–Dalej!

Już mieli wstać, kiedy ktoś strzelił zza murku otaczającego parking. W sąsiedztwie rozszczękały się psy, a w okolicznych domach pozapałały pierwsze kwadraty jaskrawego światła. Rozległ się drugi strzał. Dłoń Sieny rozbija szybę samochodu, otwierając drzwi. Fargo podniósł pistolet maszynowy leżącego mężczyzny. Zerwał się na nogi i posłał serię, żeby odstraszyć ukrytego strzelca, ale zaopatrzona w tłumik broń sprawiła, że słyhać było tylko stuk uderzających o karoserię kul. Rzucił się w bok do otwartych drzwiczek samochodu. Siena uruchomił silnik i wrzucił bieg.

–Trzymaj się!

Ruszył do tyłu z piskiem opon. Fargo, ciągle z nogami na zewnątrz, z najwyższym trudem chwycił kolumnę kierownicy. Podciągnął się podczas zmiany biegów i będąc już w środku, opróżnił magazynek w kierunku niskiego muru. Nie mógł widzieć efektu. Samochód, wyjąć przeciążonym silnikiem, rozbił bramę i gwałtownym skrętem wyrwał się z linii ognia.

–Cholera... – obolałe płuca utrudniały powiedzenie czegokolwiek. Wpadający przez rozbitą szybę zimny wiatr chłodził rozpaloną twarz, osuszając pot. Oprócz bólu Fargo czuł, że

zaczynają mu puszczać nerwy.

–Będą... nas gonić? Nieruchoma twarz Sieny nawet się nie odwróciła w jego kierunku.

–Wyrzuć to – powiedział cicho.

–Cholera! – powtórzył. Cisnął trzymany ciągle na kolanach pistolet maszynowy za okno.

Potem zatrzasnął

stukające na każdym zakręcie nie domknięte drzwi.

Mleczarz, pod którego nogi upadł metalowy przedmiot, nie był kolekcjonerem broni. Po prostu rzucił się do ucieczki.

Wielka jaskrawa reklama biura podróży wystawała daleko poza elewację budynku i biegnąc ponad wąskim chodnikiem sięgała swym cieniem aż do samochodu, w którym siedział Fargo. Jego opuchnięta, pooklejana plastrami twarz nie była jednak zwrócona w stronę stylizowanego znaku firmy ani szeregu napisów obiecujących zakosztowania rajów w różnych zakątkach globu. Fargo nie patrzył również na rozłożoną na kolanach mapę. Jego umysł zaprzątnięty był rozważaniami kwestii, którą poruszył Keldysh. Czy rzeczywiście mógł przeżyć mimo trawiącej go śmiertelnej choroby? Skoro nie może „wstrzelić się” do czyjegoś ciała na stałe, to czy możliwe jest ciągle przesiadanie się z człowieka do człowieka, przebywając w kolejnych umysłach na tyle krótko, że ich przytłoczone z początku świadomości nie zdążą zaszkodzić jego własnej? Przerząła go wizja prowadzenia nie kończącego się życia wampira, żerującego na milionach ludzi bez możliwości pozostania w jednym dłużej niż... Ile? Dwa dni? Trzy? Może rok? Nie miał pojęcia – nikt przecież nie prowadził takich badań. A jeśli Keldyshowi chodziło o zdobycie żyjącego ciała bez świadomości? Czy w ogóle istniał ktoś taki? Osoba z nie uszkodzonym mózgiem i jednocześnie całkowicie bezrozumna. Uczepił się tej myśli. Ken Siena sądził, że to możliwe. Od rana zwiedzał wszystkie szpitale w poszukiwaniu kogoś takiego, ale... Czy pełna adaptacja jest w ogóle możliwa?

Wzruszył ramionami. A jeśli taki zabieg się powiedzie? Co nastąpi potem? Życie pełne strachu. Dzień po dniu upływający na nieustannej wojnie z Organizacją. Coraz bardziej skłaniał się do koncepcji uderzenia wprost w człowieka, który usunął profesora Fulbrighta. Wolął nie rozpatrywać kwestii, czy zabicie byłego asystenta rozwiąże cokolwiek. Miał wątpliwości, czy podjęcie się takiego zadania ma choć cień szansy na powodzenie. Obraz kilkunastu ludzi łączących swe siły w osobie dowódcy nie zawierał żadnych krzepiących elementów. Czy ukryty gdzieś w głębi mózgu kokon pomoże mu znowu? Wątpił. Wszelkie próby skontaktowania się z tym nieprzenikalnym tworem spęły na niczym. Intuicja podpowiadała mu, że nie wyjdzie z tego żywy.

Podniósł głowę, patrząc na przechodzących obok ludzi. Ich obojętność, ich nieświadomość powodowała, że odruchowo zaciskał pięści. Uśmiechnął się na myśl, że ktoś mógłby wziąć to za wyraz buntu. Bunt... Śmieszny jest bunt jednostki dawno wyrzuconej poza nawias. Wszystkie karmione własną wybujałą fantazją nadzieje, jakie żywił powracając z Afryki, przesuwały się teraz w lata coraz wcześniejszej młodości. Czuł jednak, że nie zdąży już odnaleźć Phillipa Hageny. Człowieka, z którym wiązały się prawie wszystkie kompleksy wypływające z dzieciństwa. Człowieka, który zawsze był lepszy, który może rzadko miał rację, ale zawsze potrafił doprowadzić do tego, że przyznawano ją właśnie jemu. Szczeniacka naiwność. A jednak, mimo kruchych podstaw, żalonna chęć powrotu do świata dzieciństwa zdobyła pierwszeństwo przed realnymi problemami. „Więc zabierz mnie do ogrodu

rozkoszy...” Piosenkę, którą powtarzał przy wymazywaniu pamięci u Jastrowa, uwielbiał śpiewać właśnie Hagen.

Otrząsnął się z rozmyślań, ponownie skupiając nad mapą. Keldysh mówił coś o południu Anglii i o samotnym wysokim budynku nad brzegiem morza. Ludzie, którzy napadli go w nocy, wspomnieli coś o zabraniu go do Har... Palec powoli przesunął się po szeleszczącym papierze. Południowe wybrzeże miało trzy miejscowości, których nazwy zaczynały się od tych trzech liter. Harwich, Harton i Harmsbury. Rozłożył na kolanach plik wyłudzonych z biura podróży prospektów. Powoli, z lupą w ręku studiował kolorowe zdjęcia.

Odrzucił je po kilkunastu minutach. Rozparł się w fotelu, zapalając ostatniego papierosa. Jeżeli się nie myli, jeżeli nie była to pułapka, jeżeli wszyscy ludzie, na jakich natknął się ostatnio, nie grali napisanych przez kogoś innego ról, jeżeli...

Miejsce, którego szukał, to Harton.

\* \* \*

–Widzisz ten zjazd? Tam, na lewo? – Siena zręcznym manewrem zjechał na skrajny, prawy pas drogi, a potem wprowadził karetkę na przydrożny parking. – Powinniśmy stamtąd zobaczyć Harton.

–To już tak blisko? – Fargo nie czekając, aż zgaśnie silnik, otworzył drzwiczki i wyskoczył na zewnątrz. – Nie namierzają nas?

–Nie wiem, jaki mają zasięg. – Siena zaciągnął ręczny hamulec i również wysiadł z samochodu. – Sądząc z opisu twoich przygód, nie jest za duży.

–Ale ten facet dysponuje zwielokrotnioną siłą.

Ruszyli w kierunku szerokiej przesieki wśród rzadkich drzew.

–Nie sądzę, żeby penetrowanie wszystkich umysłów ludzi w Harton było zgodne z zasadami ekonomii. Nawet, gdyby istniała taka możliwość.

–Teraz są zaalarmowani. Nie wróciła wysłana po mnie grupa.

–Fakt.

Weszli na niewielki pagórek, z którego w dali, za opadającym terenem widać było morze.

–Sądzę jednak, że strefa bezpieczeństwa rozciąga się w niewielkim promieniu wokół budynku.

Siena podniósł do oczu dużą wojskową lornetkę.

–A poza tym – ciągnął – sądzę, że jestem dla nich niewidzialny.

–Dlaczego?

Nie padła żadna odpowiedź. Absolutnie nieruchoma, jak posąg wykuty w granicie, naznaczona głębokimi bliznami

twarz jak zwykle nie wyrażała nawet śladu uczucia. Było to tak denerwujące, że Fargo zastanawiał się, czy w ogóle ma z tym człowiekiem jakiś kontakt.

–Widzisz coś?

–Tak – podał mu szkła. – Tam – wyciągnął rękę. Fargo podniósł lornetkę do oczu. Była tak ciężka, że nie sposób było trzymać dłoni nieruchomo. Na maksymalnym powiększeniu obraz w okularach drgał tak bardzo, że z trudem udało mu się rozpoznać znany ze zdjęcia w prospekcie samotny siedmiopiętrowy budynek nad brzegiem morza.

–Nie widać podnóża. Teren zasłania...

–To nieistotne. Cała ta budowla wygląda na nie zamieszkaną.

–Dlaczego?

–Spójrz na szyby w oknach. Fargo wstrzymał oddech, żeby zapobiec drżeniu rąk, ale nie zauważył niczego szczególnego.

–Myślisz, że oni tam są?

–Niedługo się przekonamy. Chodź. Ruszyli z powrotem w stronę samochodu. Duża karetka reanimacyjna, którą przyjechali,

wydawała się nie na miejscu pośrodku pustego, zapomnianego parkingu. Fargo pamiętał, iż na swoje obiekcje, że w takim pojeździe będą zwracać na siebie uwagę, Siena tylko lekceważąco machnął ręką. Czuł się dziwnie w obecności człowieka, dla którego wykradzenie bez niczyjej pomocy ciała ze szpitala i przy okazji uprowadzenie karetki było tym samym, co dla zwykłego obywatela kupienie porcji ryby z frytkami. Musiał jednak przyznać, że wpływało to dodatnio na jego samopoczucie.

–Masz plany? – spytał Siena.

–Zostawiłem w wozie. Otworzył drzwi i wyjął ze skrytki wydobyty z archiwów jakiegoś biura nie plan, ale

zaledwie szkic sytuacyjny otoczenia budynku. Nie mógł oprzeć się pokusie, żeby przy okazji nie zerknąć do tyłu na podłużny kształt podłączony do pracujących bez przerwy aparatów. Przysunął głowę do oddzielającej kabinę szyby. Twarz leżącego była trupio blada z głęboko zapadłymi, podkrążonymi oczami. Nic nie wskazywało na to, żeby w ciele osiemnastoletniego chłopca, który przedawkował środki psychotropowe, zachodziły jakiegokolwiek procesy życiowe. Przymocowane do kratownic w ścianach aparaty wskazywały jednak, że wszystkie narządy sztucznie utrzymywanego przy życiu organizmu funkcjonowały sprawnie. Oprócz jednego. Fargo zerknął na wykres przenośnego elektroencefalografii. Na jego ekranie nie było żadnych drgań. Przebiegała go tylko jedna, prosta linia.

Otrząsnął się i wygramolił na zewnątrz, podając kartkę Sienie. Ten rozprostował ją i położył na wysuszonej temperaturą silnika masce. Przyglądał się jej nie dłużej niż dwie, trzy sekundy, potem zmiął papier i odrzucił do kosza na poboczu parkingu.

–Pamiętasz wszystko, co ustaliliśmy?

Fargo skinął głową.



–Powtórzmy dwie główne części. Razem przedostajemy się do strefy zamkniętej. Potem ja idę w stronę budynku, a twoje zadanie to...

–Wyprowadzenie karetki, osłona przedpola i tyłów – dokończył Fargo, w porównaniu z własnymi możliwościami stojące przed nim zadanie i wojskowy żargon bawiły go. Był to jednak humor wisielczy.

–Potem?

–Przenoszę ciało w bezpieczne miejsce i ukrywam je tak, żeby było widoczne tylko dla mnie.

–Co jeszcze?

–Wkładam mu w dłoń odbezpieczony i zarepetowany pistolet. Robię to tak, żeby go nie zamoczyć i nie zapiaszczyć.

–Dobrze. To wszystko?

–Nie. Zajmuję stanowisko w pobliżu, usiłując je zamaskować. – Fargo zdał sobie nagle sprawę, że bezwiednie powiedział „usiłując” zamiast po prostu „maskując”. Potrząsnął głową.

–Ja w tym czasie dostaję się do wnętrza budynku. – Siena spojrział na leżącą w kabinie torbę z materiałami wybuchowymi. – Będę starał się dotrzeć jak najbliżej centrali i detonować ładunki.

–To się może nie udać.

–Mówiliśmy o tym. Jeśli nawet powstanie pożar w innej części budynku, może popełni błąd i przystąpią do ewakuacji. Jeśli tak, zlikwidujesz kogo się da.

–Pod warunkiem, że nie będzie ich zbyt wielu. Inaczej...

–...uciekasz – dokończył Siena z naciskiem. – Jeśli natomiast mój plan się powiedzie, to niewykluczone, że uciekał będzie tylko ich przywódca. Muszą go lepiej chronić i najprawdopodobniej nie załatwimy go zwykłą eksplozją. Powinien biec w twoim kierunku.

Fargo poczuł dreszcz.

–Jeżeli zauważy cię z bronią, będzie usiłował „wstrzelić się” do twojego umysłu. Nie walcz z nim, bo jest silniejszy. W tej samej chwili „wstrzel się” do przygotowanego ciała, a kiedy on będzie już w twoim, musisz... po prostu zastrzelić samego siebie. – Siena na moment

przymknął oczy. – Przez ułamek sekundy przeciwnik będzie dezorientowany zmianą sytuacji. Wtedy masz szansę.

Fargo oparł się o maskę karetki. Czując, że lepią mu się dłonie, wytarł je w rękawy ciemnego swetra.

–Słuchaj... – słowa przychodziły mu z trudem. – Jak sądzisz... czy ten plan może się powieść?

Siena nie reagował przez dłuższą chwilę. Fargo sądził, że znowu zignoruje pytanie, kiedy odezwał się cicho:

–Rozpoczynamy akcję – powoli cedził słowa. – Pamiętaj, nigdy w takiej sytuacji nie analizuj szans i nie rozpatruj wszelkich za i przeciw. Jeśli decyzja zapadła, musisz myśleć

tylko o jednym: jak to zrobić?

Jego potworna, okrutnie zeszpecona twarz ani przez chwilę nie zmieniła wyrazu.

–Chcesz zapalić? – spytał.

Fargo bardzo chciał, ale czuł też, że nie wytrzyma tu ani chwili dłużej. A poza tym, jak sądził, czas rozterek i wątpliwości miał już za sobą.

–Nie – powiedział spokojnie.

\* \* \*

Wykonana z plastikowych elementów brama zamykająca teren zarzuconej przed laty budowy nie miała żadnych napisów zakazujących wjazdu czy parkowania, żadnych ostrzeżeń informujących o stróżach czy obecności złych psów. Jedyna tablica przymocowana do słupa przy niewielkim kontenerowym domku obwieszczala na pół obłazłym lakierem, że dalej zaczyna się teren prywatny. Ziemia ta, leżąca daleko poza ostatnimi zabudowaniami Harton, nie znajdowała się chyba w dobrych rękach. Poza w połowie wykończonym budynkiem o siedmiu piętrach na ograniczonej płocie przestrzeni widać było metalowy szkielet czegoś, co w zamysle architekta miało być chyba motelem oraz stosy żelbetowych elementów, ogromne pryzmy rdzewiejących rur, okiennych ram, zwojów blachy, płyt izolacji i porzuconych maszyn. Tworzyły one z jednej strony barierę nie do przebycia. Teren ograniczony był z boku morzem, a z tyłu wysoką, stromą skarpą. Możliwość dotarcia do głównej budowli dawała wąska asfaltowa droga lub plaża.

Fargo spojrział na zaparkowaną przy zjeździe z szosy karetkę. Nie widział przemykającego w gęstych zaroślach Sieny, po prostu wiedział, że powinien tam być. Już dawno włączył wzorzec komandosa. Idąc w kierunku okna wykrojonego w ścianie kontenera, dziwił się, że tak łatwo może opanować nerwy. Zastukał w szybę, zaglądając równocześnie do środka. W pomieszczeniu, które ogarniał wzrokiem, siedział tylko starszy mężczyzna. Na jego widok podniósł się i uchylił okno.

–Słucham?

–Przepraszam, chyba pomyliłem drogę. Jak można dojechać do Harrows Edge?

–Oj, to musi pan zawrócić. – Strażnik nie wyglądał groźnie. Nie było w nim śladu agresji.

–Musi pan jechać z powrotem do motelu, tam skręci pan w prawo, a potem, o ile pamiętam, będą już drogowskazy.

–Mógłby mi to pan pokazać na planie?

Fargo wyjął turystyczną mapę. Usiłował przeciągnąć rozmowę jak najdłużej, licząc, że jej odgłosy wywabią innych strażników z drugiego pokoju. W czasie kiedy tamten wodził palcem po czerwonej nitce szosy, drzwi w przepierzeniu nie uchyliły się jednak ani na milimetr. Fargo wsunął rękę do kieszeni i zacisnął ją na metalowej powierzchni granatu. Uprzejmy nieuzbrojony strażnik nie był dla niego przeciwnikiem. Jakoś głupio było go teraz

zaatakować.

–A nie orientuje się pan, czy to dobra droga...?

–Słucham?

–Parę kilometrów stąd złapałem gumę na jakichś wybojach.

–Ach nie, nie będzie z tym kłopotów – uśmiechnął się tamten. Widać było, że rozmowa z przypadkowym człowiekiem jest jedną z niewielu przerw w jego nudnym zajęciu i sprawia mu wyraźną przyjemność. – Przez cały czas będzie asfalt.

Fargo skinął głową.

–Coś jeszcze? Dłoń ściskająca granat drgnęła lekko. Przez ułamek sekundy patrzyli sobie prosto w oczy.

–Drobiazg. Fargo kciukiem zerwał zawleczkę i wrzucił granat do środka pokoju. Kiedy rozległa się

cicha, zgłuszona eksplozja, skulił się pod ścianą. Błyskawicznie nałożył maskę i jednym skokiem przez okno dostał do środka. Wyszarpnął pistolet z kabury w momencie, kiedy białe opary obojętniającego gazu zaczynały się już rozpraszać. Silnym kopnięciem otworzył drzwi w przepierzeniu i o mało nie zastrzelił Sieny przeskakującego właśnie przez parapet. Drugi pokój był pusty.

–Widziałeś kogoś? – Fargo zapomniał, że ma maskę na twarzy.

–Zdejmij to. Gaz się szybko ulatnia. Siena zdjął zębami osłonę igły i wbił ją w ramię ogłuszonego strażnika. Jednym ruchem

palca opróżnił strzykawkę ze środka usypiającego.

–Widziałeś więcej ludzi?

–Nie.

–Tylko jeden strażnik? Może mają system alarmowy.

–Na pewno mają. Pytanie, czy tutaj...

–W takim...

–Chodź! – Siena przerwał mu ruchem ręki. Wybiegli na zewnątrz i trzymając się cienia baraku, żeby nie być widocznymi z głównego budynku, dotarli do zaparkowanej na uboczu karetki. Siena chwycił torbę z materiałami wybuchowymi i pistolet maszynowy.

–Nie korzystaj z drogi – powiedział spokojnie. – Jedź plażą za tymi przymami i ukryj wszystko.

Nie czekając na jakąkolwiek reakcję, pobiegł w kierunku osłaniających przejście stert materiałów budowlanych. Fargo, który chciał jeszcze coś powiedzieć, zaskoczony szybkością działania, zaklął tylko. Miał wielką ochotę na papierosa, ale na to nie było teraz czasu. Wspiął się do kabiny i ruszył w stronę plaży, trzymając się linii rachitycznych drzew. Miał nadzieję, że przymy żelbetowych elementów będą na tyle wysokie, by ukryć go przed obserwatorami z najwyższych nawet okien. Zastanawiał się też, czy ukryty w głębi jego mózgu tajemniczy kokon pomoże mu i tym razem. A może... Może telepaci znaleźli już na to sposób?

Zaalarmowani wtargnięciem Sieny, odnajdą go i... Zmusił się, żeby o tym nie myśleć. Zahamował tuż przed wykonaną z kolczastego drutu siatką. Nie miał specjalnych nożyc. Wskakując z samochodu, chwycił wojskowy bagnet.

Biegając przymocował ostrze noża do plastikowej, wzmocnionej metalem pochwy. Zmontowane w ten sposób urządzenie nie było łatwe w obsłudze. Zanim przeciął wszystkie dziesięć zagradzających mu drogę drutów, z lewego kciuka ciekła mu krew. Nie owijał go niczym. Zważywszy na wszystko, co mogło się wydarzyć, takie zranienie nie miało większego znaczenia. Brnąc w piasku, wrócił do czekającej z pracującym silnikiem karetki i ruszył powoli na pierwszym biegu, bojąc się, żeby nie ugrzęzły koła. Będąc sam, nie miałby najmniejszej szansy wyciągnięcia prawie dwutonowego pojazdu.

Kiedy tylko pojawiła się możliwość, skręcił w prawo, jadąc teraz wzdłuż morskiego brzegu ciągle w cieniu ułożonych jeden na drugim setek rdzewiejących elementów konstrukcyjnych. Odruchowo spojrział w górę na ciemniejące niebo. Z głębi łądu nadciągały kłęby coraz gęstszych chmur. Szybko odwrócił wzrok, w porę, żeby zauważyć wąski przesmyk między stosami materiałów łączący plażę z wyasfaltowaną drogą. Zahamował gwałtownie, wyrzucając spod kół zwały piasku. Rozglądał się wokół, szkicując w myślach plan pułapki. Tak, to było dobre miejsce. Powoli, nie spiesząc się już, ukrył karetkę za opuszczonym, pokrytym zabezpieczającym smarem buldożerem. Otworzył tylne drzwi i wysunął nosze z ciałem chłopca w tylne skrajne położenie tak, żeby nie zerwać łączących go z aparatami przewodów i aby były widoczne dla kogoś stojącego na podwyższeniu. Ostrożnie wsunął w bezwładną dłoń naładowany i odbezpieczony pistolet.

Przebiegł oczami otoczenie, sprawdzając, czy nie popełnił żadnego błędu. Potem wyjął z walizki Sieny mały automatyczny karabinek i używając tylko jednej ręki z trudem wspiał się na stertę płyt stropowych ze sprężonego betonu. Kiedy dotarł na górę, skóra lewej dłoni paliła żywym ogniem, a kciuk krwawił coraz bardziej. Sycząc z bólu, położył się na chropowatej powierzchni i jeszcze raz rozejrzał wokół. Z miejsca, gdzie był ukryty, widać było prawie całą plażę i duże fragmenty drogi – doskonale widoczna karetką była tuż za nim. Zerknął na obolałą dłoń, kładąc koło ucha małe przenośne radio. Teraz pozostało tylko czekać. Mógł nawet zapalić papierosa, ale myśl o celownikach na podczerwień, które można było przymocować do karabinów snajperskich odwiodła go od tego zamiaru.

\* \* \*

Tymczasem Siena zbliżał się już do podnóża głównego budynku. Wykorzystując każdą możliwość osłony, podszedł do dużej prostopadłościennej przybudówki kryjącej wejście. Przez chwilę rozważał, czy nie dostać się przez okno od razu na pierwsze piętro, ale szybko zdał sobie sprawę, że było to zadanie niewykonalne. Płaska, pozbawiona jakichkolwiek występow ściana nie dawała żadnego oparcia. Naglony przez czas, podszedł do drzwi.

Delikatnie nacisnął klamkę, a kiedy nie ustępowała, wyważył drzwi kopniakiem. Wnętrze przybudówki oświetlało tylko jedno, punktowe źródło światła. Panujący tu mrok miał dać czas dwóm strażnikom na rozpoznanie ewentualnego przeciwnika, zanim on zdoła dostrzec cokolwiek. Oczywiście Siena nie musiały się jednak przyzwyczajać do jakichkolwiek warunków. Strzelił dwa razy. Usłyszał loskot walących się ciał, zanim tamci zdążyli dotknąć kabur.

Przedostał się przez wewnętrzne drzwi i przebiegł przez tonący w półmroku hol. Zignorował otwarte, jakby czekające na niego kabiny wind i przeskakując po kilka stopni wbiegł na półpiętro. Nasłuchiwał przez chwilę, potem ruszył dalej. Przez cały czas nie napotkał nikogo, nie słyszał też jakichkolwiek odgłosów życia. Na drugim piętrze przezorność kazała mu zmienić drogę. Szerokim, poznaczonym jaskrawymi prostokątami w większości pootwieranych drzwi korytarzem pobiegł w kierunku drugiej klatki schodowej w przeciwległym skrzydle budynku. Puste, nieumeblowane pokoje po bokach sprawiały przygnębiające wrażenie.

Pierwszy dźwięk dotarł do niego, kiedy dobiegał do osłaniającej schody przeciwpożarowej ściany. Był to najprawdopodobniej odgłos źle postawionej nogi, która obsunęła się o stopień niżej. Siena kciukiem przestawił przełącznik broni na ogień ciągły. Ostrożnie postawił torbę z materiałami wybuchowymi na ziemi. Starając się uniknąć najmniejszego nawet szelestu, wyjął z kieszeni granat. Wyszarpnął zębami zawleczkę i po sekundzie zwłoki rzucił go w stronę klatki schodowej.

Huk eksplozji zlał się z brzękiem wybitych podmuchem szyb i stukiem odłamków o metalową ścianę. Siena chwycił torbę i wyskoczył zza węgła, przyciskając spust. Przytrzymał go, aż zamek pozostał w przednim położeniu. Wbiegł na schody prowadzące do góry, zmieniając magazynek. Przeskoczył podest trzeciego piętra, ale zatrzymał się nagle, widząc w prześwicie u góry ułożone równo jeden na drugim worki z piaskiem.

Barykada.

Cofnął się kilka kroków, ale korytarzem nadbiegali już ludzie. Znowu przycisnął spust. Zwielokrotniony akustyką korytarza grzmot serii z pozbawionego tłumika pistoletu rozproszył ich w jednej chwili.

Sytuacja nie była jednak dobra. Mając odciętą drogę w dół, na górę i w bok, Siena jednym uderzeniem łokcia w przycisk przywołał windę. Ukrył się za wystającym fragmentem przepierzenia, zakładając następny magazynek. Strzelił dwukrotnie do wychylających się z pokoi strażników i sprężył się w oczekiwaniu na przybycie kabiny.

Kiedy drzwi rozsunęły się wreszcie, zablokował je nogą, wycelowując broń.

–Stój!

W środku stał tylko jeden mężczyzna. Miał na sobie ogromną kuloodporną kamizelkę i hełm saperski, ale nie widać było przy nim broni.

–Mógłbyś przez chwilę nie strzelać?

Siena zerknął do tyłu. Ludzie na korytarzu zamarli w oczekiwaniu.

–O co ci chodzi? – warknął.

–Mogę umożliwić spotkanie z ludźmi, których szukasz. – Mężczyzna zdjął hełm z przyłbicą z pancernego szkła. – I to bez nadmiernego zużycia amunicji.

Siena spojrział na swoją torbę. Mógł teraz detonować ładunek. Miał jednak wrażenie, że byłoby to najgłupszą rzeczą, jaką by kiedykolwiek zrobił.

–Dobrze – mruknął.

–Ale zostaw te parę kilo dynamitu, czy co tam masz. To nie kopalnia i nie trzeba przebijać chodników.

Siena postawił torbę, wchodząc do windy.

–I ten wulkan w pigułce również.

Odrzucony pistolet upadł na wieko torby. Mężczyzna szybko przeszukał Sienę, potem nacisnął guzik z oznaczeniem najwyższego piętra.

–Nie dajecie mi zbyt dużo szans.

–Przecież nie chcemy cię zabić. Zawsze można dojść do porozumienia albo pohandlować... No, ale jeśli się nie uda... – Mężczyzna rozłożył ręce.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Tamten spojrział w bok.

–Nie jesteś zbyt piękny. Czyżby rząd przeżywał kryzys płatniczy?

–Nie jestem pewien, czy pracuję dla rządu.

–Żartowałem. – Facet uśmiechnął się z przesadną słodyczą. Można mu było wybaczyć wesołość. W końcu każdy, kto właśnie uniknął podziurawienia prawie półcalowymi pociskami, miał prawo inaczej patrzeć na świat.

Winda zatrzymała się na ostatnim piętrze, wypuszczając ich na korytarz. W przeciwieństwie do poprzednich podłogę tego wyścielał gruby dywan.

–Tędy.

Mężczyzna w kuloodpornej kamizelce zaprowadził go pod metalowe, wypolerowane na wysoki połysk drzwi. Otworzył je z zapraszającym gestem. Siena wszedł do niewielkiej sali konferencyjnej, słysząc za sobą zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Z boków, pod ścianami stało czterech ludzi z wymierzonymi weń karabinami.

Pośrodku, wokół lśniącego stołu siedziało dwunastu mężczyzn w różnym wieku. Nieprawdopodobna wprost cisza świadczyła, że pomieszczenie musiało być szczelne, wręcz odizolowane od otoczenia. Mimo luksusowego, bardzo nowoczesnego wyposażenia atmosfera miała coś ze średniowiecznego zebrania czarowników. Siena zauważył uderzające bezgłośnie w szyby pierwsze krople deszczu.

–Nie dziwi cię to spotkanie? – spytał mężczyzna siedzący w przeciwległym narożniku stołu. W kłapie jego garnituru widniała plakietka ze słowem CHILMARK.

–Jestem tu właśnie po to.

Siena zauważył ogromny pusty fotel w centralnym miejscu i zawieszoną pod sufitem kamerę. A więc były asystent profesora Fulbrighta wolał nie narażać się bezpośrednio.

Chilmark uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. Wszyscy pozostali tkwili nieruchomo na swoich miejscach.

–Jeden czy dwóch ludzi, nawet wyposażonych w materiały wybuchowe, nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia – mówił powoli, akcentując każde słowo. Jego głos był jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu. Pozostali zdawali się nie oddychać. – Dlatego też pozwoliliśmy wam wejść tutaj. Mówię o tym, żebyś dobrze zdał sobie sprawę z tego, że jesteście całkowicie w naszej mocy. Byłoby dobrze, gdybyś zrozumiał, że ani ty, ani twój moknący teraz na deszczu kolega, nie jesteście w stanie zrobić nam – tu uśmiechnął się znowu, tym razem kpiąco – nic złego.

–Czyżbyście mieli wokół setki strażników?

–Po co? To, że bywacie czasem nieprzenikalni dla naszych telepatów, nie znaczy jeszcze, że znajdujecie się poza naszym zasięgiem. Moglibyśmy bez trudu sprawić, żeby twój kolega zaraz sam do nas przyszedł.

–W takim razie, jaki cel ma ta rozmowa?

–Cóż, moglibyśmy siłą wydrzeć z was zeznania, ale czyż tak postępują kulturalni ludzie? – Było coś niesamowitego w tym, jak swobodny ton Chilmarka kontrastował z bezruchem innych osób siedzących wokół stołu. – Moglibyśmy przejąć was wcześniej, ale... Przecież w końcu sami się zgłosiliście.

–Blefujesz. Znowu uśmiech.

–Doprawdy?

–A ludzie, których tu załatwiłem?

–To tylko sterowane ciała. Poza niewielką obsługą nie potrzebujemy tu nikogo. Zabrzmiało to dość groźnie. Facet nie mówiłby czegoś takiego, gdyby nie czuł się absolutnie pewnie. Siena popatrzył mu w oczy. Wszystkie techniki badania wyrazu twarzy, drgnięć powiek i ruchów ust, których się nauczył, świadczyły, że tamten mówi prawdę. Nie mógł przecież kontrolować swoich odruchów.

–O co wam chodzi?

Chilmark odchylił się w fotelu.

–Wiemy, że przed laty zaginęło z samolotem coś bardzo cennego. Staraliśmy się zestrzelić tę maszynę w Afryce, ale jak się szybko okazało, pan Fargo przeżył ten atak i co więcej zabrał tę przesyłkę ze sobą... Keldysh, mimo że mylił się w wielu sprawach, bardzo sprawnie pozacierał ślady. Pozacierał je w sposób bezwzględny. – Chilmark pokiwał głową.

–Wiemy, że to... coś, nad czym pracowano w tajnych wojskowych laboratoriach. Rzecz warta grube miliony.

–Tak?

–Posiadacie urządzenie oślepiające telepatów i wyłączające z ich zasięgu danego człowieka. Najpierw skorzystał z tego twój kolega, a teraz korzystasz ty.

Siena chciał coś powiedzieć, ale tamten powstrzymał go ruchem ręki.

–Nie masz tego przy sobie, nic nie masz przy sobie. Przecież zostałeś obszukany. A jednak to urządzenie cię osłania... – zamilkł na chwilę. – Gdzie ono jest?

–Z czego wnosisz, że istnieje tylko jeden egzemplarz?

Kolejny uśmiech będący tylko niewielkim drgnieniem warg.

–Sami prowadziliśmy nad tym badania. Wiemy, że są one niezwykle pracochłonne i kosztowne. Keldysh nie mógł zorganizować większej sumy. Poza tym nie miał czasu.

Siena skinął głową.

–Istotnie, nie miał czasu. Taki aparat nie istnieje. Brwi Chilmarka uniosły się w górę.

–W takim razie może wyjaśnisz mi, co cię chroni?

–Chyba nie mam na to ochoty. Lekkie wzruszenie ramion.

–Myślałem, że mam do czynienia z rozsądnym człowiekiem. – Chilmark odwrócił głowę i skinął na stojącego najbliżej człowieka z karabinem. – Najpierw przestrelisz mu stopę.

**Celuj**

w palce. Potem śródstopie i kostka. Potem łydka i kolano. A potem... – znowu popatrzył na Sienę. – Może jednak coś powiesz?

Nieprawdopodobna wprost, idealna cisza przeciągała się coraz bardziej. Trzask napinanego zamka karabinu miał w sobie coś z grzmotu przed burzą. – A więc...

–Powiem wam. Coś wam powiem.

–Tak? Siena wyprostował się, patrząc na tamtego z nieruchomym wyrazem twarzy.

–Tym czymś... tą bardzo kosztowną rzeczą, która zaginęła wraz z bombowcem, byłem ja.

**Chilmark odchylił się wraz z oparciem fotela.**

–A cóż w tobie jest takiego cennego? Siena stał nieruchomo na rozstawionych nogach.

**Długą chwilę mierzyli się wzrokiem.**

Potem zrobił wdech. Umieszczona między obojczykami szybkoobrotowa turbosprężarka wtłaczała powietrze do jego wykonanych z syntetycznych włókien płuc z taką prędkością, że po chwili zaczęło go brakować w całym pomieszczeniu. Gwałtowny spadek ciśnienia sprawił, że ludzie nie mogli nawet krzyczeć. Miotali się z rozerwanymi bębenkami, nie czując krwi płynącej z nosów, ust i oczu. Ułamek sekundy później puściły specjalnie uszczelnione szyby. Odłamki szkła, wpadając wraz z wyrównującym ciśnieniem powietrzem, demolowały pokój, ale trwało to tylko moment. Sprężone powietrze zaczęło opuszczać sztuczne płuca. Tym razem potworne nadciśnienie spowodowało nowy huragan, który wymiatał za okno szkło, kartki papieru i wszystkie nie zamocowane przedmioty. Kiedy ustał porażający huk, Siena zdalnie zdetonował pozostawioną na trzecim piętrze bombę. Szalejący pożar w ciągu kilku sekund rozprzestrzenił się na połowę kondygnacji. Rozdzwoniły się alarmowe dzwonki, ale pozbawiona telepatycznych rozkazów obsługa nie myślała ani o obronie, ani o walce z



ogniem.

Siena jednym ciosem wyważył metalowe drzwi. Spojrzał na umieszczoną pod sufitem kamerę i zmienił rodzaj wzroku. Specjalne czujniki pozwalały mu widzieć ułożony pod tynkiem kabel. Wybiegł na korytarz, ale ktoś okazał się szybszy. Zauważył niskiego kędzierzawego mężczyznę, który zniknął w drzwiach windy. Okazało się, że szef Organizacji był inteligentnym człowiekiem. Dotarło do niego wreszcie, że ma do czynienia z cyborgiem, i zrozumiał, że w walce z nim nie ma żadnych szans. Siena przełączył swój głos na fale radiowe.

–Uważaj, facet właśnie uciekł. Nie przepuść go – zaczął zbiegać po schodach. – Ma najwyżej sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, kręcone brązowe włosy.

Leżący na szczycie pryzmy betonowych płyt Fargo odebrał sygnał bez żadnych zakłóceń. Wyłączył radio i sprawdził położenie bezpiecznika w swoim manlicherze. Kiedy w drzwiach budynku pojawiło się kilka osób, przyłożył kolbę karabinka do ramienia. Z palcem na spuście śledził ich ruchy, ale nie było wśród nich człowieka, którego szukał. Wreszcie go zobaczył. Uniósł się na kolana, czekając, aż zbliży się do uciekającej grupy, potem strzelił dwukrotnie. Oderwał na moment broń od ramienia, sprawdzając efekt. Złożył się ponownie i przyciskał spust raz za razem aż do opróżnienia magazynka. Seria strzałów zmusiła tamtego do rzucenia się w prawo. Kiedy znikł za stertami materiałów, Fargo zmienił magazynek i strzelił jeszcze kilka razy, sugerując tamtemu, że droga jest pod obstrzałem. Potem zerwał się i zeskoczył z pryzmy po przeciwnej stronie. Ostry ból skręconej kostki sprawił, że z najwyższym trudem, kulejąc i zagryzając wargi, dotarł do narożnika. Zatrzymał się, słysząc kroki biegnącego plażą człowieka. Dłuższą chwilę walczył z pokusą wypalenia tamtemu prosto w twarz, kiedy tylko się ukaze. Wiedział jednak, że uzyskanie stuprocentowego trafienia jest praktycznie niemożliwe. Tamten ginąc mógł „wstrzelić się” w niego. Przez chwilę żałował, że nie ma przy sobie stumilimetrowego działa. Potem, gryząc wargi aż do krwi, skoczył do przodu.

–Stój! – Podniósł broń, celując do biegnącego.

Mężczyzna szarpnął się w bok, unosząc głowę i wtedy go poznał. Miał przed sobą człowieka, którego obecność barwiła prawie wszystkie wspomnienia dzieciństwa. Zamarł w bezruchu, podczas gdy Phil Hagen, uspokojony już i skupiony, szykował się do skoku. W jednej sekundzie Fargo zmobilizował wszystkie siły. Odwrócił głowę i „wstrzelił się” w leżącego na wysuniętych noszach chłopaka. Miał świadomość przewagi, jaką w przeciwieństwie do wszystkich sytuacji z dzieciństwa dawała realizacja z góry ustalonego planu. Oczami leżącego w karetce zobaczył, jak ciało Hageny wiotczeje, waląc się w piach, a jego własne przeszywa elektryzujący dreszcz – znak, że ktoś się do niego „wstrzelił”.

Hagen w nowej postaci był wystawiony jak na strzelnicy. Fargo zwarł palce na kolbie automatycznego pistoletu. Szarpnął ręką wiedząc, że ma teraz jedyną, niepowtarzalną szansę, kiedy tamten, zszokowany lekko po przeskoku, stoi nieruchomo, nie mogąc na nic zareagować. Broń jednak zdawała się ważyć tonę. Fargo czynił rozpaczliwe wysiłki, żeby ją

podnieść, ale ręka tylko drżała, niezdolna do wykonania najprostszego ruchu. „Chryste, ten chłopak był sparaliżowany” – pomyślał. Jego porażony paniką umysł zrozumiał wszystko, kiedy broń drgnęła, unosząc się o milimetr. Atrofia mięśni! Unieruchomione ciało chłopaka spoczywało w szpitalu, kto wie jak długo i stało się to, co przydarza się kosmonautom po długotrwałym locie. „Więc tak się to skończy” – przemknęło mu przez głowę. Przerażony spojrział na Hagenę.

Jego ciało, które nie było już jego własnym ciałem, stało nieruchomo w pozycji, w jakiej je opuścił. Karabinek wysunął się z dłoni i sterczał teraz zabawnie wbity lufą w piasek. Ręce, głowa i cały tułów drżały ledwie dostrzegalnie, tak że tylko wnikliwy obserwator mógł to zauważyć. Prawa dłoń drgnęła silniej, potem z początku słabe, ale rosnące z każdą chwilą konwulsje zaczęły ogarniać resztę ciała. Z boku wyglądało to tak, jakby Hagen walczył z czymś, co zastał w środku, z czymś, co niszczyło go wraz z ciałem, które zdobył. Kiedy runął na piasek, Fargo z trudem odwracając głowę, zauważył zamierające drgawki.

Padający na nosze deszcz chłodził jego rozpaloną głowę, ale nie przybliżało go to do znalezienia odpowiedzi. Czuł, że tkwi ona w jego głowie, ale wiedział też, że może poznać tylko jej część. Przeszukał swój umysł i tak jak spodziewał się wcześniej, nie znalazł w nim już tajemniczego kokonu. Dziwny twór musiał pozostać w tamtym ciele. Może był to profesor Fulbright? Tak jak inne ofiary przewieziony do Afryki i tam uwięziony przetrwał dzięki swej mocy i teraz dokonał zemsty? Może kto inny? Czuł, że nigdy nie rozwiąże tej zagadki.

Kiedy nadbiegł Siena, z wysiłkiem uniósł głowę.

–Coś nie wyszło? – Tamten zaczął odłączać wszystkie kable i przewody.

–Zapomnieliśmy o czymś.

–Atrofia? – Ochroniarz wysunął nosze, stawiając jeden z końców na ziemi.

–Tak. Siena uniósł go bez trudu i przetransportował do karetki. Zaciągnął mocno wszystkie pasy

i zajął miejsce za kierownicą. Fargo patrzył przez zalewaną deszczem szybę na nieruchome ciała przy brzegu morza. Na swoje własne i... na zwłoki tamtego. Krępa postać, dość długie kręcone włosy, rozrzucone teraz w nieładzie na mokrym piasku. Jego ziarenka przylepiły się do obcej twarzy. Obcej? Tak. Dlaczego przyszło mu do głowy, że to Hagen? Ten człowiek nie był Philem Hagenem. Teraz nie był już nikim. Usta Fargo poruszały się lekko, ale nie wydobył się z nich ani jeden takt piosenki o górze wiatru. Czuł, że traci wszystkie złudzenia, że powiał już wielki wiatr. Był zbyt silny, żeby oparła mu się zbudowana z pozornych obrazów góra, a drobne dotknięcia rozsypanej rzeczywistości nie potrafiły wskrzesić już niczego. Nie zdołał ochronić mitu przed prawdą. Klucz do bram świata dzieciństwa okazał się wytrychem.

Kiedy samochód ruszył po zalewanej deszczem plaży, o mało nie wysunął się z pasów. Czekwały go długie tygodnie ćwiczeń, żeby odzyskać pełną sprawność mięśni, ale nie myślał o tym. Przez krótką chwilę, przez ułamek sekundy wiedział, dlaczego w każdej sytuacji warto

**zaczynać wszystko od nowa. Choćby miało się pewność, że śmierć nastąpi już jutro, że znikną wszyscy ludzie, że spadną wszelkie z możliwych nieszczęścia. Choćby miało się pewność, że świat skończy się następnego dnia, to jeszcze przedtem trzeba zacząć wszystko od nowa. Chwila olśnienia minęła, a on zgubił gdzieś ów nieuchwytny czar zrozumienia. Ale to nie miało znaczenia. Pytanie „dlaczego?” mogło pozostać bez odpowiedzi. Mogło zaczekać, aż znowu nastąpi dzień, w którym znajdzie odpowiedź. To jedno wiedział na pewno.**

**Wrocław 1990-2004**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-10-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

# Spis treści

2  
3  
4  
5  
6

POSIADACZ TEJ KARTY JEST SZEFEM KONTRWYWIADU

8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18  
19  
20  
21  
22  
23  
24  
25  
26  
27  
28  
29  
30  
31  
32  
33  
34  
35  
36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43

[44](#)  
[45](#)  
[46](#)  
[47](#)  
[49](#)  
[50](#)  
[51](#)  
[52](#)  
[53](#)  
[54](#)  
[55](#)  
[56](#)  
[57](#)  
[58](#)  
[59](#)  
[60](#)  
[61](#)  
[62](#)  
[63](#)  
[64](#)  
[65](#)  
[66](#)  
[67](#)  
[68](#)  
[69](#)  
[70](#)  
[71](#)  
[72](#)  
[73](#)  
[74](#)  
[75](#)  
[76](#)  
[77](#)  
[78](#)  
[79](#)  
[80](#)  
[81](#)  
[82](#)  
[83](#)  
[84](#)  
[85](#)  
[86](#)  
[87](#)  
[88](#)  
[89](#)

[90](#)  
[91](#)  
[92](#)  
[93](#)  
[94](#)  
[95](#)  
[96](#)  
[98](#)  
[99](#)

[STAN HIBERNATORA NUMER JEDEN?](#)

[101](#)  
[102](#)  
[104](#)  
[105](#)  
[106](#)  
[107](#)  
[108](#)  
[109](#)  
[110](#)  
[111](#)  
[112](#)  
[113](#)  
[114](#)  
[115](#)  
[116](#)  
[117](#)  
[118](#)  
[119](#)  
[120](#)  
[121](#)  
[123](#)  
[124](#)  
[125](#)  
[126](#)  
[127](#)  
[129](#)  
[130](#)  
[131](#)  
[132](#)  
[133](#)  
[134](#)  
[135](#)  
[136](#)  
[137](#)  
[138](#)

[139](#)

[140](#)

[141](#)

[142](#)

[143](#)